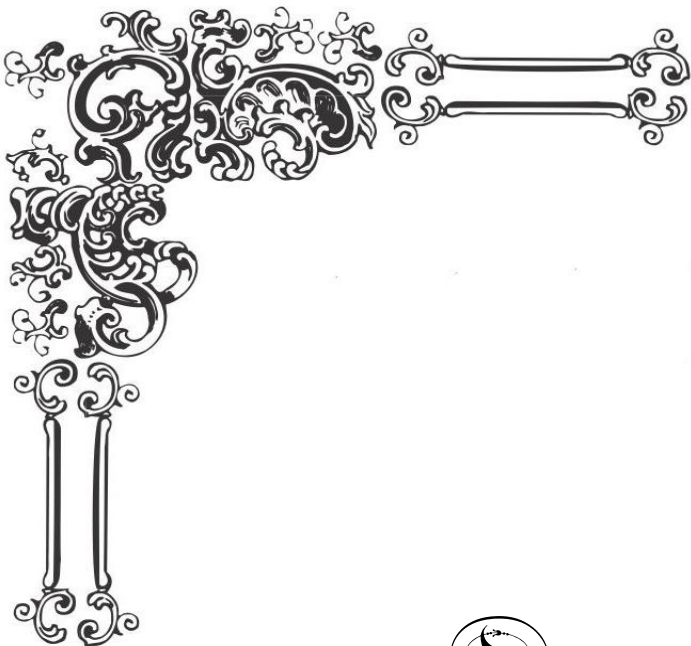


OSTATNI DZIEŃ PARY



Krakon
25-28 lipca 2013

Antologia tekstów konkursowych



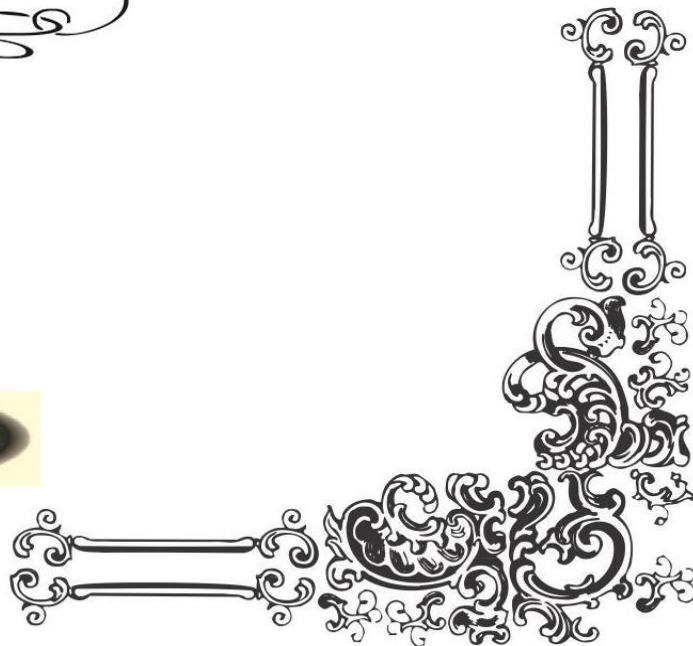
ostatni dzień pary

Antologia opowiadań konkursowych

Krakon
2013



SOLARIS



Tytuł oryginału
Ostatni dzień pary

Copyright © 2014 by Anna Kańtoch, Krzysztof Piskorski, Grzegorz Piórkowski, Adam Podlewski, Karolina Cisowska, Bartosz Szczypiński, Jacek Wróbel, Marcin Podlewski, Gerard Nibybyłowski, Anna Głuszek, Małgorzata Wieczorek, Maria Dunkel, Paulina Kuchta, Aleksander Daukszewicz, Ida Żmiejewska, Filip Laskowski, Kornel Mikołajczyk, Dariusz Nogal, Przemysław Zańko

Redaktor odpowiedzialny
Maciej Pitala

Jury konkursu: Anna Kańtoch, Romuald Pawlak, Krzysztof Piskorski, Michał Stonawski

Koordinacja zbioru: Maciej Pitala, Karolina Cisowska

Korekta: Agnieszka Chojnowska

Ilustracje wewnętrzne: A.A.Turkiewicz, Ewa Skuza, Karolina Cisowska, Luiza Pożycka, Joanna Szulc

Ilustracja na okładce: Mikołaj Luba

Projekt graficzny okładki: Rotter Kadr

Skład i łamanie: Karolina Cisowska

Media relations: Karolina Cisowska

ISBN 978-83-64510-01-4

Wydanie II

Wydawca:

Fundacja „Historia Vita”
Os. Akademickie 6/22
31-866 Kraków
e-mail: info@historiavita.pl
<http://www.historiavita.pl/>

Wydawnictwo Solaris
Ul. Warszawska 25a
11-034 Stawiguda
e-mail: agencja@solarisnet.pl
<http://wydawnictwosolaris.pl/>

Klub Krakowskie Smoki
<http://krakowskiesmoki.historiavita.pl/>

<https://www.facebook.com/OstatniDzienPary>

Wstęp

Zawsze uważałem, iż konwenty winny między innymi zajmować się promowaniem fantastyki. Każdy konwent jest przecież nie tylko świętem dla samych fantastów, ale i okazją do zaprezentowania się tym, którzy z fantastyką (szeroko pojętą) czy z fandomem nie mieli dotąd wiele wspólnego. A czy wydanie antologii składającej się głównie z opowiadań debiutantów nie spełnia takiej roli? Gdy rozpoczynały się prace nad kolejną edycją Krakonu, powstał pomysł, by wydać antologię opowiadań pasujących do niego konwencją. Wybrane zostały dwa zagadnienia: postapokalipsa i steampunk.

Wszelkie obawy, jakie miałem jako organizator przed rozpoczęciem konkursu, nie sprawdziły się. Ani obawa dotycząca frekwencji, ani ta dotycząca jakości nadsyłanych prac. Nadesłano ponad sto prac, z których wiele było na dobrym i bardzo dobrym poziomie. Choć udało się wybrać cztery najlepsze (wybór trzech, jak planowano, okazał się niemożliwy), to wszystkie finałowe opowiadania zasługiwały na publikację. To właśnie dlatego powstała antologia, będąca zbiorem już ponad dwudziestu opowiadań. Została też wzbogacona o ilustracje dzięki pracy świetnych grafików, którym serdecznie za to dziękuję.

Konkurs przeznaczony był dla debiutantów, choć biorący w nim udział mogli mieć już na swoim literackim koncie wydane opowiadania. Jego celem było promowanie młodych, dopiero rozpoczynających karierę pisarzy. Opowiadania nagrodzone, które już ukazały się w mniejszej wersji antologii, spotkały się z bardzo dobrym odbiorem, a laureaci konkursu z propozycjami publikowania w czasopiśmie i antologiach.

Konkurs ten nie mógł obyć się bez jury, na które składali się: Anna Kańtoch, Romuald Pawlak, Krzysztof Piskorski i Michał Stonawski. Wykonali oni wiele pracy i często mieli przed sobą bardzo ciężki wybór, biorąc pod uwagę poziom opowiadań. Bardzo dziękuję im za ich zaangażowanie i poświęcony czas. Praca z nimi była czystą przyjemnością

Szczególnie podziękowania należą się również laureatce konkursu - Karolinie „Nem” Cisowskiej, która włożyła wiele pracy w to, by wersja rozszerzona zbioru ukazała się. To dzięki jej pracy i jej motywacji udało się tego dokonać. Podziękowania należą się też Agnieszce Chojnowskiej za redakcję zbioru.

Dziękuję wszystkim, którzy pomagali przy tej antologii, a było ich niemało, bo dzięki nim czytelnik dostanie naprawdę wartościowy zbiór opowiadań.

Maciek „Toudi” Pitala

Spis Treści

<i>Wstęp</i> , Maciej Pitala	3
<i>Królewskie dzieci</i> , Anna Kańtoch	5
<i>Małpiarnia</i> , Krzysztof Piskorski	10
<i>Kukła</i> , Grzegorz Piórkowski	24
<i>Pierwszy człowiek w eterze</i> , Adam Podlewski	31
<i>Ostatni dzień pary</i> , Karolina Cisowska	37
<i>Dni naszej hańby</i> , Bartosz Szczygielski	42
<i>Człowieczyzna</i> , Jacek Wróbel	48
<i>Doktor Dietl ratuje świat</i> , Marcin Podlewski	54
<i>Którego nie ma</i> , Gerard Nibybyłowski	60
<i>Szkiełko i oko</i> , Anna Głuszek	67
<i>Zona Kraków</i> , Małgorzata Wieczorek	73
<i>Wojna adaptacyjna</i> , Maria Dunkel	79
<i>Radioaktywny blues</i> , Paulina Kuchta	85
<i>Owieczki</i> , Aleksander Daukszewicz,	89
<i>Panna Anna i chłopiec z drewna</i> , Karolina Cisowska	95
<i>Kolebka</i> , Filip Laskowski	102
<i>Fin de siècle</i> , Ida Żmiejewska	108
<i>Apokanibalipsa</i> , Kornel Mikołajczyk	114
<i>Golem z Festung Krakau</i> , Daniel Nogal	122
<i>Steampark Jurajski</i> , Przemysław Zańko	128
<i>Patronat medialny</i>	

rólewskie dzieci

Anna Kańtoch
ilustrowała *Karolina Cisowska*



Niebo nad ich głowami ma kolor krwi od tak dawna, że żadne z dzieci nie pamięta już dokładnie, jak wyglądało dawniej. Dziewczynka przypomina sobie jedynie, że było niebieskie, ale jak niebieskie? Modre niczym oczy jej braciszka czy błękitne jak korale, które z dalekich krain przywozili brodac i kupcy, a może przypominało lazurowy klejnot w rękojeści ojcowskiego miecza? To przecież trzy różne kolory, a ona, choć większość czasu spędza w nikłym blasku pochodni, wciąż jeszcze potrafi rozróżnić barwy.

Dni są teraz bardzo krótkie i następują nieregularnie po zbyt długich nocach. W tych nielicznych chwilach, gdy niebo rozpala się czerwienią, dziewczynka wychodzi na mury

dumnego niegdyś grodu Kraka i spogląda na martwe miasto.

Krągła kościelna wieża i rozłożysty zamek, pomiędzy którymi kładą się cienie w kolorze zszarzałej purpury, bielejące od kości ulice i drewniane ściany domów, które z wolna pożera niesiona przez rzekę śmierć.

Braciszek dogania siostrę i chwyta jej dłoń swoją jedyną ocalałą dłonią. Urósł przez ostatnie tygodnie – a może to były miesiące? – ubranie, które jeszcze niedawno idealnie na niego pasowało, teraz pęka w szwach pod naporem rozwijającego się ciała. Dziewczynka za to pozornie nie zmieniła się wcale, wciąż tak samo chuda i drobna jak wtedy, gdy po raz pierwszy usłyszała o smoku. W rzeczywistości jednak jest o wiele starsza, niż wskazywałaby na to jej dziecięca twarz i płaskie piersi. To nie krew miesięczna uczyniła ją kobietą, ale świadomość, że teraz braciszek ma tylko ją.

Szepty nianiek w ciemności, złotej i miękkiej od płomieni kaganków, tak to się zaczęło.

Mówiły, że nadciąga ze wschodu.

Mówiły, że nadciąga, pozerając po drodze wieś i miasteczka.

Odkąd smok przybył, Wisła jest zatruta i niesie ze sobą śmierć – tę znaleźć można wszędzie, ale w wodzie jest jej najwięcej. Każdy, kto dotknie leniwie płynącego nurtu, prędzej czy później rozpuszcza się jak pozostawiona na letnim słońcu grudka zwierzęcego tłuszczu.

Dziewczynka uśmiecha się do chłopca, który ma tylko jedną rękę i jedno oko, i który wciąż jest jej ukochanym braciszkiem.

Tamtej złotej i miękkiej nocy tuliła go pod puchową pierzyną.

– Myślisz, że smok jest większy niż koń, na którym jeździ tatuś? – zapytał.

– Nie wiem – odparła.

– Większy niż cała stajnia?

– Może.

– Kiedy dorosnę, wezmę miecz i go zabiję!

– Oczywiście, a teraz ciii, śpij.

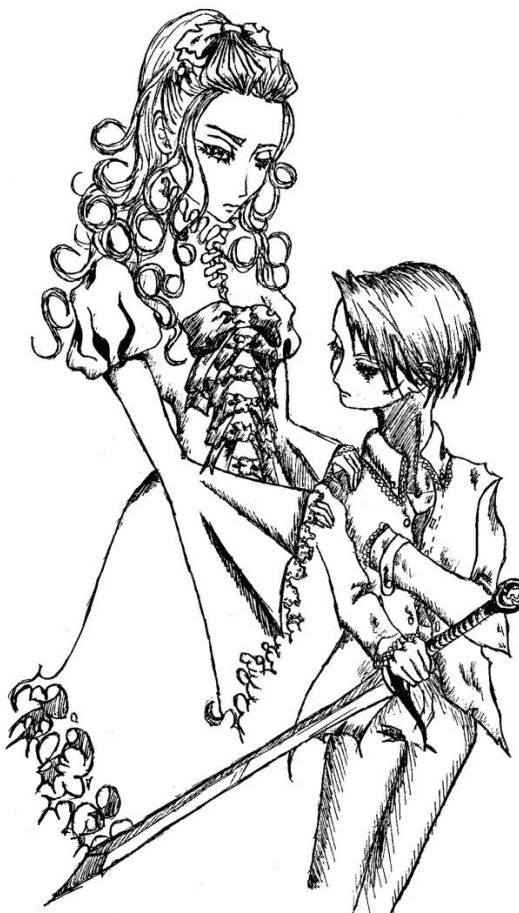
Cisza, niespokojny oddech wyrównał się i dziecko zasnęło; ślina z półotwartych ust powoli spłynęła na odsłonięte ramię starszej siostry.

Tak właśnie wszystko się zaczęło.

Zmrok zapada szybko i gwałtownie, jakby ktoś narzucił na źródło światła koc. Dziewczynka schyla się po pochodnię, którą zawsze nosi ze sobą, a potem pewnymi ruchami krzesze ogień. Brat obserwuje ją uważnie, jego oko lśni w cuchnącej gnijącym mięsem ciemności.

Wracają do zamku, gdzie wita ich pustka komnat, w których się wychowywali.

Są królewskimi dziećmi, lecz to niewiele znaczy i niegdyś także niewiele znaczyło. Król ma żonę i wiele nałożnic, a one



obdarzyły go potomstwem licznym jak ziarenka maku. Wszystkie córki mają niańki, które czeszą ich jasne włosy i wplatają w nie kwiaty, a potem opowiadają bękarcim królewnom bajki o zamorskich księżętach, którzy kiedyś przybędą, by poprosić je o rękę. Wszyscy synowie uczą się jeździć konno i trzymać miecz, jeszcze zanim na dobre odrosną od ziemi. Dziewczynka i chłopiec nie byli ani najbardziej ani najmniej ważni z królewskich dzieci, łączyło ich tylko to, że wyszli z łona jednej matki.

Dziewczynka zastanawia się czasem, dlaczego właśnie oni zostali wybrani, ale to tak naprawdę także nie ma znaczenia.

Szeptajacy w mroku, gorącym i lepkiem od zwierzęcego potu, tak było później.

Opowiadali, że przybywa ze wschodu, pożerając wioski i miasteczka.

Opowiadali, że nikomu jeszcze nie udało się go pokonać, choć wielu próbowało, czy to siłą oręża, czy też sprytem.

Tamtej gorącej i lepkiej nocy tuliła braciszka pośród siana, ciepła końskich ciał i woni strachu.

– Czy smok jest większy niż stajnia? – zapytał.

– Nie wiem – odparła.

– Większy niż kościelna wieża?

– Ciii, posłuchaj, ogiery rżą niespokojnie, pewnie już cieszą się, że jutro poniosą na swych grzbietach rycerzy, którzy zabijają smoka.

Dzieci rozpalają na środku komnaty ognisko; dym ulatuje przez wąskie okna w ciemność. Piękne mięso owcy, którą znalazły dogorywającą przy stołpie. Gdy wstaje czerwony dzień, ulice wypełniają się żywymi i martwymi zwierzętami, a czasem także ludźmi. Chłopiec nie wie, dlaczego tak się dzieje, jednak ufa siostrze, która tłumaczy mu, jakie mięso można jeść, a jakie nie. Dziewczynka potrafi również rozpoznać zdatną do picia wodę i wie, jak unikać czającej się wszędzie śmierci. Jest mądra, mądrzejsza niż dorośli, których czaszki szczerzą na ulicach biel zębów i niż król, który dawno temu uciekł wraz ze swoją żoną, nałożnicami i dziećmi licznymi niczym ziarna maku.

Tylko ona wie, jak przeżyć w świecie, gdzie jedynym władcą jest smoczy głód.

Chłopiec sięga po porzucony pod ścianą miecz, podnosi go z trudem i markuje kilka ciosów. Potem siada zdyszany obok siostry, płomień ognia wyławia z mroku przetykane złotymi nićmi arrasów, krwawy blask prześlizguje się po okuciach skrzyń, w których spoczywają porzucone skarby. Ciemność wydaje się oddychać wokół nich i wciąż cuchnie psującym się mięsem.

– Czy smok jest blisko? – pyta chłopiec.

– O tak.

– Bardzo?

– Tak. Ciii, posłuchaj, to bicie jego wielkiego serca.

Chrześcijański bóg zawiódł, król postanowił więc zwrócić się do starych, na wpół już zapomnian-

nich bóstw.

Szepty żerców w ciemności, pachnącej ostro jałowcowym dymem, tak było pod koniec.

Twierdzili, że nikomu jeszcze nie udało się pokonać smoka, choć wielu próbowało, czy to siłą oręża, czy też sprytem.

Twierdzili, że jedynie ofiara z królewskiej krwi może złagodzić gniew bestii.

Tak właśnie było pod koniec.

Gdy chłopiec zasypia, z dłonią wciąż zaciśniętą na rękojeści miecza, dziewczynka podnosi się ostrożnie i z pochodnią podchodzi do wypolerowanego miedzianego zwierciadła. Teraz nie jest już piękna, ale kiedyś była i być może to miało znaczenie.

Piękne były jej złote włosy, w które nianki wplotły białe kwiaty, piękna żałobna suknia, w którą odziały ją kapłanki. Jakże jaśniała uroda królewskiej córki, gdy stała wraz z bratem na wzgórzu za miastem, jak głośno zawodziły płaczki i jak wysoki był ofiarny stos.

Chłopiec porusza się we śnie, ostrze miecza uderza lekko o posadzkę. W komnacie rozlega się dźwięk, jak zduszona wpół harfiana nuta.

– Kiedy dorosnę – szepce dziecko – pokonam smoka.

Dziewczynka uśmiecha się smutno.

Tamtego poranka, ostro pachnącego jałowcowym dymem, tuliła braciszka w kwietniowym chłodzie i pośród śpiewu żerców. Jakże miękka była dłoń chłopca – ta, której już nie ma - i jak wielki lęk w oku, które zabrały wiślane wody.

– Czy smok jest większy niż kościelna wieża? – zapytał.

– Nie wiem – odparła, gdy niebo na wschodzie pociemniało.

– Większy niż zamek?

– Ciii, jesteście królewskimi dziećmi, pora godnie przyjąć śmierć.

Smok jednak nie był wielki jak koń, stajnia, kościelna wieża ani nawet zamek.

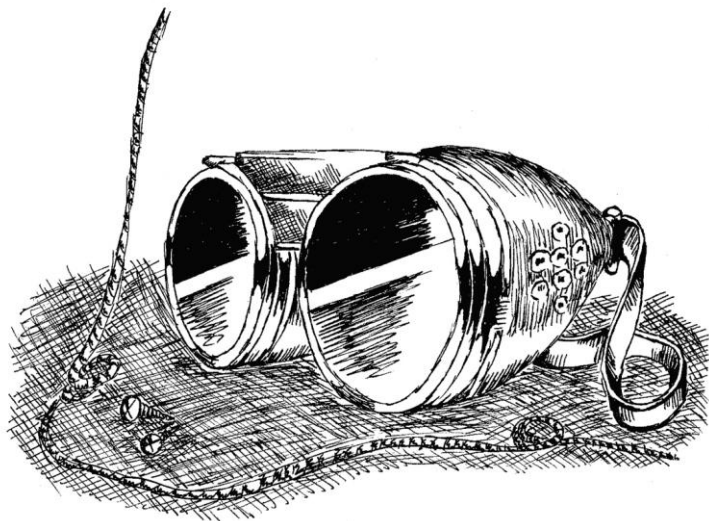
Był jeszcze większy, tak niewyobrażalnie olbrzymi, gdy połknął najpierw złożone mu w ofierze dzieci, a potem całe miasto.



Anna Kańtoch - Urodziłam się 28 grudnia 1976, z wykształcenia jestem arabistką, mieszkam w Katowicach. W 2003 podjęłam jedną z najważniejszych i najlepszych decyzji w życiu, czyli zapisałam się do Śląskiego Klubu Fantastyki – od tej pory jestem związana z fandomem na dobre i złe. Stan posiadanych kotów: dwa, w porywach do trzech.

Małpiarnia

Krzysztof Piskorski
ilustrowała Karolina Cisowska



„Walijski Smok” wspiął się tego dnia wysoko ponad chmury – w lodowate, suche przestrzenie, gdzie od mrozu sztywniały liny, trzeszczało poszycie, a szron inkrustował bulaje z wprawą upartego rzemieślnika – wszystko po to, by uniknąć geostormu,

budującego się poniżej lasem czarnych kolumn.

W starej gondoli, pod rufową częścią „Smoka”, tylko jeden piecyk walczył z zimnem, które wdzierało się do środka szerokimi na palec szczelinami. Gondola, zwana przez pasażerów pogardliwie małpiarnią, nie rozpadała się tylko dzięki mosiężnym okuciom i metalowym łatom. Od lat dokręcano je tam, gdzie poddawało się drewno, zmęczone ciągłymi skokami z upalnej wilgoci w mroźną suchość.

Jill lubił wyobrazać sobie, że kiedyś wygięta w łuk podłoga podda się z głośnym trzaskiem, a wszystkie małpy Angusa, wszystkie sieroty i posiniaczeni od uderzeń chłopcy, runą w otchłań. Ostatnim wspaniałym lotem pokonają mroźne przestrzenie nieba, wejdą w warstwę chmur, lśniących żyłkami etherowych wyładowań, miną energetyczne cyklony, zanurzą się w pyliste tumany geostormów, aż w końcu dotrą do Ziemi, której nikt z „Walijskiego Smoka” od dawna nie widział.

Jill nie bał się śmierci. Miał już dziesięć lat. Wiedział, że i tak wszyscy skończą na dole. Co miesiąc ktoś z małpiarni ginął, robiąc miejsce kolejnemu maluchowi. Takielunek okrętu, ten gigantyczny labirynt starych lin, prędko pochłaniał kolejne ofiary, a wśród sześciuset osób, które miały Prawa Pasażerskie, i wśród dwustu członków załogi, zawsze znalazł się ktoś, kto musiał sprzedać dziecko „Smokowi”. Nieliczne dożywały dnia, w którym robiły się za ciężkie, by chodzić po poszyciach balonów i zbutwiałych drabinkach. To jednak nie kończyło ich służby. Ku-

lawy Angus odsyłał je wtedy do innej gondoli, do koszar. Jill wiedział, że nawet jeśli wyjdzie kiedyś z małpiarni, to zapną go w połatany mundur, wsadzą mu na głowę czako z czerwonym smokiem, a do ręki wsadzą broń. Co bardziej naiwni chłopcy cieszyli się na tę myśl, ale Jill widział raz bitwę. Wystarczyło mu na całe życie.

Pamiętał jeszcze, jak „Walijski Smok” dopadł „Le Soleil”. Okręty spotkały się gdzieś za dwudziestym południkiem, ponad błękitnymi wylądowaniami etherowego Golsztrumu. „Smok” miał uszkodzone przez burzę generatory, więc nie było mowy o ucieczce, jeden ze statków musiał spaść.

Jill spędził bitwę na takielunku. Naprawiał poszycie, dziurawione strzałami z automatycznych kusz, obserwując rzeź na pokładach. Widział, jak żołnierze otwierali sobie brzuchy szablami, rozbijali głowy kolbami, jak – ciągnąc za sobą smugi krwi – spadali w sine chmury z krzykami bólu i strachu. Wreszcie, trafione zbłąkaną armatnią kulą, balony wodorowe „Le Soleil” zapaliły się, a ludzie na pokładach zaczęli topnieć pod ich żarem jak skwarki.

Nie, Jill nie pragnął zostać żołnierzem. Wiedział, że oni tak samo często giną, tak samo cierpią i boją się. Że też mają swoich Kulawych Angusów i rzadko dożywają dwudziestu lat służby, po których należy im się Prawo Pasażera.

Dziś Jill mógł nie myśleć o ponurej przyszłości. Skulony w jednym kącie z pozostałymi osiemnastoma małpami, starał się zasnąć, ignorując zimno i głód. Byli za wysoko, a na zewnątrz było za zimno, by ryzykować wchodzenie na węzlice. Jill był pewny, że w taki dzień Angus nie wejdzie na długi, chybotliwy mostek, który łączył ostatnią gondolę „Smoka” z małpiarnią. Inni chłopcy też to czuli. Stłoczyli się wokół piecyka, niemal dotykając jego rozżarzonych, żeliwnych boków. Wielu spało.

Podskoczyli, kiedy drzwi otworzyły się z hukiem, wpuszczając do środka lodowaty powiew. Wejście przesłoniła czarna, ogromna sylwetka. Oczy wszystkich sierot powędrowały na kij, który trzymała w dłoni. Czuli go na grzbiecie niejedną raz.

– Czerwona Jane puszcza – warknął Angus, wyraźnie niezadowolony, że musiał tu przyjść w taki ziąb. – Dalej, szczury. Ty, ty i ty. I ty, Howley. Nie chowaj się, bo jak cię zdiele... Do roboty!

Jill znowu był jednym z „tych”. Czasem myślał, że Angus go nienawidzi. A może chodziło o to, że wspinał się najlepiej z obecnej załogi? Może stary dozorca wyczuwał, że Jill najmniej dba o życie i dlatego niestraszna mu żadna stara drabina ani kładka?

Chłopiec wyszedł na mostek. Przed nim piętrzyły się pokłady, gondole i kapsuły, ponad którymi unosiły się połatane obłoki balonów, sczepione razem trudną do ogarnięcia płataniną starych lin.

„Walijski Smok” nie starzał się ładnie.

– Dalej! – Angus wziął zamach pałką.

Przeszli przez chybotliwy mostek, weszli na drabinki, ostrożnie pokonali trzeszczącą deskę, rozpiętą nad przepaścią między dwoma dużymi balonami. Sztorm w dole ustępował. Etherowe błyskawice jaśniały coraz rzadziej, a chmury zaczęły się rozwiewać. Statek powoli opadał.

– Prędeż, gówniarze! – Angus dyrygował nimi z dołu, z pokładu. Z tej wysokości wydawał się prawie niegroźny.

Wkrótce Jill zobaczył przed sobą Czerwoną Jane. Jej ogromna, nieforemna bulwa, opleciona siatką lin, dźwigała najcięższy z kadłubów – oryginalnego „Walijskiego Smoka”, dwupokładowy galeon o stu armatach na burtę, z wieżyczkami etherowych kulomiotów. To od niego wszystko się zaczęło. Cała reszta gondol i kapsuł doszła z czasem.

Czerwona Jane wyraźnie gubiła wodór. Kilku inżynierów w kozuchach, z goglami na twarzach, podpięto do niej od dołu przewody, ale – choć tłoczyli z tanków setki metrów sześciennych gazu – Jane była wiotka, sflaczała. Powłoki wisiały bezwładnie na żebrach.

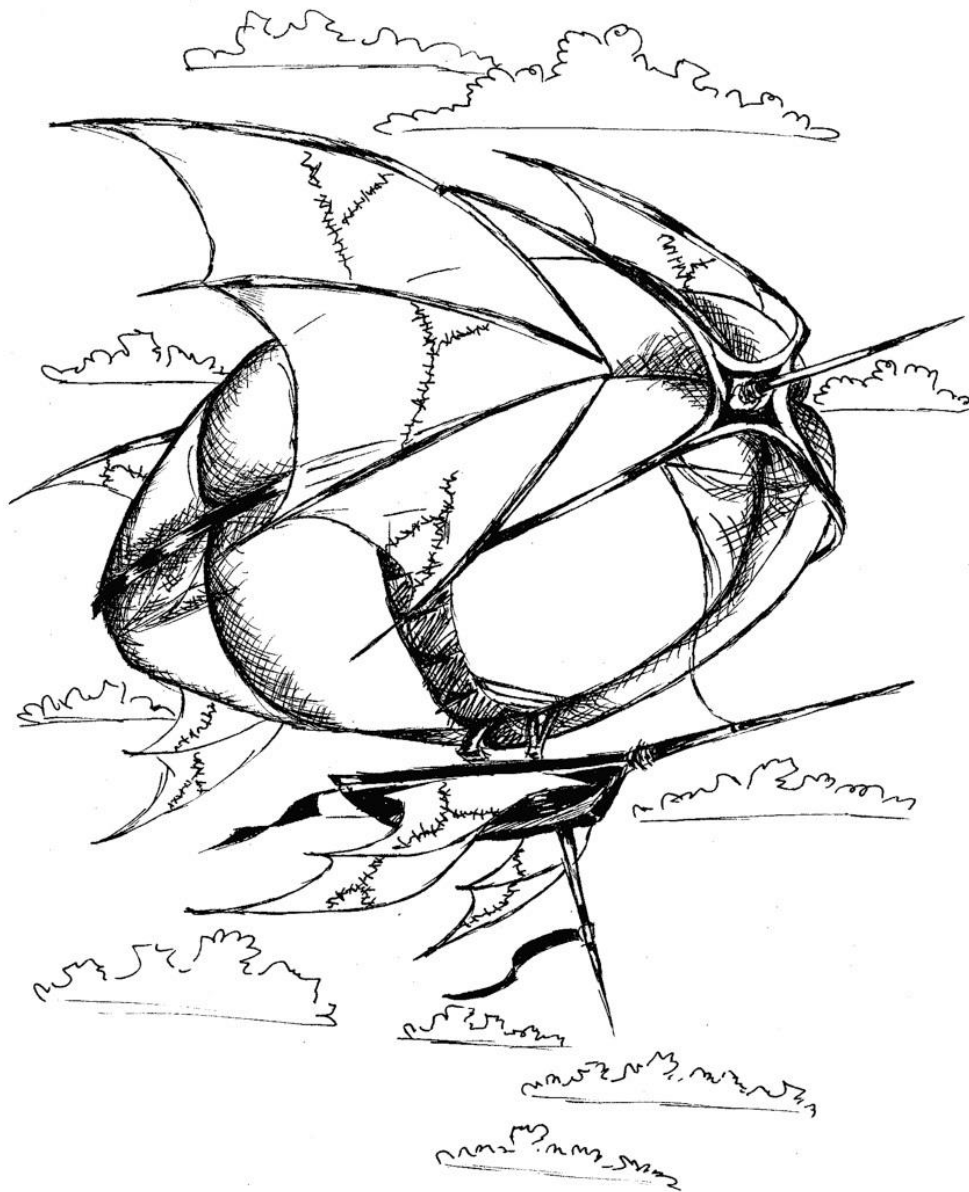
– Dalej! Znaleźć mi dziurę – krzyczał Angus.

Jill i reszta byli już na siatce oplatającej balon. Zapadali się razem z nią w czerwonym materiale. Szło się ciężko, jak w metrowej warstwie puchu. Jill ruszył na sam szczyt, tam, gdzie wydawało mu się, że spostrzeżł przeciek.

Wtem jeden ze szczebelków drabiny zerwał się, a Jill przeleciał na drugą stronę, prosto na powłokę. Przez chwilę wisiał na niej, ściskając kurczowo gruby materiał. W końcu wymacał za sobą linki i wrócił na drabinę. Odruchowo sprawdził, czy przy podartych portkach wisi dalej marynarski nóż z marspiklem. Angus karał szczególnie surowo za gubienie narzędzi.

Gdy Jill wymacał rękojęść, odetchnął z ulgą i spojrzał w dół, w otchłań, której znowu zdołał się wymknąć. I właśnie wtedy spostrzeżł coś w szczelinie między kadłubami. Coś złotego, błyszczącego wyłoniło się z chmur, dobre tysiąc stóp pod „Smokiem”

– Okręt! – Jill krzyknął z całych sił. – Okręt na horyzoncie!



To była stara kapsuła ratunkowa. Na mosiężnej, nakrapianej nitami bulwie widniał napis „J.C.M. Franciszek Józef”. Po zwiotczałych balonach i splątanym takielunku widać było, że dryfowała od dawna. Myśleli z początku, że jest pusta, jednak gdy tylko zbliżyła się do „Walijskiego Smoka”, ktoś wystawił przez bulaj rękę i zaczął wymachiwać chorągiewkami sygnałowymi.

Przez dwie godziny rada lordów dyskutowała w głównej gondoli, podczas gdy kapsułę trzymano na odległość strzału. „Smok” miał ostatnio kilka niefortunnych spotkań z dziwami, które rodziły się na dole, na starej ziemi, wśród geosztormów oraz zdziżalych etherowych bram, łączących Europę z labiryntem alternatywnych światów. Harpie, gigantyczne owady i inne mięsożerne stworzenia były najbardziej oczywistym zagrożeniem. Poza nimi z dołu przychodziły też niezrozumiałe zjawiska, osobliwe choroby...

Wielu lordów pragnęło zestrzelić kapsułę. Przeważył dopiero głos sędziwego admirała George’a Tyrone’a, który, rozdrażniony długą dyskusją (szczególnie mocno dręczyła go dziś podagra), wstał, rąbnął pięścią w stół i stwierdził wprost, że jeśli nie pozwoli mu podjąć rozbitków, to rezygnuje ze stanowiska.

Tyrone był ostatnim oficerem, który pamiętał jeszcze Royal Navy i pierwsze etherowe wojny w Europie. Pół życia spędził na dole. Groźba poskutkowała.

Bojąc się jakiegoś podstępu, rada kazała przycumować kapsułę do ostatniej gondoli, na rufie, nieopodal małpiarni. Gdy pojazd zbliżył się, a marynarze „Smoka” złapali rzuconą im linę, wszystkie małpy Angusa stały już w oknie.

Sam Angus, który był z oficerami na rufie, rzucał wściekle spojrzenia i wskazywał pałką, by schowali się do środka. Nie słuchali. Dla takiego widoku byli gotowi zarobić po grzbiecie.

Najpierw po trapie zszedł mężczyzna w pomiętym kombinezonie. Za nim – małpiarnia zaszemrała – młoda kobieta w pastelowej sukni z krynoliną, z parasolką na ramieniu. Suknia może była zszarzała i porwana na rąbku. Parasolka może szczyrzyła się wygiętymi drutami. Wciąż jednak ich właścicielka była najpiękniejszą osobą, jaką chłopcy widzieli przez całe swoje życie; zupełnie jak na dagerotypach, które zachowały się ze starego świata. Rzuciła jedno spojrzenie stłoczonym w okienku małpiarni dzieciom i uśmiechnęła się.

Dinky, który leżał Jillowi na plecach, zaczął pociągać nosem.

– Co się mażesz? – spytał Jill, gdy na karku wylądowała mu mokra kropla.

– Bo mi się... mama...

– Cicho, głupolu – reszta uciszyła Dinkiego.

Para długo witała się z oficerami „Smoka”. Następnie admirał poprowadził gości przez labirynt pokładów i mostków – do głównej gondoli. Więcej chłopcy nie zobaczyli, bo w tym momencie otworzyły się z hukiem drzwi małpiarni, a do środka wpadł kulawy Angus, podskakując na zdrowej nodze.

Zbili się w rogu w żalną kupę łachmanów i wychudzonych ciał. Nikt nie błagał o litość, nikt nie płakał. Wiedzieli, że to tylko rozwścieczy Angusa. Ten kilka razy uderzył pałką, ale bez przekonania. Potem charknął, splunął czarną flegmą na podłogę i wyszedł.

Załoga małpiarni odetchnęła.

Zostali znowu sami, głodni, zmarznięci. Czas mijał.

Gdy po pół godzinie usłyszeli, że ktoś znowu idzie mostkiem, zdziwili się. Było za wcześnie, by Angusowi chciało się wracać. A może stwierdził, że nie dostali wystarczającego łania?

Ale to nie pokraczna sylwetka ukazała się w drzwiach, tylko anioł w pastelowej sukni. Wnętrze natychmiast pojaśniało. Za kobietą spostrzegli panią admirałową, która protestowała, szarpiąc damę za rękaw. Kobieta uspokoiła ją dwoma słowami.

Chłopcy cofnęli się pod ścianę. Ben zasłonił wstydliwie brudną dziurę w rogu pomieszczenia, której używali jako toalety.

– Nie bójcie się – powiedziała z obcym akcentem dama.

Miała pogodną twarz i zielone, wesole oczy – całkowite przeciwieństwo zamroczonego wzroku Angusa i tępego spojrzenia admirałowej.

Dinky drgnął, ale wszyscy wciąż stali w miejscu.

– Podejdz. Jak masz na imię? – spytała chłopca, który wydawał jej się najwyższy, najodważniejszy.

– Jill – odparł Jill, robiąc dwa ostrożne kroki naprzód.

– A wasi... rodzice?

– Nie mamy rodziców. Znaczą Ben ma. I Ray, ale mama i tata musieli ich sprzedać do małpiarni, bo byli biedni.

– Małpiarni?

– To tutaj. Dlatego, że nazywają nas małpami Angusa.

– I co tu robicie?

– Naprawiamy takielunek.

– Takie małe dzieci? To niebezpieczne!

– Większość spada i ginie – kiwnął głową Jill.

Nie wiedział, dlaczego wzruszenie ściągnęło kobiecie twarz. Klękła przy Jillu i przytuliła go, szepcząc:

–Moje biedne dziecko...

Przestraszył się. Reszta musiała być tak zazdrosna, że w nocy pewnie stłuką go na kwaśne jabłko. Na szczęście dla Jilla, kobieta przytuliła i poczochnęła po głowach także pozostałych. Potem sięgnęła do torebki i zaczęła rozdawać kawałki cukru trzcinowego.

Cukru! Dzieci z małpiarni nigdy wcześniej nie miały go w ustach.

„Walijski Smok” potrafił wyżywić pasażerów. Zbudowano go z myślą o tym, by nie musiał lądować na ziemi, kiedy naukowcom z Royal Society wydawało się jeszcze, że etherową katastrofę można przeczekać w przestworzach; że planeta kiedyś znormalnieje. Okręt miał wielkie, otwarte pokłady-szklarnie, ale sadzono na nich głównie bób, groch, dynię – rośliny wybrane dlatego, że najłatwiej pozwalały wyżywić wielu ludzi. Były też pieczarkarnie, a nawet kurnik oraz stado kóz i owiec. Jednak do małpiarni trafiała tylko breja z rozgotowanej dyni oraz kuchenne pomyje.

Podobno niektóre statki słały jeszcze na dół misje zaopatrzeniowe. Admirał Tyrone zakazał tego prawie pięć lat temu, gdy „Smok” stracił dwie ekspedycje pod rząd. Teraz z dołu brali tylko wodę – a i to nieczęsto.

Po tym, jak dama rozdała im słodkości, chłopcy zaczęli błagać, by zdradziła, skąd pochodzi.

Pani admirałowa zaczęła krzyczeć, by zostawili gościa w spokoju, lecz kobieta ją zignorowała. Siadła na stołku pośrodku małpiarni i zaczęła opowiadać swoją historię spokojnym, matczynym głosem.

Jej kapsuła pochodziła z okrętu o tej samej nazwie, galicyjskiego pancernika o trzystu działach i dwudziestu ośmiu gondolach. Statek badał doniesienia, według których na dole, pod wiecznie wzburzoną warstwą chmur, istniały jeszcze miasta. A konkretnie – Kraków, który dostrzegli raz zwiadowcy innego okrętu.

Ale „J.C.M. Franciszek Józef” nie zdołał odszukać Krakowa. W okolicy 19.9°E, 50°N trafił na potężny geostorm. Mijając go, załoga zobaczyła racę alarmową w zewnętrznych warstwach burzy. Skierowała tam okręt, spodziewając się drugiej jednostki w potrzebie.

Weszli w gęste, dziwne chmury, z których po krótkim locie wyskoczyli prosto na brzeg gigantycznego wiru, w oko cyklonu wielkiego jak ziemskie morza, opadającego w dół pozornie nieskończonym lejem. Okrętem szarpnęło, zerwała się część takielunku, wybuchła panika. Dama zemdlała.

Następne, co pamiętała, to zapach soli trzeźwiących. Znalazła się z mężem sama, w uszkodzonej kapsule ratunkowej. Błądzili w tych chmurach jeszcze parę dni, raz trafiając ponownie na krawędź wiru. Nie odnaleźli jednak ani „J.C.M. Franciszka Józefa”, ani innych kapsułów, które mogły z niego pochodzić. Tymczasem front burzowy odsunął się – albo to oni znaleźli z niego wyjście. W każdym razie wylecieli na otwartą przestrzeń, a niedługo potem trafili na „Walijskiego Smoka”.

Chłopcy słuchali z otwartymi ustami. Kobieta uśmiechnęła się, widząc tak wielkie zaangażowanie na twarzach słuchaczy.

Chciała powiedzieć im coś jeszcze, ale nie zdążyła. Na mostku pojawił się Angus, który zaczął krzyżeć na panią admirałową za to, że przyprowadziła gościa do najbrudniejszej, najbardziej wstydlivej części okrętu. Admirałowa niemal siłą wyciągnęła z małpiarni damę, która na odchodnym posłała jeszcze chłopcom całusa i obiecała, że wróci jutro.

Gdy drzwi zamknęły się, długo nie mogli dojść do siebie.

Pierwszy raz od lat ktoś się nad nimi litował. Wielu przypomniały się ich własne matki – tajemnicze istoty, skryte za mgłą dziecięcych wspomnień, które pachniały wodą lawendową i krochmalem.

Tej nocy nawet Jill płakał.

Kobieta nie przyszła następnego dnia.

Nie mogła. Jej kapsuła rozplynęła się w powietrzu, zostawiając po sobie tylko dyndające na wietrze liny. Gdy załoga odkryła to rano, wszyscy wpadli w konsternację. Jak to możliwe, że nikt z wartowników nie spostrzegł oddalającego się pojazdu? Jak para, która spała w głównej gondoli, mogła prześlizgnąć się niepostrzeżenie do kapsuły?

Mieszkańcy „Walijskiego Smoka” dyskutowali o tym cały ranek. Żołnierze sprawdzili, czy nic na statku nie zginęło albo nie zostało uszkodzone. W końcu wszyscy wzruszyli ramionami. Dziwniejsze rzeczy działy się już w świecie pod władzą zdziczałego etheru.

Późnym popołudniem chłopcy z małpiarni łatali akurat sparciąłe gumowe przewody, prowadzące wodór do balonów w sekcji trzeciej, gdy zadźwięczała syrena.

Kapsuła wracała.

Znów na rufie zebrał się komitet, znów przycumowano pojazd pod baczynym okiem strażników. Gdy para wyszła na trap, admirał Tyrone był wściekły. Żądał wyjaśnień, chciał wiedzieć, dlaczego odcumowali bez zezwolenia i gdzie właściwie spędzili ostatnie kilka godzin.

Kobieta i mężczyzna z „J.C.M. Franciszka Józefa” zareagowali zdziwieniem. Twierdzili, że nigdy wcześniej nie spotkali „Walijskiego Smoka”. Fakt, że traktowano ich z tak niekrytą wrogością, bardzo ich zaskoczył.

Pod strażą przeprowadzono parę do głównej gondoli, gdzie przez godzinę odpowiadali na krzyżowy ogień pytań. Potem, gdy rada lordów upewniła się, że przybysze rzeczywiście mówią prawdę, sytuacja trochę się uspokoiła.

Po południu lordowie zgodzili się nawet, by zmęczoną przesłuchaniami damę oprowadzono po „Smoku”. Znów – mimo sprzeciwów admirałowej – trafiła do małpiarni, która przyciągnęła jej wzrok jak magnes.

Chłopcy byli z początku trochę skonsternowani tym, że dama ich nie pamięta. Ale jej dłoń wciąż była tak samo miękka, suknia tak samo pachnąca, a lniany woreczek znowu był pełen słodkości.

Na chwilę zapomnieli o swoim losie.

Niestety, po południu kapsuła zniknęła jeszcze raz. Rozpłynęła się na oczach strażników, trap spadł w otchłań, liny zafurkotały. Zawył alarm. Wkrótce admirał miotał się, wściekły, po rufowej gondoli, a dzieci z małpiarni śledziły go z otwartymi ustami.

Wieczorem kapsuła powróciła. Tym razem powitano ją strzałami ostrzegawczymi. Ludzie patrzyli na pojazd z wyraźnym strachem. Ether potrafił wiele, nikt nie chciał ryzykować bezpieczeństwa „Walijskiego Smoka” i jego ośmiuset mieszkańców tylko po to, by dowiedzieć się, kim naprawdę byli przybysze.

Dzieci z małpiarni płakały, gdy marynarze przegrali „J.C.M. Franciszka Józefa”. Na błagania pilota odpowiedział grad bełtów, które zadzwoniły na mosiężnych burtach kapsuły. Gdy ta została w tyle, admirał warknął: „Cała naprzód”. „Smok” przyspieszył.

Nie minęło kilka godzin, a kapsuła powróciła. Znów pojawiła się pod „Smokiem”, nieco z przodu.

Tego było już za wiele. Admirał Tyrone rozkazał, by zdmuchnąć dziwny obiekt z nieba. Chłopcy patrzyli, przerażeni, jak marynarze wytaczają na pokład etherowy kulomiot. Nigdy nie

używano ich w powietrznych walkach, bo jeden niefortunny strzał w balony mógł doprowadzić do eksplozji wodoru, która potrafiła zniszczyć oba walczące statki.

Zaiskrzyła cewka. Krzyknął porucznik w czerwonej kurtce, świsnęły pociski, zostawiając za sobą sine smugi. Balon kapsuły zajął się ogniem, a ona spadła, wirując jak ranny świetlik, prosto w grubą warstwę chmur.

Marynarze „Smoka” zaczęli krzyczeć z radości. Nie wiedzieli, nad czym odnieśli zwycięstwo, ani co im groziło, ale sam fakt zwycięstwa wystarczył, by poprawić nastroje.

Ale to nie był koniec. Pojazd powracał jeszcze kilka razy, w coraz mniejszych odstępach czasu i na coraz krócej. W końcu zamajaczył tylko na horyzoncie – i zniknął na dobre.

W małpiarni zapanował ogromny smutek. Tajemnicza dama zniknęła z życia chłopców. Został tylko kij Angusa, praca do utraty sił, zimno i ohydne pomyje z kuchni.

Jeszcze nigdy własny los nie wydawał im się tak nieznośnie smutny.

Podczas kolejnego wyjścia stracili Howleya. Podobno odpadł od takielunku, ale Dinky, który był świadkiem, twierdził, że Howley puścił się sam.

Następnego dnia „Walijski Smok” pędził na południe z prędkością osiemnastu węzłów, pchany wszystkimi śmigłami. Przystworza otwierały się przed nim jak puszysty korytarz. Mijał majestatyczne kolumnady wysokich *cumulonimbusów*.

Małpy Angusa otrzymały nowe zadanie. Przyszło im czyścić od środka wielkie, miedziane zbiorniki deszczówki. Woda – uzupełniana dzięki opadom, a w razie niedoboru pompowana z rzek lub jezior – miała dla „Walijskiego Smoka” podwójne znaczenie. Po pierwsze, potrzebowali jej pasażerowie. Po drugie, od dwudziestu ośmiu lat utrzymywała okręt w powietrzu.

„Walijski Smok” unosił się dzięki prostemu cudowi elektrolizy. Huczące w maszynowniach etherowe cewki, znacznie ulepszone od czasu prototypu Alessandro Volty, potrafiły dostarczyć dowolną ilość elektryczności. Oprócz niej potrzebna była tylko woda. Podawana przepływowi prądu, rozdzielała się na tlen i czysty wodór, który z kolei tłoczono do balonów „Smoka” systemem kauczukowych przewodów.

By woda nadawała się do picia, ściany tanków co jakiś czas trzeba było oczyszczać z

glonów i osadu. Dziś do środka piątego zbiornika spuszczonego Jilla i dwóch innych chłopców. W środku pachniało stęchlizną i metalem.

Nawet przy pracy Jill nie przestał zastanawiać się nad tajemniczą sprawą gości z „Franciszka Józefa”. Szorował ściany i myślał o kapsule. Myślał o kapsule i szorował. Jednocześnie nucił sobie melodię, a jego głos odbijał się w zbiorniku zwielokrotnionym echem. Powracał coraz słabszy, odleglejszy.

Nagle Jill zamarł. Zanucił jeszcze raz. Echo zagrzmiało w tanku i powoli ucichło. Szorstka gąbka wypadła z rąk chłopca.

Wiedział już coś, czego nie domyślał się nikt inny na „Walijskim Smoku”.

Wieczorem okręt wciąż trzymał kurs na południe. Pchał go w tę stronę rzeński wiatr, który z każdą chwilą przybierał na sile, rozpędzając „Walijskiego Smoka” bardziej, niż były to w stanie zrobić elektryczne śmigła. Choć takielunek napinał się i trzeszczał, nie przeszkadzało to marynarzom. Wszyscy marzyli tylko o momencie, gdy wylecą na spokojniejsze, ciepłe przestrzenie niebios. Byle dalej od dziwnej kapsuły.

Niedługo przed zmierzchem z masztu obserwacyjnego przyszło ostrzeżenie. Przed jednostką rozciągała się wysoka ściana chmur. Admirał nakazał pasażerom ukryć się w gondolach. Front był zbyt szeroki, by go ominąć, a walka pod wiatr mogła zabrać „Smokowi” wiele dni.

Wsunęli się w chmury przy dźwięku syren. Sierżant Garwith na wszelki wypadek wypędził na pokład piechotę. Żołnierze przestępowali z nogi na nogę, trzymając w dłoniach wyrzutnie abordażowych haków. Ledwo widzieli ich końce.

Nie trwało to długo. Wkrótce „Walijski Smok” wyleciał znowu na otwartą przestrzeń, lecz zamiast odgłosów ulgi na pokładzie rozległy się okrzyki strachu. Marynarze mieli przed sobą widok straszniejszy niż wszystko, co widzieli podczas trzydziestu lat tułaczki po niebie.

Trafili na krawędź leja o ścianach z sinych obłoków, który schodził w otchłań, głęboką na wiele mil. Lej był tak ogromny, że ledwie widzieli jego drugi kraniec. Zasysał wszystko wokół, a powietrzny prąd, który od tyłu godzin pchał okręt, spadał w dół po spirali – w sam środek cyklo-

Do admirała Tyrone'a, który ścisnął kurczowo barierkę kapitańskiego mostka, dotarła okropna prawda. Ta dziwna burza, która pochłonęła „J.C.M. Franciszka Józefa”, przesuwała się widocznie cały czas przed „Smokiem”. Jak żywy drapieжник, czekała na dobrą okazję, by zaatakować.

To nie był zwykły cyklon. Chłopcy z małpiarni, którzy wychylali się przez bulaj, widzieli jego wnętrze lepiej niż ktokolwiek inny. Znajdujące się na samym dnie oko przypominało kalejdoskop. Mieniło się w nim kilkanaście obrazów. Na każdym „Walijski Smok” zmierzał ku tajemniczemu cyklonowi, na którego dnie widać było „Walijskie Smoki” zmierzające ku kolejnym cyklonom...

- Cała wstecz! Generatory na sto dwadzieścia procent! – krzyknął admirał.

Ryzykował, że etherowe cewki stopią się albo eksplodują, ale to wydawało się mniejszym hazardem niż pandemonium pod dziobem „Smoka”.

Marynarze biegali po pokładach, inżynierowie rzucili się do maszyn, generatory słały iskry, pasażerowie krzyczeli ze strachu. Z maszynowni zaczęło wiać czarnym dymem.

Tylko w małpiarni panowała cisza.

Chłopcy słuchali Jilla, który stał na środku ugiętej podłogi i tłumaczył im wszystko cierpliwie.

Opowiadał, że i tak w końcu zamarzną, umrą z głodu albo skończą w dole. A nawet jeśli dożyją dwunastu lat, zginą z karabinem w rękę. A nawet jeśli nie, to któregoś dnia balony „Walijskiego Smoka” zapłoną dokładnie tak, jak balony „Le Soleil”, zmieniając wszystkich na pokładzie w poskręcane skwarki. Mówił, że okręt, który potrafi dać swoim pasażerom tylko smutek, ból i cierpienie, nie powinien latać. Że od ich decyzji zależą losy nie tylko obecnych małp, ale i niezliczonych dzieci, które w przyszłości będą sprzedane do małpiarni.

Chłopcy kiwali głowami. Czuli to samo. Smak innego życia, który poznali dzięki damie z „Franciszka Józefa”, nie dawał im spokoju.

Gdy Jill przedstawił alternatywę, długo panowała cisza. Dunk spytał, czy będzie boleć.

– Nie – odparł Jill. – To musiał być lekki, łagodny koniec. Oboje nawet nie zauważyli, że nie żyją.

Dzieci wciąż nie były przekonane, więc wytoczył ostatni argument. Nim jeszcze skończył zdanie, widział, że wszyscy się zgodzą.

Już, już „Smok” odrywał się od nieskończonego spiętrzenia horyzontów, które gotowe było zamknąć go w pętli; już cofał się, dzięki wysiłkowi wszystkich śmigieł; już marynarze zaczęli krzyczeć z radości, gdy nagle etherowa błyskawica, która rozerwała się na dnie wiru, pod-

świetliła na chwilę okrętowe balony. Jakiś żołnierz krzyknął, wskazując palcem w górę. Zaraz po nim krzyknął też Kulawy Angus.

Poszycia roily się od chudych, obszarpanych sierot, które oblażyły czubek „Walijskiego Smoka” jak mrówki.

Kolejna błyskawica zaskrzyła na nożach, które chłopcy trzymali w zębach.

Otchłań wzywała, otwierając szeroko piekielną komnatę luster.

Następnego dnia chłopcy z małpiarni, jak gdyby nigdy nic, wyszli na Czerwoną Jane łątać przeciek wodoru. Angus dyrygował z dołu, był piękny, słoneczny dzień. Gdy na horyzoncie pojawił się kształt przypalonej ratunkowej kapsuły, nie wiedzieli jeszcze, kto zejdzie z niej na pokład. Nie mogli wiedzieć.

Godzinę później w drzwiach małpiarni pojawiła się dama w sukni, a miękka dłoń spoczęła im na głowach. Przeżywali to równie mocno, jak za pierwszym razem.

Po dwóch dniach przygód z powracającą kapsułą dolecieli do wiru. Potem znów łątali Czerwoną Jane. Spotkali kapsułę...



I w ten sposób Jill jeszcze kilka razy był. I był. I był. Za każdym razem słabiej, krócej; niksące echo rzeczywistości.

Ostatni raz wydał mu się ulotny i mglisty, jak sen w słoneczne popołudnie.

Krzysztof Piskorski - urodzony w 1982 roku autor z Wrocławia, który od kilkunastu lat uderza w klawiaturę próbując ułożyć 33 litery polskiego alfabetu w ciekawe konfiguracje, co zostawiło ślad w postaci siedmiu opublikowanych książek i kilkunastu opowiadań.

Żeglarz, perkusista, wielbiciel historii oraz literatury. Studiował archeologię, informatykę, pracował m.in. jako dziennikarz komputerowy. Debiutem literackim Krzysztofa Piskorskiego było opowiadanie wydrukowane w 2004 roku na łamach wydania specjalnego Nowej Fantastyki - choć już wcześniej publikował scenariusze i artykuły związane z grami fabularnymi.

Później stworzył m.in. orientalizujący cykl "Opowieść Piasków", wyróżnianą alternatywną historię „Zadra” oraz powieść "Krawędź Czasu", w której połączył kabałę z Polską okresu rewolucji przemysłowej. Krzysztof Piskorski był także licznych opowiadań publikowanych w antologiach oraz magazynach.

Zdaniem niektórych - naczelny polski pisarz nurtu steampunkowego.

Grzegorz Piórkowski
ilustrowała Karolina Cisowska



Powiedział jej rzemieślnik:

– Lalka jest gotowa. Taka jak chciałaś, wszystko. Nikt takiej nie ma, i nikt nie będzie miał, bo chyba nikt by takiej nie chciał. I ostrożnie musisz się z nią obchodzić, mechanizmy są delikatniejsze niż te montowane zazwyczaj. Nie tłucz go po głowie, bo zepsujesz, a tylko ja, że daruję sobie skromność, tylko ja potrafiłbym go naprawić. Wyjeżdżam jednak, opuszczam Kraków i nie wiem, czy tu jeszcze wrócę. Ale – weź go. Aby wprawić w ruch, musisz nakręcić, i pamiętaj, trzy obroty, dokładnie trzy, rozumiesz? Dobrze, weź i idź. Zawołam kogoś, żeby ci pomógł.

I wracała Jagna od mistrza lalkarskiego, zamyślona. Patrzyła w niebo, na Wielką Oś, tnącą nieboskłon na pół, patrzyła, jak się chmury kręcą, jak się horyzont obraca.

W domu zaś lalkę posadziła na miękkim fotelu, a sama usiadła naprzeciwko.

Kukłę oblewało światło z wysokiego okna. Przyglądała się chwilę gładkiemu obliczu z jasnego, orzechowego drewna, oczom – szklanym kulkom – i sztucznym włosom. Za tym wszystkim kryły się mechanizmy, koła zębate i przekładnie, teraz martwe, ale wystarczyło je nakręcić i ożyje drewniany chłopiec, zamruga lalkowymi powiekami.

Sięgnęła dłonią pleców kukły, wsadziła jej dłoń za koszulę (ubrała ją wcześniej).

Krrt – przekręciła śrubkę.

I oto jest mój chłopiec – pomyślała. – Mój własny, własny, własny.

Krrt.

I ożyje mi tu zaraz w rękach, nikt takiego nie ma, nikt nie potrafi zrobić takiego, bo zrobić takiego –

Krrt.

To jak zrobić człowieka!

Krrt.

Mój Boże, trzy!

I cofnęła Jagna dłoń, i potem namacała jeszcze raz śrubkę, przeszło jej przez głowę – cofnąć, nie cofnąć? Nie cofnęła. Nie chciała zepsuć.

Wycofała się zaraz, siadła na fotelu, oparła dłonie na kolanach - i czekała. Patrzyła w szklane oczy, obserwujące nicość, patrzyła na martwe usta – aż zamrugła lalka drewnianymi powiekami, aż rozchyliła usta i wyprostowała się, a Jagna wciągnęła powietrze głośno, przytknęła dłoń do piersi.

Rozejrzał się, zamrugał ponownie, podniósł dłoń, przysunął sobie pod oczy, zwinął palce, rozwinął. A potem zobaczył swoją właścicielkę.

– Możesz mówić? – spytała po chwili Jagna.

Kiwnął głową, na znak, że może.

– Powiedz coś.

Rozchylił usta, zamknął, rozchylił znowu.

– Nie wiem co.

Głos miał głuchy, jakby młody chłopak mówił do niej zza drewnianej ściany.

– Nie szkodzi. Nic nie szkodzi. Ja cię wszystkiego nauczę.

– Wszystkiego?

– Tego, jak być człowiekiem.

– Człowiekiem?

– Tak. Takim jak ja. Ja jestem człowiekiem. Ale ty też możesz nim być.

I chłopiec drewniany obejrzał się cały, dotknął twarzy swojej, szyi, piersi i przyglądał się jasnemu drewnu własnych rąk. Potem spojrział na Jagnę, na jej skórę ludzką, na włosy prawdziwe, zajrzał w oczy białe, zupełnie nieprzypominające szklanych kulek.

– Nie mogę być człowiekiem. Jestem inny.

– Nieważne jest to, co na zewnątrz. Ważne jest to, co masz w sobie.

– A co mam w sobie?

– Możliwości, których nie ma nikt podobny tobie.

– Jest nas więcej? Takich jak ja?

– Takich jak ty? Nie.

I wzięła go na spacer, zabrała go na dwór i spojrzął prosto w słońce, a dłonią przysłonił oczy dopiero, gdy zobaczył, że Jagna tak robi, i patrzył długo. Patrzył też na ludzi wszystkich, na dorożkarzy, plujących – wtedy chciał splunąć, ale nie mógł – na panów wyfraczonych (złapał się wtedy za poły zbyt dużej, kraciastej koszuli, w którą go ubrała), na panienki z parasolkami, na uliczników, ganiających się wokół kałuży (do kałuży biec już nie chciał).

Potem spojrzął w górę, na Wielką Oś i na inne obręcze, które już zaczęły wchodzić nad miasto.

– Co to? – spytał, pokazując.

– To jest Wielka Oś. Ona wyznacza rytm miasta. Niedługo schowa się za tamtymi budynkami, a jak zniknie, zrobi się ciemno, a jak się z brzaskiem pojawi z powrotem, z drugiej strony, to będzie znaczyć, że miasto zrobiło pełen cykl.

– Cykl?

– Tak. Miasto się obraca.

– Jak?

– Jest wielka moc, napędzająca wszystkie maszyny w mieście, wszystkie silniki fabryk, cały mechanizm obrotowy. Wielkie tłoki i koła zębate, wprawiane w ruch siłą maszyn parowych. A wodę do nich grzeje smok.

– Smok?

– Zamknięty w samym sercu miejskich podziemi, swoim ogniem grzeje wodę – bez tego żadna z tych maszyn by nie działała.

– Czy smok też jest człowiekiem?

– Och, nie, głuptasie. Smok nie może zostać człowiekiem, bo jest smokiem.

– Jak wygląda?

– Jest wielki, pokryty łuską, ma skrzydła i ziejże ogniem.

– Czyli nie wygląda jak ludzie.

– Zupełnie nie.

– I dlatego go tam więżą? W tych podziemiach? Żeby pracował dla nich, bo nie jest człowiekiem?

– To nie tak.

– A ja też nie wyglądam jak człowiek. Mówiłaś, że są inni, podobni mnie. Co oni robią?

Do czego są potrzebni?

– To nie tak. Zupełnie nie tak. Chodź, pokażę cię komuś.

I poszedł z nią drewniany chłopiec do jej znajomych, i oglądali go wszyscy, wzdychali, słuchając, czego to on się może nauczyć, co potrafi, jakie ma możliwości – drewniany chłopiec oczywiście nic z tego nie rozumiał, patrzył tylko na nich wszystkich, patrzył w oczy, tak różne od jego własnych.

Jagna zabrała go w końcu z powrotem do domu:

– Teraz będziesz tu mieszkał – powiedziała mu, a potem położyła się do łóżka i zasnęła.

On spać nie mógł. Był z drewna.

Wymknął się więc w nocy.

*

Jagna wstała rano, zaczęła go wołać, przeszukała mieszkanie, znaleźć oczywiście nigdzie nie mogła.

Wyszła więc szukać, szukać wszędzie tam, gdzie byli wczoraj, wypytywać znajomych i sprzedawców – nikt jej chłopca drewnianego nie widział. Ale to nie szkodzi – mówili – kupisz sobie nowego. Ona odpowiadała, że takiego nie kupi, że ten jest specjalny.

Poszła również do mistrza, który jej chłopca wykonał, ale zastała tylko zawarte na głucho drzwi do pracowni – tłukła w nie pięstkami i krzyczała, aż się na nią ludzie z ulicy oglądali, w końcu podszedł do niej młody chłopak.

– Nie ma mistrza, panienko. Wyjechał wczoraj, w wielkim pośpiechu. Mówią ludzie, że nie wróci już tutaj. Że to już zmierzch jego życia, że osiągnął już wszystko i pojechał umrzeć gdzieś bardzo daleko.

A Jagnie już łzy ciekły po policzkach.

Drewnianego chłopca znalazła później, gdy wróciła zapłakana do domu. Czekał na nią. W reku miał nóż rzeźnicki.

Bo nie było go ani u jej znajomych – którzy wydali mu się wyjątkowo mało ludzcy. Nie

poszedł też szukać swego twórcy, mistrza lalkarskiego – bo nie wiedział zupełnie, kto go stworzył. Nie poszedł też łaźać po mieście, by samowolnie oglądać jego cuda.

On poszedł na dół.

Zszedł w korytarze ciemne krakowskiego grodu, zszedł w mroczne kanały, pełne szczurów, w długie tunele, teraz już po części zapomniane. Szedł przez mechanizmy obrotowego miasta, szedł i podziwiał wielkie przekładnie i zębate koła, nie wiedząc, że w głowie ma podobne, jednak o wiele bardziej skomplikowane i mniejsze. Podziwiał wielkie maszyny, plujące w niego gorącą parą, patrzył na ubrudzonych sadzą robotników w grubych okularach, którzy go nawet nie dostrzegli.

I schodził tak, i schodził. Po drodze spotkał wielkiego szczura, który, chcąc zostać człowiekiem – tak jak chłopiec drewniany – nauczył się mówić językiem ludzi i powiedział, że teraz bardzo tego żałuje.

Spotkał też bandę głodnych dzieci, których matką była bieda i które odrzucił świat na górze. Ale i one odrzuciły życie na powierzchni, i tak samo odrzuciły drewnianego chłopca, bo w biedzie swojej był tak bardzo inny. Chciały go wrzucić do ognia, ale uciekł im.

Znalazł też chłopiec pozytywkę brudną, z porcelanową baletnicą, i chciał ją naprawić, ale mu się nie udało. Zły, cisnął ją precz, stłukła się.

Znalazł jeszcze wiele rzeczy, wiele dziwów ujrzał.

A dotarł aż do smoka.

Dotarł do bestii spętanej, z której pyska strzelał ogień, podgrzewając wielkie ilości wody w ogromnych kotłach, mające wprawić w ruch całe miasto, dać mu energię nieskończoną.

I potem wrócił, wrócił do Jagny, gdy już wszystko zrozumiał.

– Gdzieś ty był? – powiedziała, podchodząc. – Martwiłam się. Szukałam!

– Widziałem smoka. Teraz wiem wszystko.

– Aleś się ubrudził! Wszystko? Co?

– Ten smok nie jest smokiem.

– Nie jest smokiem?

– Nie. Jest taki jak ja. Stałem, wołałem do niego. Że może być, kim zechce. Nie musi być smokiem zniewolonym. Zajrzałem mu do pyska. A tam, w środku, maszyna. Tam, w środku, wszystko żelazne, wszystko samo się rusza, jakieś kadzie z żółtą mazią, miechy wielkie - i tak tym ogniem zieję. I on nie jest smokiem.



– Ale...

– Ale wszyscy sądzą, że nim jest. Ubrali go w ciało i w skórę. Dali mu oczy i pysk straszny. I teraz jest smokiem. Już rozumiem wszystko.

– Co?

– Nie trzeba być smokiem, żeby być smokiem. Nie trzeba być człowiekiem, żeby być człowiekiem.

– Nie, nie tak, nie o to mi chodziło...

Podchodził do niej z nożem rzeźnickim, który zabrał jeszcze w podziemiach polującym na ludzi mordercy – morderca kroił ich potem i karmił nimi upiory, żyjące między trybami miasta. Chłopiec zabrał mu nóż, który lśnił teraz i odbijał się ten blask w oczach Jagny.

– Ty sama tego nie rozumiesz. To tylko ciało. Tak, mówiłaś, że liczy się, co jest w środku. Ale wystarczy się przebrać. Wystarczy nałożyć na siebie to wszystko. Mięso. Skórę. Mogę być człowiekiem.

– Odłóż to!

– Nie tylko człowiekiem. Mogę być, kim zechcę. Każdym. Tobą. Twoimi przyjaciółmi. Mogę stać się wszystkim. Nawet smokiem. Wystarczy tylko przebranie.

– Zostaw mnie!

– I, prawda, pytał się mnie szczur gadający – że czemu tym człowiekiem? Czemu się tak uparłem na człowieka? I nie mogłem mu odpowiedzieć. To jest coś w głowie, powiedziałem w końcu. Coś, czego wyjaśnić nie potrafię. Takim mnie zrobiono. Ale teraz wiem już, że nie tylko człowiekiem. Że wszystkim. Można być wszystkim. Słyszysz? Słyszysz?

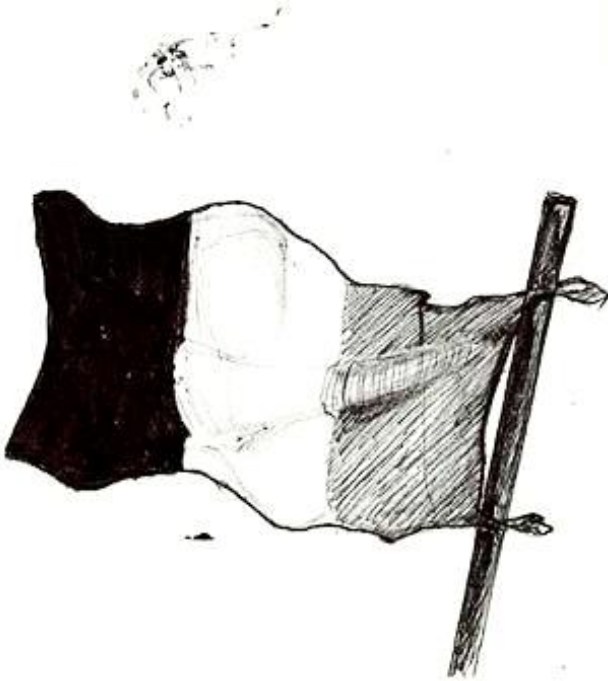
Nie słyszała.

Grzegorz Piórkowski - rocznik 1988. Opowiadanie "Kukła" jest jego debiutem na papierze. Zdobywca drugiego miejsca w jubileuszowym konkursie Nowej Fantastyki za opowiadanie "Cyrograf". Kolejny jego tekst ukaze się w antologii wojennej Fabryki Słów zatytułowanej "I żywy stąd nie wyjdzie nikt".

Krakowianka jedna miała chłopca z drewna zainspirowała zakład z Karoliną Cisowską, którego efektem jest „Kukła”.

Pierwszy człowiek w eterze

*Adam Podlewski
ilustrowała Ewa Skuza*



Chłopcy od Piłsudskiego znów okazali ułańską fantazję i balon Fiodorowa wybuchł ledwo dwadzieścia mil ponad Syberią. Na zanieczyszczenie paliwa rady nie było – wystarczyło, aby terrorysty dosypali garstkę żelaznych opiłków do stufuntowego kosza tungustytu, a prędzej czy później rosyjskie piece musiały eksplodować w kuli niebieskiego ognia. Z przyczyn czysto praktycznych, nie można było sprawdzać pięć razy dziennie meteorytowego węgla, a przedostanie się przez warty kosmodromu w Irkucku było widać nie aż tak trudne. Ale Duvall wiedział, że

gdyby nie żelazne opiłki polskich rewolucjonistów, Carat wysłałby pierwszego człowieka do Sfery Księżycowej.

Nie było szansy dla Słodkiej Francji, już od dawna nie było.

Rosjanie byli bardzo blisko; już trzecia poważna próba kończyła się porażką nie z powodu niedoskonałości techniki, ale przypadku lub czyjejś złej woli. Amerykanie i Anglicy nie mieli dostępu do tungustytu, za to ich ultralekkie piece i podwodorowe wypełnienie balonów wciąż dawały im nadzieję na wysłanie człowieka w eter jeszcze przed końcem dekady. Niemcy nie bawili się w zbędne inwestycje, tylko za pomocą siatki agentów kradli tyle tungustytu i podwodoru, ile się dało. Byli przeciwnikiem nieprzewidywalnym, ale zawsze groźnym. A Republika pracowała na starych piecach Granda i gazach niezubożonych – ot, technologia na poziomie programów kosmicznych Włoch i Hiszpanii. Ba, być może na równi z Japończykami. Do czego to do-

szło, że Azjaci umieli wyprzedzić europejskie mocarstwo...

Duvalle często przychodził do hangaru w nocy. Kosmodrom w Lyonie nigdy nie zasypiał, a nawet najślawniejszy pilot Republiki, połowa „Stratosferycznego Duetu”, z trudem przedzierał się przez kolejne warstwy ochrony. Zwłaszcza jeśli pod pachą niósł butelkę absyntu. Strażnicy, którzy znali go od lat, z przerażeniem patrzyli na zasłużonego meteoronautę, nie wiedząc, czy wczorajszy bohater nie poddał się rozpaczcy i nie chce spalić balonu oraz grandowskich pieców. W końcu go wpuszczali, ale już nie tak często.

Duvalle wszedł pod sferę hangaru. Światła były wygaszone, ale przecież nie do końca. Balon „Jutrzenka III” stał na środku pomieszczenia, zawieszony na hakach, choć nie do końca sflaczały. Na wpół wypełnione zbiorniki meteoroplanu poruszały się żałośnie w lekkim przeciągu hali, a blade światło wartowniczego reflektora podkreślało zmarszczoną Tricolore na czaszy.

Wtem meteoronauta zmarł. Balon nie poruszał się na wietrze – był pompowany. Nie myśląc wiele, Duvalle skoczył w cień, kryjąc się przez wzrokiem tajemniczego intruza. „Kradną Jutrzenkę? Ale kto? Po co?” pytał w duszy, a jednocześnie przeskakiwał między cieniami butli wodorowych. Był pijany, ale nawet pół flaszki absyntu nie mogło zabić w meteoronaucie legionisty, zwiadowcy z gór Atlas. Nie miał broni innej niż butelka. Chwycił ją na szyjkę, ale nie stłukł. Przygotowany zawczasu szklany tulipan przydałby się; były porucznik August Duvalle nie skruszył szkła nie dlatego, że żałował trunku, ale ponieważ bał się zaalarmować przeciwnika. Po prostu tańczył między cieniami, aż do ostatniego rzędu butli gazowych. Stamtąd spojrzął na sylwetkę przy gondoli. Zmarł.

- Słyszałem cię, Auguście – powiedział Henryk spokojnym głosem. - To znaczy... nie przed chwilą, ale kiedy wchodziłeś.

- Co ty tu robisz? - zapytał suchym tonem Duvalle. Wciąż ścisnął butelkę.

- Chyba możesz odłożyć flaszkę – odparł meteoronauta. - No, chyba że chcesz mnie poczęstować. Ale dziękuję, nie mogę pić przed lotem.

„Oszałał!” pomyślał August. „Chce ukraść Jutrzenkę...”. Były porucznik analizował sytuację. Żałował, że wyszedł z cienia. Był silniejszy od przyjaciela, nauka wietnamskich sztuk walki czyniła z niego mordercę. Ale pijanego mordercę, a warto pamiętać, że kapitana Henryka Colagne’a za ułomka uznawać nie należało. Pilot nie walczył wręcz, ale był niewiarygodnie szybki, trzeźwy, a na dodatek trzymał w dłoni ciężki klucz ampulowy. Wynik starcia nie był przesądzony.

- Co robisz? - zapytał Duvalle, dyskretnie szukając broni dla siebie. Zauważył leżący luzem metrowy pręt usztywniający.

- Lecę. Nie próbuj mnie powstrzymać.

- Jesteś szalony. Nie masz zgody... nie masz mnie. Sam polecisz? - warknął August. Z milczenia przyjaciela wnosił, że właśnie tak się stanie. - Odbiło ci! Zginiesz, a niczego nie osiągniesz. Stracimy Jutrzenkę.

- Pewnie zginę – odparł Henryk. – Ale wierzę, że dziś nam się uda. Czuję mój zenit. Polecę bez gondoli...

– CO!?! – jęknął Duvalle. Zastygł z dłonią tuż przy pręcie.

– Lecę bez gondoli. Minimalna masa. To jedyna szansa, aby pokonać Rosjan. Przecież piec grandowski nie zdziała już cudów. Poprzednim razem weszliśmy tak wysoko, jak się dało przy tej technologii.

– I co? Przywiążesz się do czaszy i spłoniesz tuż po wyjściu ze stratosfery?

– Będę w skafandrze. Sądzę, że przetrwam dwie godziny, wszak im wyżej, tym szybciej. Kiedyś Jutrzenkę trafi szlag, ale to będzie czterdzieści mil, jak nic. Już eter. Daleko do sfery księżycowej, ale czy to się liczy? Francuz w kosmosie!

August poczuł dziwaczne drgnienie w gardle. Wiedział, że powinien powstrzymać przyjaciela, ale nie chciał. Henryk miał rację. Podróż bez gondoli oznaczała samobójstwo: śmierć od promieniowania eteru, wyjście ze studni grawitacyjnej Ziemi, ale najpewniej eksplozję czaszy Jutrzeniki, projektowanej do wytrzymania jeno lekkiego naporu kosmicznego żywiołu. Ale Francuz... „Przed Ruskimi, przed Niemcami... Boże, niechby się udało!” Natychmiast skarcił się w duchu za westchnienie tak sprzeczne z ideami Wiecznej Rewolucji i Świeckiej Republiki, ale przecież o to chodziło. Niech kapitan Colagne opuści atmosferę! Niech, jako pierwszy człowiek, dotknie elementu gwiazdnego. Cena... nie gra roli.

– Bardzo żałuję, że muszę cię powstrzymać – szczerze wyznał August.

– Nie żałuj – odparł Henryk.

To absynt nie pozwolił na dość szybki unik. Kapitan cisnął kluczem wprost w przyjaciela. Narzędzie uderzyło w brzuch Duvalla, nie dość silnie, aby uczynić poważną szkodę, ale dało napastnikowi te kluczowe dwie sekundy. Colagne doskoczył do zwiadowcy, sprawnym ruchem wykręcił mu rękę i przygniótł całą masą. Upadli na podłogę, ale August uderzył ciężiej. Kolejne dwa ciosy pozbawiły go oddechu i przytomności.

...

Kiedy się ocknął, był przywiązany do butli wodoru. Pełnej, ważącej dobre dwieście kilogramów. Nawet w lepszej kondycji nie zrobiłby wiele. Mógł tylko patrzeć na Henryka, otwierającego ręczną korbą sufit hangaru. Mroźne powietrze lutowej nocy wdarło się do środka, do reszty orzeźwiając Duvalla. Porucznik chciał płakać – to on powinien przywiązać ręce do czaszy Jutrzenki i umrzeć w eterze.

– Henry...

– Ciii... tak musi być – odparł Colagne. – Wytłumaczysz wszystko Irenie.



– Daj mi lecieć – jęknął niespodziewanie dla siebie August. To było głupie, nie mógł. Nie dlatego, że nie chciał ginąć, ale po prostu nie byłby w stanie, pijany i pobity.

– Możesz już przecierać więzy. Za godzinę będziesz wolny i podniesiesz alarm. Od razu do prasy. Niech robią zdjęcia. Biorę ze sobą Szkrzynię z elementometrem i kameratonem, ale może nie przetrwać eksplozji. Poza tym, kto wie, gdzie spadnie?

I kapitan Henryk Colange po prostu przywiązał się do lin czaszy. Nucił Marsylianę, ale cicho, aby nie pokazać, że on też się boi. August powinien był pracować na więziami, ale jak zahipnotyzowany patrzył na przyjaciela, powoli wznoszącego Jutrzenkę ku mroźnemu

niebu. Dopiero gdy balon zniknął nad załomem dachu i na Duvalla patrzyły tylko gwiazdy, porucznik wrócił do szorowania liną o zawór zbiornika. I zaczął płakać.

Płakał nie dlatego, że miał szanse umrzeć, choć miał. Samowolkę Henryka Rada Czujności Rewolucyjnej mogła obrócić w dobre wytłumaczenie dla porażki programu Republiki. Jako współnik sprawcy, August skończyłby na szafocie, a być może Irena poznałaby uroki republikańskiej sprawiedliwości w Gujanie. Ale porucznik jeszcze o tym nie myślał, zresztą kara mogłaby go spotkać tylko w przypadku porażki przyjaciela. August płakał, gdyż to on chciał być

pierwszym człowiekiem w eterze, bohaterem Słodkiej Francji, zdobywcą niebios.

Więzy puściły, a szlochający meteoronauta ruszył chwiejnym krokiem ku posterunkowi straży. Wypadł w noc, błyskawicznie ściągając uwagę gwardii. Zresztą oni i tak biegli do hangaru – blasku pracującego pieca grandowskiego trudno było nie zauważyć; zwłaszcza gdy majestatycznie wznosił się nad kosmodromem.

...

Zdążyli. Wojsko rozstawiło czujniki, prasa – aparaty. Czekali. Tylko teleskopy mogły śledzić Jutrzenkę, ale August czuł duszą, w którym punkcie nieba znajdował się jego przyjaciel. Liczył też razem z innymi, szacując wysokość. Balon wznosił się ze stałym przyspieszeniem i z każdą



sekundą przybliżał Republikę Francuską do sukcesu. „Ciekawe, czy jeszcze żyje?” – pomyślał Duvalle.

Żałował, że w szarpaninie stłukł butlę absyntu. Gwardzista dał mu później piersiówkę gujańskiego rumu, bardziej dla rozgrzania niż stłumienia żalu, ale uziemiony meteoronauta jeszcze nie podniósł jej do ust. Zbliżał się ranek, zimowy przedświt, ale gasnące światła Lyonu czyniły obraz coraz wyraźniejszym. Acz prawdziwym znakiem była śmierć Henryka.

Balon wybuchł nagle, zresztą niczego innego się nie spodziewali. Z tej odległości o słyszalnym huku nie mogło być mowy, poza tym nawet profesor Lamare nie wiedział, jak dźwięk przenosi się w eterze. Tak, w eterze. Kula ognia nie była niebieska, jak przy katastrofach rosyjskich i eksplozji Jutrzenki II; była złota, jak chwała Boga, w którego Świecka Republika wierzyć zakazywała, ale którego wspaniałości od zawsze szukała. Jeśli Lamare i reszta komitetu się nie mylili, dobrze policzyli długość fal świetlnych, kolor złoty oznaczał eksplozję w środowisku eterycznym. Kapitan Henryk Colange był pierwszym człowiekiem w eterze. Mimo tragicznej wymowy chwili placem na kosmodromie wstrząsnęły triumfalne okrzyki.

„To wielki dzień dla Francji”, pomyślał August, ciągnąc łyk z butelki. „Ciekawe, czy znajdą

skrzynię.”

...

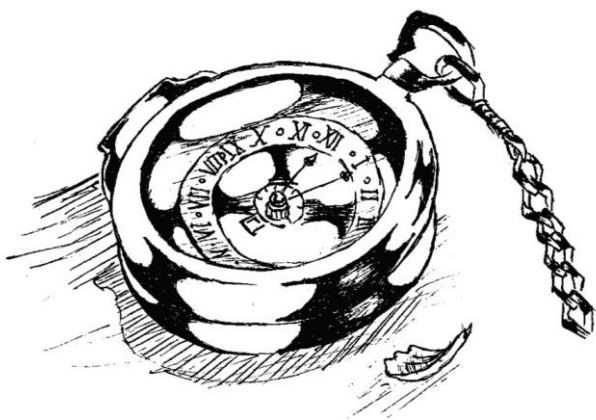
Ktoś znalazł. Rejestratory Jutrzenki spadły na przedmieściach Krakowa, nie tylko psując pięć teorii na temat prądów eteru, ale także dając Komisji Sztokholmskiej powód do zakwestionowania rekordu. O tym jednak Duvalle dowiedział się dopiero w Gujanie.

Marzec 2013

Adam „WTFApoc” Podlewski (1983-?) - Apokalipsy wieszcz pomniejszy, historyk, kontrrewolucjonista, daltonista. Miłośnik stref polarnych, wędrówek pieszych oraz rowerowych. Przygotowany na atak żywych trupów oraz powszechny sprzeciw obywatelski. Zwolennik secesji Mazowsza i restytucji Księstwa Mazowieckiego. Razem z resztą Warszawskiego Towarzystwa Fantastycznego "Wykrot" planuje przejęcie władzy nad światem i okolicami.

ostatni dzień pary

*Karolina Cisowska
ilustrowała Karolina Cisowska*



Mój pan był opoką starego porządku. Świat mojego pana, jak wszystkie inne światy pełne uroku i niesprawiedliwości, już wkrótce miał przestać istnieć, ale mój panicz nie mógł o tym wiedzieć. Nie stałby wtedy na balkonie – ponad goryczą rzeczywistości – z godnością człowieka, który miał zamiar panować od urodzenia aż do śmierci, wierny porządkowi, który go uprzywilejował.

Było coś pięknego w tym świecie, może właśnie ta jego kruchość; kruchość wszystkiego, co go charakteryzowało, od falbanek na toaletach pięknych pań, poprzez te ich kruche ażurowe technologie i pajęczce mechanizmy, aż do ładu między państwami, który mnie się jawił jako koronka rzucona na mrowisko. I uwodziło mnie to wszystko już wiele lat, podobnie jak uwiodła mnie wizja służby u panicza, którego młodość czyniła kruchym, bo cóż zabić łatwiej niż jedenaścieletnie dziecko? A panicz nie wierzył w to, że zostanie zabity, widziałem to w pewności, z jaką stał na balkonie. Tak, jak nie wiedział o wielu innych rzeczach, które przed nim ukrywałem.

Spojrzałem na miasto za bramą dworku (łuna słońca ciepła była niczym łuna pożogi).

– Nie chciałem dożyć dnia, w którym wszystko się zmieni. – Zachwyty, nie przerażenie, brzmiał w głosie panicza, jakby nieświadom był niczego. Ze trzy światy temu, gdybym nie był nakręcał mojego zegarka, pewnie widziałbym tak samo.

Drzwi skrzypnęły ledwo słyszalnie, pojawił się lokaj z tacą, postawił ją na stoliku i spojrzał na mnie porozumiewawczo.

– Proszę o wybaczenie, paniczu – powiedziałem i wyszedłem razem z nim. – Co się dzieje?
– zapytałem już daleko za drzwiami.

– A cóż może się dziać? Rewolucja szaleje w całym mieście, proletariat wychodzi na ulice i poluje na burżuazję. Głównie ruskie i wszystkie te wygłodniałe psy ze wschodu, z południa, ale też nasi, polscy robotnicy, a nawet służący. Potem nie ma kto dochodzić sprawiedliwości, znajdują całe rodziny martwe w opróżnionych dworach.

Pierwsze ruchy i bunty co prawda wskazywały na to, że sprawy mogą przybrać taki obrót w tym świecie, ale nigdy nie spodziewałbym się, że tak szybko. Faktem jednak było, że aktualna wersja tego miasta, tego kraju nie była aż tak jowialna i serdeczna, jak wszystkie inne. Wawel stał wyniosły ponad szarością świata, kamieniczki dumnie się prężyły, włości więcej zajmowały miejsca. Taki świat wybrałem.

– Wyślij golemy na wszystkie stanowiska, niech bronią do upadłego, daj im szable i muszkiety, wypuść psy, powiedz kobietom, że mają przygotować broń, którą zrobiłem, i czekać w pogotowiu. Jedna niech się zajmie obiadem dla panicza.

– Tak jest.

Golemy, muszkiety i moje wierne kusze, niewymagające nakręcania. A mogłem wybrać świat, w którym działała elektronika, mogłem wybrać inny świat.

Wybrałem ten.

– Paniczu, pora na zajęcia – powiedziałem, patrząc na chłopca, popijającego kawę zbożową z porcelany ze świata całym spokojem.

Kiedy przybyłem do tej rzeczywistości kilka lat temu, wybrałem to miasto z powodu ciepłego, pastelowego odcienia atmosfery, jaka się w nim utrzymywała. Późnym popołudniem, a światło tu jakoś zawsze tak było ciepłe, jak podczas późnego popołudnia, bruk i rzeźby zdobiły się cieniami i były to cienie przyjazne, zupełnie inne niż w reszcie światów. Od razu zrozumiałem, że w tym świecie, który już tak długo trwa w swojej uroczej stagnacji, w którym zmiany następują powoli i niechętnie, jakby czas i nawyki ludzkie były nieco gęstsze, nie zdobędę sobie

uprzywilejowanej pozycji, bo ta musiałaby być poprzedzona zasługami moich przodków wieki temu. Ale że nigdy nie goniłem za pozycją, przyjąłem się na służbę w przyjemnej rodzinie, w której dziecko miało w sobie więcej wrodzonej dumy niż całe narody w innych światach. Życzeniem mojego pana było, by jego syn nie zaznał nieszczęścia. Rozkaz wykonywałem już ósmy rok, chociaż nie było już pana, który by pilnował jego wykonania. Pan mój i jego małżonka polecieli kilka miesięcy temu sterowcem do Londynu i dotąd nie wrócili. Wiedziałem, że już nie wrócą, ale panicz nie, i miał się jeszcze długo nie dowiedzieć. Ojciec jego był hulaką i niezbyt rozgarniętym typem, który potrafił się przebić przez wszystko, co stanęło mu na drodze, wrodzonym poczuciem wyższości, matka tuż po ślubie zdążyła przy użyciu taktu i zmyślności pomnożyć majątek ojca i narobić sobie wrogów. Syn – na ich szczęście – miał zostać przedłużeniem ich najlepszych cech i dziedzicem ich włości, po tym, jak sterowiec, którym lecieli, uległ atakowi terrorystycznemu socjalistów.

Pamiętam, że we wszystkich światach ideologie wydają się zawsze logiczne i utopijne, gdy są jeszcze młode, zanim wprowadzi się je w życie, ale żadna rewolucja nie wyglądała tak odrażająco i krwawo, jak ta pożerająca najbardziej ospały i ostały już układ rzeczy.

Tylnym wyjściem opuściłem rezydencję, widziałem tłum, usiłujący się wdrzeć do posiadłości i ostrzeliwującą się służbę, widziałem golemy mechaniczne, buchające parą, jak rozrzucają tych, którzy zbliżyli się do bramy. Kilka trupów leżało już na trawniku, plamiąc go krwią i innymi wydzielinami. Wrzaski mogły dotrzeć do pokoju panicza, mimo że nakręciłem mu pozytywkę i zostawiłem służkę, by pilnowała, aby melodia nie ucichła ani na chwilę. Spuszczone psy poszczułem na tych, którzy leżeli na podwórku, by ich wykończyły; odczołgivali się nasi, ranni, od rzucanych przez tamtych tłuczonych butelek, od strzałów z muszkietów i ciskanych kamieni. Owładnięty złością, wyjąłem swoją najcenniejszą kuszę na stalowe bełty i wycelowałem w drobną postać, stojącą za tym motłochem szczurów, wdzierającym się do dworu. Kaszkiet na bakier i wilczy pysk, pełen śmiechu, drobna sylwetka i jasny głos, kobieta najpewniej, po heretycku za męczyznę przebrana, prowadząca natarcie, dostała ode mnie z odległości stu metrów prosto w gardło i upadła z krzykiem utkwionym w gardle. Natychmiast zrobiło się wokół niej zamieszanie, ale wiedziałem, że nie ma co ratować. Krzyk i jazgot, jaki się podniósł, upewnił mnie, że była tam najważniejsza. Zaraz też coś mi przypomniała ta sytuacja, gdy kuszę nakręcałem od nowa. Nie samo bronienie dworu, a wilcze oczy i pysk, szczurze pochodzenie, drobna

kobieca sylwetka w męskim stroju. Jak déja vu przyszło wspomnienie sytuacji podobnej, w innym świecie zupełnie, choć w tym samym miejscu i czasie tym samym, i dwojga ludzi o wilczych uśmiechach, i sztandarów w ich rękach. Jej jasny głos, wykrzykujący hasła, urwany nagle przez strzał z broni, bryzgająca krew z klatki piersiowej i ryk, straszliwy, nieludzki, tego obok. I jego furia, gdy – wrywając broń najbliższemu policjantowi – wysiekł wszystkich, którzy byli wokoło, nie bacząc, przyjaciele czy wrogowie. I krzyk jego, który manifestantów pobudził: zwykłych, zmęczonych pracą robotników zmienił w żądne mordu potwory. Nim zacząłem stamtąd uciekać, zobaczyłem go przez chwilę, gdy już się przedarł do gapiów. Wysoki, ale nie olbrzym przecież, uzbrojony tylko w to, co zdobył, i niesiony samą tylko furia, skrwawiony od kul i ciosów, a ciągle dyszący i żywy, przerażający. Pierwszy raz od czegoś uciekałem. Zanim go zabili, położył jeszcze kilku gapiów, a jego ludzie spalili pół dzielnicy, ich szaleństwo niesło się jak dym i zarażało kolejnych.

Jeśli jakimś cudem uchowały się w takiej, a nie innej formie te dwie istoty, to było zupełnie nieprawdopodobne, by się poznali i trwali dalej w stosunkach dość zażyłych, by jego do takiej furii doprowadzić, ale nie opuszczało mnie niemiłe przeczucie.

Wystrzelivując kolejne bełty w nacierających, raz za razem chybiałem, wyczekując tego, co przecież nie było możliwe. Wszystko, co najpiękniejsze, palili, jako znenawidzony dowód na urok systemu, który ich uczynił poddanymi. A teraz tamte, gotowe do łupienia, posiadłości zostawili, by ginąć przed naszym progiem. I w końcu usłyszałem ten znajomy ryk, a po nim podniesioną przez wszystkich wrzawę i skrzypienie bramy, która tego już nie miała prawa wytrzymać. I zobaczyłem, jak maleje ilość lecących bełtów i wystrzałów od dworu, z powodu rosnącej trwogi służących, i nie mogłem ich o to winić. Sam podniosłem kuszę do oczu, by zabić przybyłego, ale ręce drżały mi tak, że trzy próby skończyły się spudłowaniem, z czego dwa bełty raniły ludzi obok niego. Wtedy mnie dostrzegł i – chociaż kryłem się za żywopłotem – poczułem jego spojrzenie na sobie. Przez pierwszy odruch chęci nakręcenia zegarka, który miałem w kieszeni, i przeniesienia się gdzieś, gdziekolwiek, przebiła się troska o mojego panicza. Upuściłem kuszę i puściłem się biegiem w stronę dworu, dbając tylko o to, by nasi służący nie zobaczyli, jak uciekam, bo na pewno natychmiast straciliby ducha i zmienili stronę. On mnie widział, tego byłem pewny. Przyszło mi do głowy, że on też był Wędrowcem i po wszystkich światach szukał swojej ukochanej, która tam umarła, a gdy ją już w końcu znalazł, byłem tym, który pozbawił go jego

szczęścia tym razem. Jeśli tak było, to – choćbym uciekał przez wszystkie światy – wiedziałem, że poświęci całą swoją wieczność, by mnie znaleźć i zabić.

Panicz siedział w fotelu, brwi miał ściągnięte.

– Co się tam dzieje? – zapytał. – I kiedy to się skończy?

Spojrzałem na jego bladą, dziecięcą twarz odwykłą od spontanicznej mimiki i dłonie w białych rękawiczkach, które przestałyby być białe po minucie prawdziwej pracy. Na nogi, nienawykłe do chodzenia w pantoflach na wysokiej podszwie. Nic w nim z człowieka. W takich erach czują, że żyją, tylko ci, którzy zabijają. Dlatego te ery tak szybko kończyły się w innych światach, dlatego nie było już ani dnia przyszłości dla mojego panicza. Przyszło mi przelknąć całą gorycz świadomości, że, wyjęty z tego świata, który go tak uprzywilejował, nie będzie miał szans przeżyć choćby pierwszych kroków w nowej rzeczywistości.

– Jesteś opoką starego porządku – powiedziałem. – A jeśli, jak kazał twój ojciec, masz nie zaznać nieszczęścia, nie wolno mi pozwolić, byś doczekał jego upadku. Gdy skrzyłem mu kark, na twarzy miał dalej wyraz niedowierzania. Z drżącą ręką na zegarku zastanawiałem się, czy starczy mi odwagi, by stawić czoła losowi teraz, czy do końca wieczności będę się budził w nocy, czekając, aż wilk mnie dopadnie. A ogród zaczynała już trawić pożoga.

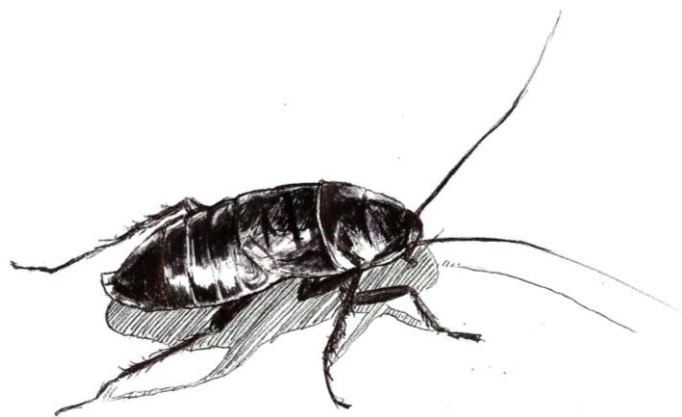
Karolina „Nem” Cisowska – kilka publikacji opowiadań w magazynach internetowych i blog „Nemtopia” <http://karolina-cisowska.blogspot.com>.

Opowiadanie „Ostatni dzień mojego świata pary” to właściwie „druga opeja” napisana z nudów na metodyce.



*D*ni naszej hańby

Bartosz Szczygielski
ilustrowała Ewa Skuza



Zanim otoczy nas resztką słonecznego blasku, odprysk przeszłości, maszerujemy pod powierzchnią przez dwie, trzy godziny. Nie więcej. Sieć podziemnych korytarzy tak jest ogromna, że przez lata nie zdarzyło mi się być więcej niż dwa razy w tym samym miejscu. Inne obszary są ciągle niedostępne dla nikogo

prócz karaluchów. A to, że czujemy się jak one, nie uprawnia nas do wstępu tam, gdzie nic innego nie oddycha.

Odór rozkładających się ciał przenika przez skafander. Strażnicy wmawiają nam, że to tylko wyobraźnia. Patrzymy na poskręcane, nadgniłe i nadpalone szczątki, więc mózg podpowiada, co powinniśmy poczuć. Tylko że ciał nie widzieliśmy od lat, a smród towarzyszy nam przez cały czas. Skóra nasiąka zapachami lepiej niż gąbka.

Na zbiór wypuszczają nas we trzech. Nie zapamiętałem żadnego z imion moich towarzyszy. Zbyt szybko się zmieniają. Ja miałem szczęście do szczelnych skafandrów. Ten wysoki pilnuje czasu, a ja i mikrus będziemy zbierać w plastikowe torby to, co może się jeszcze przydać pod ziemią. Proces dezaktywacji dawno dobiegł końca, ale o ciepłym podmuchu wiatru na policzkach możemy tylko pomarzyć.

Dwadzieścia metrów przed służą strażnicy zostawiają nas samych. Wskazują palcami, gdzie mamy iść, i czekają, aż staniemy tak blisko metalowych drzwi, że będzie nas oddzielać od nich tylko odległość oddechu. Chwilę przed otwarciem powtarzam w myślach plan na następną godzinę. Plan, który od lat jest identyczny. Wyjść, zebrać wszystko, co znajdę, a potem rozpiąć skafander i dać się skazić. Nie wpuszczą mnie do środka, a ostatnie dni swojego życia spędzę wolny. Głodny, brudny i szczęśliwy. Tylko jedno mnie powstrzymuje.

Komora.

Ciche syknięcie i świat staje przed nami otworem. Pejzaże, oglądane przez przybrudzoną szybę skafandra, są identyczne z tym, co już tak dobrze znamy. Jedna rzecz jest stała. Zielone enklawy, zduszone wcześniej w małych, betonowych sercach miast, teraz przejęły całkowicie nad nimi kontrolę. Mury spowija gruba warstwa mchu, prężącego się złowieszczo ku słońcu. Tak miała wyglądać nasza katastrofa.

Nasz świat.

Został tylko billboard z plakatem, pokrytym radioaktywnym pyłem. Ma przypominać, że cudem uniknęliśmy prognozowanego przerostu roślin i katastrofy ekologicznej. O tym, co dostaliśmy w zamian, plakatów już nikt nie zrobił. Z kryzysem poradziliśmy sobie najlepiej, jak potrafiliśmy.

Agresją.

Billboard nie przypadkowo stoi przy słuzach. Patrzymy w milczeniu na niego, a potem na resztki otaczającego nas miasta. Oprócz szarości i wszechobecnego pyłu nie ma czego oglądać. Dryblas odpala stoper.

Żniwa czas zacząć.

Rozdzielamy się, ale wysoki stara się mieć nas obu na oku. Szanse, że uciekniemy, są nikłe. Tutaj nie ma do czego uciekać, ale liczba ludzi pod ziemią ma rosnąć, a nie maleć.

Półprzezroczyste reklamówki powoli wypełniają się śmieciami, które przed laty walały się po zapelnionych ludźmi ulicach. Mam już trzy plastikowe butelki, papierowe opakowanie po hamburgerze i prawie pełną paczkę papierosów. Nie pozwolą mi ich zapalić, ale po odpowiednim odkażeniu trafią w ręce grubasów z niższych kondygnacji. Elity, pozostałych inteligentów wśród resztki idiotów, którzy odważyli się przeżyć i dostatecznie wcześniej zeszli do schronów. Ręce zaczynają mi drżeć. Dziś jest ten dzień, czuję to. Chciałbym to czuć.

– Podnoszą Londyn.

– Skąd wiesz? – pytam, by nie myśleć o samobójstwie, które za chwilę popełnię.

– Od poprzedniego zespołu. To ostatni kwartał, potem możemy zapomnieć o Big Benie.

– Nigdy o nim nie myślałem. Zresztą, kto z nas na to łąbieira?

Niebo w odcieniach zdeptanych chabrów uśmiecha się do mnie zapraszająco. Marzę, by poczuć na skórze krótki, zimny powiew wiatru. Dwadzieścia lat czekałem na ten moment. Gdy w końcu podejmuję decyzję, a dłonie niespiesznie podążają do zapięć skafandra, odzywa się pi-

skliwy alarm tego wysokiego. Melodyjka budzika, która chroni nas przed zbyt dużą dawką napromieniowania. Przynajmniej w teorii.

– Musimy wracać – mówi i zaczyna powoli maszerować w stronę służy.

– Wiem.

Niespiesznie podążam za nim, wprost do służy i korytarza prowadzącego do celi. Nie zdążyłem, ponownie. Przestałem liczyć, ile razy próbowałem zdjąć skafander, będąc na powierzchni. Mam jedynie torbę pełną śmieci, które zyskają nowy blask pod powierzchnią. Ja niewiele z tego dostanę. Tacy jak ja, jak my, mają tylko ochłapy, niezbędne do przeżycia, oraz Komorę. Bez niej już dawno roznieśliśmy podziemia w pył.

– Gdzie ten mały?

Strażnik odzywa się po raz pierwszy, odkąd wypuścili nas z cel. Rozglądam się i w korytarzu oprócz naszej czwórki nie ma nikogo.

– Nie wiem, nie jestem niańką.

Ruszam przed siebie, nie czekając na ich reakcję. To sprawa strażników i dryblasza, co wpiszą w raporcie. Ten maluch zrobił coś, na co ja się nie odważyłem przez lata.

Dupek.

Teraz już za późno, następne wyjście dopiero za kilka dni. Popielaty korytarz prowadzi do poziomu minus dwa, na którym spędziłem prawie całe życie. Nie pamiętam niemal niczego z przeszłości. Przebłyski z powierzchni z miesiąca na miesiąc bledną. Nie mam ich nawet gdzie zapisać.

Przede mną tylko powierzchowne odkażanie i wracam do monotonii. Skafander zostaje opryskany i po paru sekundach wpuszczają mnie do środka. Nikt nie przejmuje się już napromieniowaniem. Poziom minus dwa to kanarek dla całej reszty. Jesteśmy ostrzeżeniem. Gdy zaczniemy padać jak muchy, będzie to znak, że należy uciekać. Bezpieczeństwo stało się terminem płynnym.

Grubas za biurkiem patrzy na mnie obojętnie. Razem ze skafandrem oddaję mu swoją torbę pełną skarbów. Podpisuję protokół i jestem wolny. Przynajmniej na tyle, by dojść samodzielnie do celi. Ten wysoki pewnie jest na przesłuchaniu. Był odpowiedzialny za dwie osoby, a wrócił tylko ze mną. Weteranem, którego nikt i tak już nie chce. Szare ściany, jarzeniówka na suficie, łóżko, szafka i zegar. Dorobek mojego życia. Moje życie.

Dziesięć godzin.

Zegar odmierza czas do kolejnej Komory.

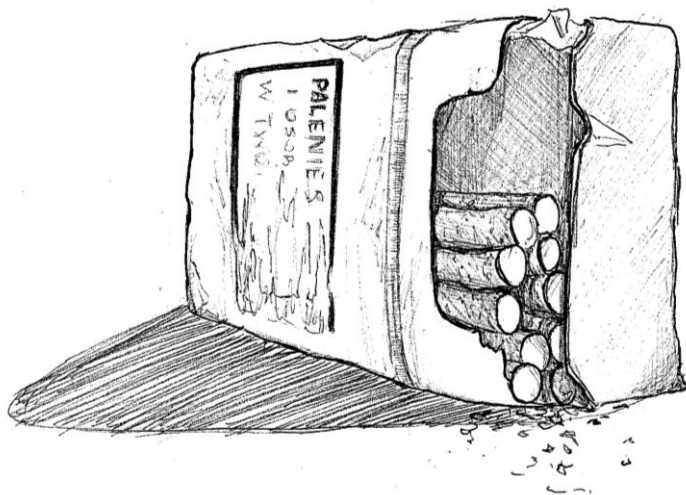
Dziesięć długich godzin.

Budzi mnie głośnie szczęknięcie zamka. Strażnik wchodzi do mojego królestwa i rzuca na stolik plastikową kartę z wyświetlaczem.

– Hej! – krzyczę. – Siedem? Powinno być przynajmniej dziesięć!

Prostuję się na łóżku i czekam na wyjaśnienia.

– Ja tylko dostarczam to, co dadzą mi Obsługujący – mówi i wychodzi, zostawiając za sobą otwarte drzwi.



Zegar pokazuje, że zostało mi dwanaście minut. Pośpiesznie się ubieram i wychodzę, ściskając w dłoni przepustkę do Komory. Mijam pozostałe cele, pełno w nich lustrzanych odbić mnie samego. Starszych, młodszych, grubszych i chudszych. Takich samych. Niektórzy patrzą przez szybę w drzwiach, ale większość śpi. Gdy zamykasz oczy,

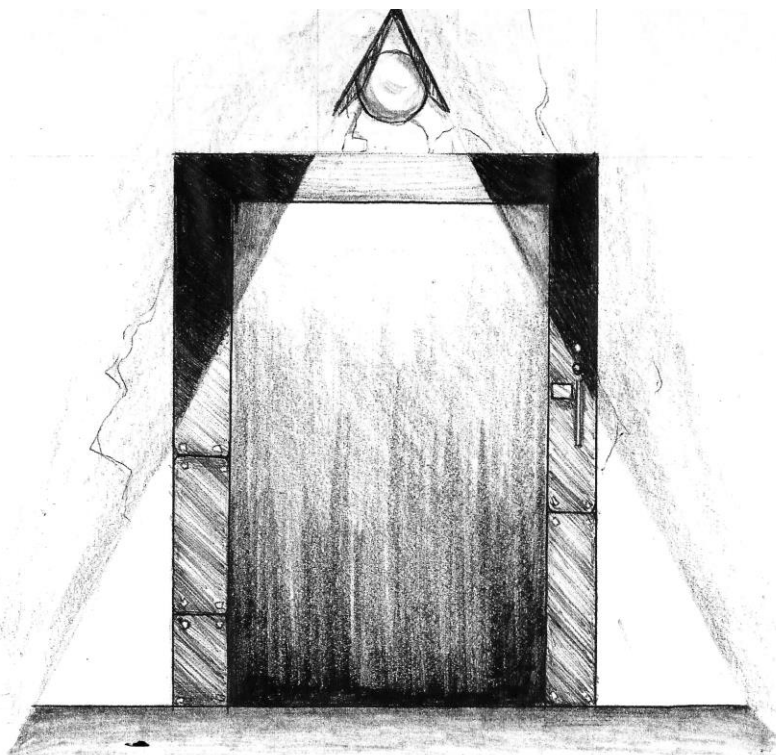
wszystko staje się możliwe.

Drogę znam na pamięć. To pierwsze miejsce, do którego strażnicy prowadzą po osadzeniu. Oprócz zniszczonych miast oraz wnętrz cel to jedyne, co oglądamy. To, jedyne co nas trzyma w ryzach. Co trzyma mnie przy życiu.

Przesuwam kartę przez czytnik i jestem wewnątrz. Pachnie potem i smutkiem, wonią, którą rozsiewaliśmy, wychodząc z Komory. Tylko Obserwujący wydzieliał inny zapach. Wcierał za uszami resztki mydła, które zostawiało na skórze tłusty ślad i resztkę zapachu, jaka została po odkażeniu. To wystarczy, żeby odróżnić się od nas. Od śmieci, bez których nie byłoby mydła, zbieranego po opuszczonych toaletach.

– Siedem! Cholera jasna, byłem na zbiorach co drugi dzień. Powinno być przynajmniej dziesięć!

Zrezygnowałem z przywitania. Oni nigdy nie odpowiadają. Obserwujący patrzy na mnie przez chwilę, a potem bez słowa wyciąga przed siebie dłoń. Podaję mu kartę i czekam. Serce wali o żebra.



Piętnaście wyjść. Trzy godziny na wyjście. Dziesięć sekund za godzinę na powierzchni. To daje trzydzieści sekund na wyjście, czterysta pięćdziesiąt na miesiąc. Siedem i pół minuty. Pół minuty za brak efektywności. Siedem minut.

Koniec. Wchodzę do Komory, zostawiając za plecami człowieka, a raczej jego pustą skorupę. Pomieszczenie razi odrażającą bielą. Mrużę oczy, czekam. Drzwi zatrzaskują się za mną.

Komora.

Przeszłość, zamknięta na powierzchni sześciu metrów kwadratowych.

– To, co zwykle.

Ściany ozywają. Tryskają kolorami, wspomnieniami Roberta Maksa. Wiek – trzydzieści pięć lat, zawód – budowlaniec, status – rozwiedziony.

Książka wypada z rąk i ląduje na ziemi. Szukam wzrokiem winowajcy, tego buraka, który mnie potrafił i nawet nie przeprosił. Tłum ludzi nie pozwala na dostrzeżenie kogokolwiek. Turysty strzelają lampami błyskowymi, choć słońce praży dziś niemiłosiernie. Kraków. Wiślna strasznie reklamami, uderzają w oczy z każdego sklepu i restauracji. Postanawiam się wycofać na rynek. Przepuszczam jakąś zakochaną parę w dorożce, objadają się lodami. Brakuje mi bezpieczeństwa miłości. Nawet tak chwilowego, jak ich. Staję pod wieżą Ratusza, otrzepuję książkę z kurzu i otwieram na ostatniej stronie. Zakończenia sprawiają mi radość, nawet te kiepskie.

Wtedy ją dostrzegam. Po raz kolejny spaceruje samotnie. Za chwilę upadnie jej torebka, schyli się po nią, a wstając, dostrzeże stojącego samotnie pod wieżą mężczyznę. Zobaczy mnie, nas. Czuję, jak serce Roberta bije szybciej, jak pocą mu się dłonie. Ona patrzy na niego, na nas. Uśmiecha się i powoli podchodzi.

Jej czarne włosy odbijają promienie słoneczne. Nie widzimy nic więcej, oczy zasłaniają jej ogromne, ciemne okulary. Mamy sucho w ustach.

– Przepraszam.

– Tak? – Nasza odwaga sięgnęła szczytów.

– Wie pan, która jest godzina?

Cudownie się uśmiecha. Patrzymy na ratuszową wieżę z zegarem i wszystko staje się jasne. Wszystko staje się białe. Ściany ponownie są puste.

– Siedem minut minęło – słyszę głos Obserwującego.

Następnym razem będzie dłużej. Następnym razem zbiorę więcej i będzie dłużej. Może jutro coś się zmieni. Tak być przecież nie może. Muszę coś zrobić, musimy coś zrobić.

Następnym razem.

Jutro.

Bartosz Szczygielski – debiutował opowiadaniem w kwartalniku QFant, by następnie publikować teksty w biuletynie CarpeNoctem, magazynie Tekstualia oraz portalach Aperionmag.pl czy Szortal.pl. Za swój tekst „Wyższe piętro” został nagrodzony w 2010 roku wyróżnieniem w ogólnopolskim konkursie literackim „Pigmalion fantastyki”. Jego teksty zostały wyróżnione również w konkursach na opowiadania kryminalne na Międzynarodowym Festiwalu Kryminału oraz Conrad Festival. Stale współpracuje z takimi portalami jak Szufłada.net, Stopklatka.pl, Lubimyczytac.pl czy Tugrodzisk.pl. Nigdy nie rozstaje się z książką i notatnikiem.

Jacek Wróbel
ilustrowała Ewa Skuza



Zdezelowany żółty van, zaprzęgnięty do pary koni, podskakiwał na każdym wyboju i wchodząc w ostrzejsze zakręty, chybotął się niebezpiecznie na boki. Spojrzenie woźnicy, ukryte za szybkami gogli, z trudem przenikało przez ruchomą zasłonę piasku.

Szalała burza, ale Lloyd nie odczuwał strachu. Znał tę trasę niemalże na pamięć, znał ją lepiej niż samego siebie. Wielkostrada, droga łącząca Warszawę z Cra-

covem, była stosunkowo bezpieczna, mimo że prowadziła przez opuszczone i złowrogie miejsca. Ale czyż nie taka właśnie była Ziemia: cała opuszczona i złowroga?

Wielkostradą podróżowali handlarze oraz posłańcy, a co za tym idzie, dochowano wszelkich środków ostrożności, by zminimalizować ryzyko ich wypraw. Postawiono stalowe fortyfikacje, uzbrojono posterunki i zmobilizowano tyle straży, na ile każde z miast mogło sobie pozwolić, nie tracąc przy tym potencjału obronnego. Odbywających służbę na tracie zwano Ludźmi Drogi. Zdarzało się, że patrole łączyły się w większe grupy i w jednym oddziale przewijało się kilka emblematów: unosząca miecz półkobieta-półryba, trzy czerwone baszty nad koronowanym orłem czy krwawiący krzyż Bożowników. Grabieżcy, rozsiani po pustkowiach jak ziarenka piasku, obierali łatwiejsze cele.

Dawniej frakcje strzegły wydzielonego terytorium na podobieństwo ogarów uwiązanych do przykrótkiego łańcucha. Szczerzyły kły i warczały, kiedy tylko w nozdrza uderzał zapach obcej sierści. Na wewnętrznych utarczkach Ludzi Drogi żerowały gangi i watahy dzikusów; do

miast docierało coraz więcej plotek o obrabowanych handlarzach i uprowadzonych posłańcach, a łupieżcy wznosili prowizoryczne maszty przy Wielkostradzie, triumfalnie wieszając na nich strzępki mundurów. Barwy blakną, gdy przykrywa je krew. Ludzie Drogi musieli to w końcu zrozumieć. Połączyli siły. Zarządcy niechętnie patrzyli na taką niesubordynację, ale z biegiem lat zaczęli ją tolerować. Pustkowia stały się bezpieczniejsze.

Lloyd zwolnił i pomachał wartownikowi, który stał na kilkunastometrowej platformie i przyglądał mu się przez lunetę. Człowiek Drogi odwzajemnił pozdrowienie. Żółte kombi było wizytówką pustkowi, co zaoszczędzało Lloydowi udziału w uciążliwych procedurach. Znali go niemal wszyscy, od Warszawii po Cracov. Zapuszczał się na toksyczne ziemie Silesii. Odwiedzał nienazwane osady w głębi pustkowi, gdzie cieszył się nabożnym szacunkiem tubylców. Paktował z przywódcami gangów. Obserwował zwyczaje opętanych kultystów, oddających hołd gigantycznym konstruktom.

Lloyd przemierzał ruiny świata w poszukiwaniu relikwii dawnej cywilizacji. Kolekcjonował każdą namiastkę minionych dziejów. Nie wiedział, czy był w tym lepszy od innych, ale na pewno wciąż był żywy.

A tym razem przewoził coś naprawdę wyjątkowego.

Zeskoczył z dachu – przerobił pojazd własnoręcznie, by móc podróżować bez konieczności korzystania z cennego paliwa – i przesunął gogle na czoło. Szarpnął za chustę, odsłaniając ogorzałą twarz. Wziął głęboki oddech; wysokie mury Cracova skutecznie chroniły przed popiołami. Podszedł do koni i zdjął im z pysków specjalne osłony. Dopiero wtedy się rozejrzył.

Otaczał go krąg ludzi. Mężczyźni w poprzecieranych spodniach, o policzkach pokrytych pyłem. Kobiety, eksponujące fantazyjne gorsety. Dzieci, uczezione matczyńskich sukien. Do zebranych na placu dołączali kolejni, napływali falami z ciasnych uliczek.

Panowała podniosła cisza, zakłócana tylko krzątaniną Lloyd'a. Kolekcjoner otworzył zamontowane na tyle wozu szerokie drzwiczki. Wydobył ze środka pęk pożółkłych pocztówek, znalezione pod gruzami albumy ze zdjęciami, podobizny ludzi w krzykliwych strojach, uśmiechające się z matowych powierzchni plakatów, pluszowych weteranów zapomnianej historii.

Wybierał co ciekawsze okazy, odrzucając głębiej jedynie broń i niektóre unikaty. Przekazywał je w tłum. Ludzie ujmowali artefakty drżącymi dłońmi i po chwili refleksji podawali dalej.

Ktoś pociągnął nosem. Ktoś inny udawał, że drobinka piachu wpadła mu do oka.

Przeszłość bolała.

– Co słyhać na szlaku, przyjacielu? O czym szepcze wiatr?

Oskar Braun od ośmiu lat piastował funkcję Zarządcy Cracova. Lloyd znał go jeszcze dłużej. Wydawało się, że mężczyzna nie poddaje się upływowi czasu. Przeciwności losu nie zdołały złamać w nim pogody ducha, wyłobily na pociągłym obliczu jedynie kilka dodatkowych zmarszczek.

– Warsavia się zbroi. – Lloyd apatycznie mieszał napój. – O czym pewnie już wiesz.

Oskar przybrał wymuszony uśmiech.

– Hess znowu przysłał posłańca. Nie pamiętam, ile razy już odmawiałem. Centralizacja na jego warunkach jest nie do przyjęcia. – Zacisnął pięść. Przez cienki materiał rękawiczki przebiły się nabrzmiałe żyły. – Cracov się nie podporządkuje.

– Widziałem, czym dysponują – zaczął kolekcjoner. – Pojazdy, uzbrojenie... Hess ma setki przeszkolonych żołnierzy, dostęp do amunicji i zasoby paliwa, które...

Zarządca przerwał mu uniesioną dłonią.

– Lloyd, zaufaj mi. Hess z pewnością ma zapędy dyktatorskie, ale nie jest idiotą. Nie wykona pierwszego ruchu. Obsesyjnie dba o reputację. Kreuje się na męża stanu, Zbawcę z Popiołów. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Otwarta konfrontacja zrazi do niego ludzi. Wiem, na czym najbardziej mu zależy: pragnie zgarnąć porozrzucane zlepki cywilizacji, by ulepić z tych drobin nowy byt, a później przejąć nad nim kontrolę. Zjednoczona walka z potwornościami pustkowi jest słuszna, ale Hessa napędza nie chęć odbudowy świata, a egoizm. Przeczucie mówi mi, że świat obrósł popiołem z podobnych pobudek.

Lloyd zmarszczył brwi. Nie rozumiał.

– To coś przyszło z powietrza. Upłynęło zbyt wiele lat, by mieć zupełną pewność, ale uczeni z Warsavii...

– Coś w powietrzu, coś w wodzie, coś w ziemi. – Oskar powoli odginał palec za palcem.

– Słyszałem wiele teorii. Nieważne, skąd spadły popioły; ważne, gdzie się narodziły. Posłuchaj

starego przyjaciela, Lloyd. To coś w sercu. Całe zło świata bierze swój początek w człowieku. Po to mamy rozum i uczucia, żeby się go wystrzegać. To nas różni od maszyn. Spójrz na Ludzi Dróg, są najlepszym przykładem. Kazano im trzymać dystans, a teraz ramię w ramię bronią Wielkostrady. Dali nam dobrą lekcję człowieczeństwa. Plan Hessa może sprawdziłby się na krótką metę, ale jestem przekonany, że szybko zatęsknilibyśmy za czasami, kiedy zagrożenie leżało za murami miast, a nie w ich obrębie.

Dłuższą chwilę milczeli. Ciężką atmosferę rozłuzniła córka Oskara, która ze śmiechem wpadła do gabinetu w pogoni za niewidzialnym przeciwnikiem.

– Amelka! – Zarządca przywołał dziewczynkę do siebie. Wdrapała mu się na kolana. – Mówiłem, że kiedy w domu są goście, to bawimy się w pokoju.

– Przywiózł mi pan lalkę? – Dziewczynka rzuciła kolekcjonerowi ciekawskie spojrzenie.

– Amelko... – Braun pogroził palcem. – To nieuprzejme.

Lloyd uśmiechnął się i pogładził włosy sześciolatki.

– Nie mam lalki, ale coś dużo lepszego. Właśnie chciałem pokazać to twojemu tacie. Ale uprzedzam – nie jest na sprzedaż.

Rozsuptał plecak i wyjął małą, drewnianą skrzyneczkę. W jedną z jej ścianek wmontowano zdobiony kluczyk, natomiast na wierzchu, na okrągłej podstawie, tkwiła figurka kobiety w białej sukni. Tancerka stała na czubkach palców i zgrabnie unosiła dłonie nad głową, przygotowując się do występu.

Amelka klasnęła w dłonie.

– Śliczna pani!

– To nie wszystko. Poczekaj.

Kilka razy przekręcił kluczyk. Zgrzytnęły jakieś trybiki. Po chwili z wnętrza skrzyneczki dobyła się cicha melodyjka, a tancerka zaczęła kręcić się wokół własnej osi.

– Niesamowite, wciąż działa...

– Jeej! Jaka wspaniała człowieczyzna!

Lloyd podrapał się po czubku głowy.

– Słucham?

– Człowieczyzna – powtórzyła dziewczynka, jak zaczarowana wpatrując się w pozytywkę.

– Taki nakręcany człowieczek.

– Amelka jest bardzo mądra, lubi zabawę słowami – wyjaśnił Oskar. – Połączenie człowieka i maszyny – człowieczyzna. Dziecięca logika.

Lloyd otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale szybko się rozmyślił.

Kiedy w drzwiach stanął Joseph Hess, zgromadzeni wstali i zasalutowali, zsynchronizowani jak zębate koła przekładni. Zarządca zajął fotel na podwyższeniu. Obrzucił Sztab uważnym spojrzeniem.

Przy stole siedziało kilkunastu ludzi, większość w wojskowych uniformach, ale gdzieś niedzie migał biały kitel. Tylko jeden mężczyzna znacząco wyróżniał się na tle reszty.

– Lloyd. – Uśmiechnął się Zarządca. – Dobrze widzieć cię z powrotem. Wszystko poszło zgodnie z planem?

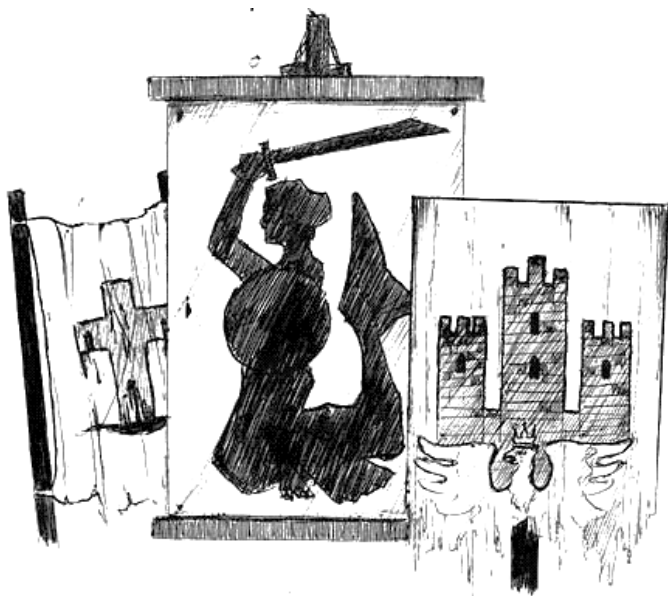
Kolekcjoner przytaknął, a uśmiech Hessa stał się jeszcze szerszy.

– Żadnych problemów?

– Żadnych. Powtarzałem, że przedmiot nie jest na sprzedaż, co tylko pobudziło jego apetyt. Trochę się targowaliśmy; udawałem, że pozbywam się pozytywki z bólem serca i takie tam. Ostatecznie wyładowała na półce nad posłaniem Brauna.

– Cudownie. Mam nadzieję, że nowy Zarządca będzie rozsądniejszy i bardziej ugodowy. Szkoda, że musieliśmy posunąć się do ostateczności, ale Braun nie zostawił nam wyboru. Ludzkość ma wobec ciebie dług, Lloyd. I ja też. Paliwo, kobiety... Wszystko niebawem omówimy. Doktorze Junge – zwrócił się do zgarbionego naukowca. – Możemy zaczynać? Jest środek nocy,

nie ma sensu dłużej przeciągać „Operacji Balet”.



– Oczywiście, Zarządco. – Doktor podsunął Hessowi okablowaną skrzynię z czerwoną dźwignią pośrodku. – To potężny ładunek, pracowaliśmy nad nim przez ostatnie pół roku. Sygnał dotrze do detonatora w przeciągu dwu-

dziestu, trzydziestu sekund od wprowadzenia komendy. Eksplozja zrówna z ziemią wszystko w promieniu mniej więcej stu metrów.

Joseph Hess, Zbawca z Popiołów, niecierpliwie zacisnął palce na uchwycie zapalnika.

– Panowie, ten dzień przejdzie do historii. Ruszamy w przyszłość, po zwycięstwo!

Szarpnął za rączkę, a sala zareagowała owacją na stojąco. To wyjaśniało, dlaczego początkowo nic nie usłyszeli. Rozglądali się niepewnie na boki, chcąc zlokalizować źródło dźwięku.

Lloyd rozchylił płaszcz. Położył pozytywkę na stole. Sztab na chwilę zamarł w bezruchu, a potem przerażeni ludzie rzucili się do ucieczki.

– Ty... Ty... – Joseph Hess sięgnął dłonią do kabury, ale zdał sobie sprawę, że nie zdąży pociągnąć za spust. – Dlaczego?!

Lloyd zamknął oczy.

– Dlaczego?!

– Nie jestem nakręcany – odpowiedział. – Nie jestem człowieczy...

Jacek Wróbel - „Rocznik '88. Członek Ligi Piszących Dżentelmenów. Laureat kilku ogólnopolskich konkursów literackich, ostatnio nagrodzony na Międzynarodowym Festiwalu Opowiadania we Wrocławiu – tekst ukazał się w antologii "PIN I ZIELONYM". Publikował w Esensji, Qfancie i Nowej Fantastyce. Sercem i ciałem związany z Lublinem, chociaż metryka wskazuje co innego.”

Doktor Dietl ratuje świat

Marcin Podlewski

ilustracje A.A. Turkiewicz



Srebrny pajak cesarskiego Instytutu Technicznego pod protektoratem Akademii Pary zaklekotał. Zanim stanął, stąpnął jeszcze do przodu prawem maszynowej bezwładności, terkocząc obracanymi koronkami i zwalniając naciąg nakręcanych sprężyn. Znajdująca się w jego półotwartym wnętrzu diamentowa igła zeskoczyła z dziurkowanego wydruku zapisanej trasy i przesunęła się na połączony wałek, wygrywając krótką melodyjkę. Doktor Józef Dietl otworzył drzwi ciągniętej przez maskarę karocy, wyglądając ostrożnie na zewnątrz.

— Pada — mruknął do siebie, poprawiając czarny melonik. — Przeklęty deszcz. Jesteśmy zatem?

— W rzeczy samej, doktorze — odpowiedział jego towarzysz, młody człowiek o potarganych włosach, odziany w wątpliwej

jakości surdut.

— Zapłać, Julianie — rozkazał doktor, podając mu sakiewkę. — Te przeklęte wynalazki Karola Mohra przyjmują tylko guldeny. Do czego to doszło, by w Rzeczypospolitej Krakowskiej dyktował warunki jakiś cesarski profesorek od gazowych lampek — mruczał do siebie, wychodząc z karocy. — To na pewno tu? — spytał. — Ta kamienica?

— Tak, doktorze.

— A homunkulus?

— Przywiozłem z samego rana...

— Chodźmy więc.

Ruszyli. Doktor podszedł do drzwi i, tuż przed naciśnięciem przycisku, zerknął w niebo, na obły cień austriackiego sterowca. Kraków był może niepodległym miastem, ale zaborcy starali się podkreślić na każdym kroku, że stolica Rzeczypospolitej Krakowskiej wolna była jeno z nadania kongresu wiedeńskiego, zakończonego piętnaście lat wcześniej.

Doktor skrzywił się i nacisnął dzwonek Faradaya, uruchamiając prądnicę. Wtopione w drzwi okrągłe szkiełko pokryło się żółtawą mgiełką i Dietlowi zdało się, że ktoś patrzy na niego przez elektrycznego judasza, przerzucającego obraz dzięki płataninie niewielkich lusterek, pobudzanych prądem.

— Kto tam? — spytał głos z judaszowego głośniczka. Doktor chrząknął.

— To ja. Byliśmy umówieni dziś wieczorem. Wynalazcę Ochockiego już pani poznała... bliski znajomy rodziny Wokulskich... z Warszawy...

Chciał mówić jeszcze, ale zabrzączało i drzwi odemknęły się. Weszli szybko do środka, wprost na kręcone schody, pokryte stalowym bluszczem, z dala od pajaka Mohra, z dala od świateł parowca, z dala od oczu i uszu zdrajców i panów Krakowa — w ciemność.

*

Piwnica cuchnęła spalenizną i oliwą, niezbędną do smarowania naciągów i przekładni. Królestwo śrub i zębatych kółek, obracających się bez celu na wywieszonych łańcuszkach, pomyślał z niesmakiem doktor, królestwo zegarów uwieczonych w pułapce elektrycznych magnesów, bez końca poruszających wahadłem. I wreszcie królestwo analitycznej maszyny Babbage'a, wepchniętej na drewniany stół piwnicznej pracowni, rozgrzanej od logarytmów, wkręconych między wałki na perforowanych kartach, przyczajonej niczym mechaniczny chrząszcz, wpięty odnóżami w ostatnią nadzieję Krakowa. W moją nadzieję.

Nie zdziwił się, gdy dosłyszał Chopina.

Narzeczona znanego muzyka, Maria Wodzińska, nachylała się nad homunkulusem, nucąc jakiś utwór, którego Dietl nie mógł sobie przypomnieć. Ładna, pomyślał doktor. Delikatna i krucha. Pianistka. Ciekawe, czy Fryderyk wie. Chrząknął.

— Raz jeszcze chciałem podziękować za pani przyjazd...

— Nie trzeba — odpowiedziała, nawet się nie odwracając. — Jest piękny. Niewielka regulacja... — dodała, jakby do siebie, zanurzając dłonie w otwartej klatce piersiowej

wynalazku. — To jak muzyka, doktorze.

— Narzeczony pani nie zgłosił obiekcji?

— Po ślubie planujemy wyjazd do Paryża. Fryderyk nie ma zresztą czasu na moje... fanaberie i, prawdę mówiąc, nie wie o nich zbyt wiele.

— Tak... Co w każdym razie u niego?

— Coraz bardziej podupada na zdrowiu. Och, wiem, że to przejściowe. Nie wiadomo, co by było, gdyby nie pański pneumator płucny... — przekręciła pokrętło i zamknęła klatkę. — Winna jestem panu dozgonną wdzięczność.

— A ja pani dyskrecję. Nada się zatem?

— Jest już gotowy.

— Julianie, bądź łaskaw — rzucił doktor do asystenta, który, z trudem odwracając wzrok od ślicznej Wodzińskiej, postawił na stole czarną walizeczkę. — Nie mamy tego wiele — zaczął wyjaśniać doktor. — Resztki lustra, fragmenty ubioru, ziemia z Rzymu... i, oczywiście, pył księżycowy, znaleziony w starym meteorze...

— A więc to ustalone... Nic nie odwiedzie pana od tego zamiaru?

— Moja droga, to niemożliwe. Spójrz — doktor zaczął pieczołowicie montować poszczególne elementy. — Oto ratunek. Władza Mikołaja I, Niemiec i Fryderyka Wilhelma kończy się tu, w tej piwnicy. Dość Akademii Pary, dość życia pod batem — uniósł niewielkie szkiełko. — Tu, w tym fragmencie lustra, odnalezionym przez błogosławiony przypadek, widziałem naszą przyszłość, taką, jaką mogłaby być. Być może dzieła Akademii Pary uratowały twego ukochanego, lecz nie powinna ona istnieć, jeśli służy celom tych, którzy niszczą nasz kraj. Akademia miała być, w myśl idei Hegla, naszym oświeceniem. Wierzę, że jej twórca miał dobre zamiary, ustanawiając ją, lecz jej wojenne dzieła są odpowiedzialne za nasz los. Wymażemy zatem jej istnienie tak, jakby nigdy jej nie było. I wszystko zmieni się na lepsze — umieścił szkiełko i zamknął klapę, uruchamiając przełącznikiem zmodyfikowany elektromagnes Sturgeona. Maszyna Babbage'a sypnęła błękitnymi iskrami. — Julianie?

— Tak, doktorze?

— Wyprowadź naszą młodą przyjaciółkę. To, co się teraz stanie, nie powinno zaciążyć na jej duszy.

— Ależ doktorze Dietl! — zaprotestowała Wodzińska — Ja przecież miałam swój udział...

— Wiedziałaś, co tworzysz, lecz nie wiedziałaś, po co. I niech tak zostanie.

— Nalegam...

— Nie — powiedział doktor Dietl. — To ja nalegam. Jeśli to cię pocieszy, to i tak niczego nie będziesz pamiętać.

— Nikt nie będzie pamiętać... — dodał po chwili, gdy uzyskał pewność, że Julian wprowadził już utalentowaną studentkę Akademii Pary. — Nikt. Nawet ja.

*

Rzeczpospolita Krakowska wzywała go.

Nawoływała go poprzez Sukiennice, pokryte wysięgnikami dla austriackich parowców. Wzywała go poprzez uderzenia elektrycznego dzwonu Kościoła Mariackiego i klekotanie ruchomych golemów Wita Stwosza. Budziła jego mechaniczne serce i ducha, wzlatującego nad oplecionym prądnicami Zamkiem Królewskim, czujnie wpatrzonym teleskopami w Rynek Główny w poszukiwaniu niepokornych.

Rzeczpospolita Krakowska pamiętała. Nie mogła zapomnieć.

— Przez twe lustro, Mistrzu, przez twą tkaninę, przez ziemię, na której miano cię pochwycić, i przez kruchy pył — szeptał doktor, przekręcając kolejne kółka i naciskając przełączniki. — Przez twą legendę, Mistrzu. Przybądź! Przybądź i żyj!

Zdało się, że w piwnicy pociemniało. Półmrok spowił całunem parowe zegary, poruszył sprężynami i zębatymi kółkami terkoczących mechanizmów. Homunkulus zadrgał, podczas gdy analityczna maszyna właczała w niego elektryczność i wduszała parę do naoliwionych tłoków. Doktor Dietl, nagle przelękniony obrazem budzącego się półzycia, cofnął się od stołu. Nie mógł zrobić nic więcej. Tylko czekać.

Homunkulus wstał.

Kryształowe kule, które miał na miejscu oczu, zajarzyły się słabym błękitem. Istota uniosła dłoń, wpatrując się w nią z wyraźnym napięciem. Potem opuściła ją i popatrzyła na doktora.

— Mistrzu... — wychrypiał Dietl. — Wybacz, że ściągnąłem cię z dającej ukojenie ciemności i ciszy księżycowych dolin... Mistrzu... Rzeczpospolita... Kraków cię potrzebuje w godzinie najwyższej swej próby...

Istota nie odpowiedziała, ale i nie wykonała żadnego ruchu. Czekala.

— Nie podołamy naszym wrogom i ich maszynom, miażdżącym nasz opór i wolę... Przeklęta Akademia Pary niewoli nas z pomocą mechanicznych cudów... Tylko potęga, z którą zawarłeś układ wieki temu, może jej sprostać... Naucz mnie, Mistrzu... powiedz, jak przywołać

tę, z którego szponów zbiegłeś aż na pustynie Luny...

— Nie wiesz wać, o co prosisz — odezwał się homunkulus głosem, dobiegającym jakby z głębokiej studni. — Stracić możesz więcej niż swą duszę.

— Ma dusza nie ma znaczenia. Liczy się moje miasto.

— Patrz więc — homunkulus wskazał coś palcem, coś poza doktorem, coś w głębi piwnicy, coś, co rosło w tle, niczym pączkująca ciemność. — Oto twój świat oddziela od

drugiego jeden ruch wahadła. Wahadło zatrzymane jest teraz, a granica pomiędzy tym, co być może, zimna jest i martwa. Oto Akademia Pary, młody akolito. On stoi nad nią, niczym czarna plama. Wyciąga ku niej dłoń. Może ją zmiążyć, zanim powstanie choćby myśl o niej, jeśli mu pozwolisz.

— Niech więc to uczyni! Oddam swą duszę za ten jeden czyn!

— On nie chce twej duszy. Chce duszę tego, czego nie ma, a co być może.

— Niech więc będzie, jak chce! Rozkaż mu, Mistrzowi Twardowski! Każ mu to uczynić!

Homunkulus nie odpowiedział. Jego oczy przygasty, przechylił się. Znieruchomiał nagle, tak, jakby mechanizm podtrzymujący jego istnienie wyczerpał się i zniknął.

A potem zniknęło wszystko.

*



— Proszę wybaczyć... zna pan może godzinę?

Doktor Józef Dietl zatrzymał się. Nieznajomy, odziany w czarny płaszcz, patrzył na niego kpiąco spod szerokiego randa francuskiego melonika. W dłoni trzymał piękny, srebrny czasomierz i to on przykuł wzrok doktora: coś było w tej maleńkiej konstrukcji, coś, o czym powinien pamiętać.

— Spóźnia się — wyznał nieznajomy. — A szkoda. Teraz nie dostanę już części. Takich cudów już się nie produkuje. I jak się panu podoba? — spytał zniecka. Dietl zmieszał się.

— Nie rozumiem...

— Wiem, że pan nie rozumie. Pytam ot, tak sobie, co sądzi pan o Rzeczpospolitej Krakowskiej i tym całym zaborze. O zbliżającym się powstaniu, które zbierze tak wiele niewinnych ofiar. O pożarze, który wybuchnie za lat kilka. I o rychłej śmierci Chopina.

— Pan wybaczy, ale...

— To tylko pożeganie, doktorze — nieznajomy zachichotał, chowając zagadkowy zegarek. — Przyszłą profesurę i prezydenturę niech pan potraktuje jako prezent. A zanim pan odejdzie... jedna refleksja. Kraków to piękne miasto, zgodzi się pan? Bije tu serce Rzeczpospolitej, o której mówi się, że ma dwa serca: krakowskie i warszawskie. Ale wie pan co?

— Co? — spytał rozeźlony Dietl. Już szykował się do odejścia, gdy nieznajomy złapał go za ramię. Miał wyjątkowo silny uścisk.

— To nie serce, doktorze — wyszeptał. — To dusza.

Marcin Podlewski — dziennikarz, pisarz, zwycięzca konkursu na XXX-lecie "Nowej Fantastyki", laureat konkursu literackiego wydawnictwa Agharta, konkursu "Science Fiction po polsku 2" i innych. Swoją przygodę z literaturą piękną zaczął od opublikowania opowiadań na łamach magazynu „LAMPA”. Publikował też krótkie formy w „Nowej Fantastyce” oraz w bestsellerowej (ponad 15 tysięcy pobranych egzemplarzy) antologii horroru „Halloween 31.10 Wioska Przeklętych”. Jego najnowsze opowiadania można także przeczytać m.in. w pierwszej polskiej antologii poświęconej zombie — "Zombiefilii" i tegorocznej, trzeciej edycji „Halloween 31.10”, dostępnej w serwisie Virtualo od 31 października 2013 roku.

Autor, nie licząc uczestnictwa w antologiach, wydał na Wydaje.pl zbiór opowiadań „Szkłana Góra”, który został pobrany w wersji elektronicznej ponad 2000 razy i zyskał bardzo pochlebne recenzje.

Debiutancka powieść Marcina – "Happy END" – mieszanina fantastyki, horroru i powieści obyczajowej – miała swoją premierę na Krakowie 2013. Książkę wydało warszawskie Wydawnictwo Studio Truso. Powieść dostępna jest na studiotruso.pl i w dobrych księgarniach. Obecnie autor pracuje nad powieścią s-f.

tórego nie ma

Gerard Nibybyłowski

ilustracje A.A. Turkiewicz

„Młode dusze macie wszyscy.” –

Platon



Dżoker z kart patrzył na niego tak,
jakby wiedział.

Dziewczęca twarz, ciemny kapelusz.
W prawej ręce trzymał asa z nadrukowaną
czarną jak smoła literą A – starą, zapada-
jącą się szubienicą ze świeżymi owocami
czaszek karo rozrzuconymi dookoła kon-
strukcji. A – czyli prapoczątek. A – czyli
Atlantyda. Dżoker wie, czy nie?

– Panowie, może wrócimy do wczoro-
rainszego tematu polityki idealnego pań-
stwa? – Marducki uniósł wzrok nad blat

stołu. Kłęby dymu przysłaniały jego oczy, zęby, paznokcie. Właściwie, poza drobnymi przebły-
skami, nic nie było widać. – Stanęliśmy chyba na temacie dzieci?

– No właśnie, co z robieniem dzieci? – podchwycił Bas z naprzeciwka. Ktoś rzucił karty na
stół, przepchnął się pomiędzy gęstym jak miód, przepoconym i smrodliwym tłumem, trzasnął
drzwiami, wyszedł na pole, wpuścił do środka kilka kropel deszczu. Potem wrócił, zabrał parasol
i płaszcz, znów zniknął. Ulewa uderzała miarowo o dach.

– Proponuje się, by te lepsze zostawiać w mieście, a resztę podrzucać ukradkiem innym i
obserwować, jak rosną – zaczął Tenor z końca ciasnej sali. Na stół padło kilka kart. Dama, dama,
dama. A może one wiedzą? Przecież wyglądały tak, jakby ich światem nie była jedynie kafejka
Argo na skrzyżowaniu głównych ulic. Mężczyzna o dziobatej twarzy zaczął nerwowo obdzierać
skórki paznokci, aż pociekła krew. – Jeśli po upływie jakiegoś czasu wykażą zdolności w kie-

runku egzystencji w takim społeczeństwie, weźmie się je z powrotem... Pas.

– Czekam.

– Sprawdzam.

Pot sływał mu po skroniach, płowej grzywie, wąsach. Mówią, jakby wiedzieli. Wiedzą? Nie wiedzą? Sprawdzają go jak karty? Przygarbił się i przeczesał ogromną dłonią posklejane włosy. Oko barwy żelaza dziwnie piekło. Wyjrzał za okno, ale nie zobaczył nic ponadto, co tkwiło w wielkim brzuchu *Argo*. Dym, chmury, podobno miała być pełnia, ale księżyc, o ile to był księżyc, chował się za siwymi kłębami pary. Wiedzą?

– Ambitne. – Marducki strzelił palcami. – Pochwalam. Powinno się także pozbyć pojęcia rodziny jako takiej. Niech każdy będzie każdemu bratem.

Ktoś przytaknął, ktoś zaprzeczył, bez znaczenia dla dyskusji. Deszcz padał, a *Argo* żeglowała po falach. Jeśli się skupić, można by poczuć łagodne kołysanie.

– Podbijam. Bardzo dobrze się gra w tak doborowym towarzystwie – ciągnął mężczyzna, wychylając się do przodu. Spojrzał prosto na niego, jak dzoker. – Chociażby z twórcą prototypu radia Solon 9000.

Wiedział! Marducki wszystko wiedział! Obserwator zgarbił się jeszcze bardziej i zagryzł wargi. Ale czy na pewno wszystko? Czy wiedział wszystko jak dzoker? O audycji, o Atlantydzie, o audycji o Atlantydzie?

– Cała przyjemność po mojej stronie – skinął głową, udając spokój. – Pas.

Uczony nieśpiesznie wrócił na miejsce. Między Madruckim a Tenorem nawiązała się luźna rozmowa.

– Nie chcę być drobiazgowy, ale moje bydlę niedawno się oszczeniło...

– Gratuluję. – Karty, znów wszechwiedzący wzrok trefnisia.

– Nie w tym rzecz. Jedna sunia z miotu jest kulawa. – Tenor ciągle mrugał, starając się wytrzeć łój z oczu zabrudzonym mankietem. – Nikt jej nie kupi, a ja mam w domu za dużo psów. Taka mała, łaciata, co z nią zrobić...

Marducki zaciągnął się cygarem.

– To utop ją.

Utop ją? Utop ją? Utopią? Zamarł. Wiedzą! Wiedzą! Skąd wiedzą? Przecież był sam, gdy słuchał audycji o zagładzie Atlantydy. Był sam, kuźwa! Wiedzą, wiedzą, był pewien, że wiedzą... Któż na Wyspach Polskich mówiłby o utopii w nieważnej pogawędce?

– Jurek? Wszystko w porządku? – Drugi Bas poklepał towarzysza po ramieniu niewidzialną dłonią. – Żonka ci się przypomniała? Znam jedną taką historię, opowieść bardzo dziwna, ale ze wszech miar prawdziwa...

Niemożliwe, on także wie? A może wiedzą, że on wie, że oni wiedzą, że wie... Zadrzał. Wiedzą! Profesor spojrział na niego krótko, bez wyraźnego zainteresowania. Błefuje! Błefuje! Ogromny mężczyzna poderwał się z miejsca. To za daleko zaszło. On nic nie wie, nic nie wie! Uderzył w stół, rozrzucając asy, damy, króle, walety, wszystkie patrzyły na niego tak, jakby wiedziały o Atlantydzie.

– NIE MOŻECIE szukać ATLANTYDY pod $50,06^{\circ}\text{N}$ $19,96^{\circ}\text{E}$! – wrzasnął, ale czuł się tak, jakby krzyczał do ogromnej studni, w fizys dzokera odbijającą się głęboko, głęboko w wodzie. – Nic tam nie ma! Nic a NIC!!

Nie wiedzieli.

– ...da na dziś: wielkie ulewy w okolicach Szklarskiej Poręby i Zakopanego. W stolicy ra-



czej słonecznie, możliwe przelotne opady, więc rzeszowianie nie powinni się obawiać burz, jak w poprzednim tygodniu. Za dosłownie chwilę przeniesiemy się prosto na szlak Oceanu Bałtyckiego, by razem z profesorem Marduckim udać się pod powierzchnię morza w „Kapitanie Nemo”, nowoczesnej łodzi podwodnej, której imię zaczerpnięto z podań starych francuskich plemion. To będzie wielki dzień, moi drodzy! Jeden z pionierów technologii radiowej, Jerzy Spychowski, wskazał współrzędne potencjalnego położenia zaginionej cywilizacji...

Piorąc drugą parę skarpetek, Jerzy Spychowski przeklinał własną głupotę. Nie chciał wracać pamięcią do tamtego momentu, zaledwie czterdzieści dni i czterdzieści nocy temu, gdy popełnił ten kardynalny błąd. Źle oszacował intencje Marduckiego, spojrzenie dzokera, blef, wyprawa, karty, dym. Zawiódł. Atlantyda była jego tajemnicą. Słodką, ostatnią tajemnicą. A teraz?... Mężczyzna westchnął i usiadł przed Solonem 9000, spoglądając nieufnie na stare urządzenie. Od kiedy usłyszał pradawne SOS od tonącej Atlantydy, po przebadaniu drogi fal radiowych i oszacowaniu ich na blisko dwa tysiące lat, nie włączał radia ani na chwilę. Przestał w nie wierzyć. Było tylko blizną na brunatnym kredensie.

– ...tak, jestem tu razem z profesorem Marduckim i resztą załogi! Płyniemy szybko w kierunku południowo-wschodnim. Jesteśmy około 15 mil morskich od celu. Woda jest tu bardzo płyt...a co to?! Widzę jakiś dziwny kształt! Czyżby Atlantyda znajdowała się bliżej, niż spekulowano?... Niesamowite! Pani archeolog Merlinsky przygląda się uważnie zjawisku. Co to jest?! Werdykt? To ostaniec wapienny! Tak jak mówiły legendy: Atlantyda znajduje się za Słupami Heraklesa! Brak mi słów... Jesteśmy na dobrej drodze!

– ...coraz ciekawiej! Schodzimy niżej, dno jest tu piaszczyste i płaskie... Pani archeolog twierdzi, że to równina, niegdyś otaczająca wspaniałe miasto. Atmosfera jest napięta, też to czujecie? Jeden mikrofon się pop... JEST, JEST! Widzę ją, widzę! W oddali zarysowuje się...coś, tak, struktura przypominająca ostrosłup! To cudowne! Wiktoria! Profesor Marducki w szoku, inni również. Nie możemy usiedzieć w miejscu. Wyraźnie widzę – piramida, teraz przypomina piaskowy kopiec, ale to na pewno piramida!

Spychowski zasłonił oczy rękami. Znaleźli jego sekret. A więc Solon 9000 naprawdę wyłapał fale sprzed wieków, odbite od jakichś kosmicznych śmieci... Czuł się zdrajcą własnego państwa, a radosny śmiech prezentera brzmiał w jego uszach jak pocieranie papierem ściernym o twarz najlepszego przyjaciela.

– ... TAK! TAK! Co za wiekopomna chwila! Poza rybami tylko my jesteśmy przy tych ru-

inach! Tak, właśnie! Ruiny! Widzę potężne fortyfikacje! Mijamy piramidę. Jesteśmy tak blisko! Profesorze, co pan o tym sądzi?

– Z całą pewnością znaleźliśmy pozostałości pradawnej cywilizacji. Ciekawe, kto tu mieszkał, na tej plus minus Atlantydzie?

– Bardzo ciężko jest tu z kimkolwiek porozmawiać, każdy się szamocze, rozgląda, pani archeolog Merlinsky właśnie informuje, że miasto jest otoczone murem z trzech stron, a dostać się do niego można było tylko nad fos... O BOŻE! Patrzcie tam, znaczy się... zamek, prawdziwy zamek! Na wzniesieniu, obrośnięty warstwą alg i glonów, ale to bezsprzecznie fort! Merlinsky wychodzi wraz z nurkami, by zbadać ten obiekt i pobrać próbki do analizy. Tego się nie da opisać słowami! Tego się nie da niczym opisać! Z ciemności wylaniają się inne budynki, coś w rodzaju kościoła, baszty... Słyszę jakieś dziwne, głuche dudnienie. Tak, profesorze....?

– Ten dziwny dźwięk to pewnie odgłos tamtego dzwonu, chyba prąd morski porusza jego sercem, nienaruszonym przez wieki wieków...

– Dokładnie jakby coś tu straszyc! Zapewne ma pan rację, po powrocie archeolog będziemy mieć bardziej precyzyjne informacje na ten temat. Jesteśmy chyba w centrum, tak, mijamy obiekt z dwoma wieżami, nieopodal, na brzegach schodów, widzimy posągi śpiących lwów, nie, nie lwów, to sfinksy! No już, już zaraz. Użyczę mikrofonu doktorowi Dogonowi, specjaliście od symboli i mitologii:...

– Witam, a więc, tu, w dole, w pobliżu wież, widzimy głowę Erosa. Dawnej chyba była to część większego posągu. Nie ma oczu, może wcześniej zastępowały je rubiny lub jaspisy. Ale cóż, czasy bogów się skończyły...

– Tak, teraz są czasy ludzi, prawda, moi drodzy? Głowa tego posągu jest ogromna, całość, gdyby stała, wystawałaby ponad powierzchnię! Widzę właśnie kolejną, małą, jakby szklaną piramidę na samym środku tego placu...

– ...Unosimy się trochę wyżej. Widzę jakieś wraki, metalowe szkielety, czyżby pozostałości rydwanów? Płyniemy nad murami, oblędne... już wiemy, że mieszkańcy Atlantydy, Mu, Warszawy, Mauritii czy innego zaginionego lądu znali szkło. Co jeszcze? Radio? Albo coś więcej, czego nie umiemy sobie jeszcze wyobrazić? Profesor wzywa mnie do siebie, nie wiem, co zrobić z mikro.... O, archeolog właśnie wróci...

– Witam, muszę złapać oddech... tak, budowla położona na wzgórzu to w rzeczy samej zamek. Na placu odkryliśmy sieć kanałów, podejrzewamy, że to te same tunele, które łączyły Atlan-



tydę z Agartą. Odcyfrowałam jeden z napisów na tabliczce: Kazimierz... Czyżby jeden z dziesięciu władców utopii? Wspaniale... Ale to znalezisko przewyższa wszystkie: dobrze zachowany obraz kobiety z gronostajem na rękach! Przez tysiące lat ukryty za szkłem, teraz zostanie wydobyty na światło dzienne! Poruszona poza, tułów odwrócony w inną stronę niż głowa... Styl wygląda znajomo, podobno dzieło wykonał wielki, starożytny mistrz, Leonardo da Vinci, który wyśnił dotąd nieziszczone marzenie człowieka o lataniu... To odkrycie to kamień milowy geologii, archeologii, etnologii... Jesteśmy na ulicy Kleeberga. Na kolejnej tabliczce udało mi się odczytać napis w jednym z wymarłych języków. Jest tam napisanie: Krak...

– Tak, wiemy, świetne, ale oddajmy głos profesorowi, zwołuje nas na środek, unosi palec, chce coś powiedzieć, mówi, że...

Nagle rozległy się głośne trzaski. Mikrofon widocznie upadł na podłogę, bo słychać było przytłumiony wrzask, kroki i grzmot hektolitrów wody. Gdzieś tam nieludzki wizg, coś się wlewało, coś się wlewało. Przez chwilę panowała cisza, a potem do mikrofonu znów dopadł

dziennikarz, dysząc i charcząc, jakby krztusił się krwią.

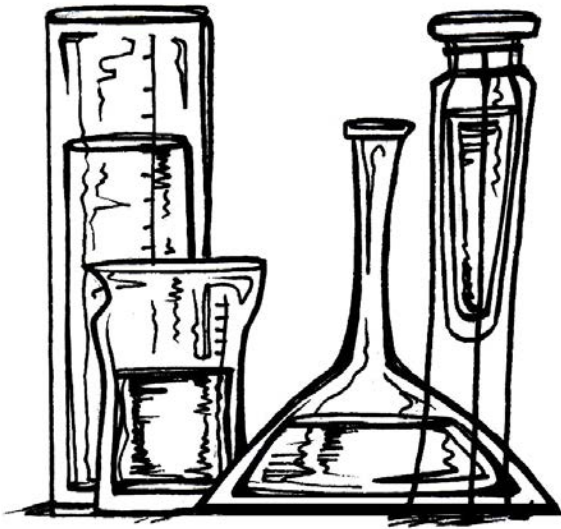
– Matko Boska!! To...ja...ratu...! SOS! Zaatak... nas... stworzen... nieznane natu... jak z legen... ma sześć łap, małe skrzyd... przeciekamy, Marduk... mikrofon cały w wodz... nie moż... SOS SOS potrząsa okrę... Atlan... nie wol... zapo... Lewiata... SOS...SOS...SO...

Radio zapiszczało w agonii, a potem zamilkło. Spychowski uśmiechnął się radośnie, ścisnął w rękach purpurową skarpetkę.

I umarł.

Gerard Nibybyłowski – obecnie mieszka w Białymstoku. Pisze opowiadania mieszczące się najczęściej w spektrum szeroko pojmowanej fantastyki, szczególnie sf, próbuje też sił w poezji. Zajmuje się hobbystycznym tworzeniem ilustracji zarówno tradycyjnej, jak i w technice digital art. W wolnym czasie jeździ konno. Zdobył II miejsce w konkursie „Nadszaniec Fantastyki III”, organizowanym przez Zamojskie Stowarzyszenie Kulturalne „Czerwony Smok”.

Anna Głuszek
Ilustracje A.A.Turkiewicz



– Powtarzam, gaz koksowniczy to najlepsze, czego możemy użyć – rzucił Karol Mohr, posyłając poirytowane spojrzenie w stronę młodszego brata. – Lepiej nie będzie.

Adam podniósł wzrok znad szklanej kolby i powoli rozprostował zeszywniały kark. Potrząsnął głową. Uwadze Karola nie uszedł jego uśmiech.

– Możemy tak zrobić, oczywiście – przyznał niechętnie.

– Ale?

– Ale to nie będą dobre lampy.

Karol, zazwyczaj opanowany, zniósł uwagę brata z nieznacznym grymasem niezadowolenia.

– W Paryżu robi się lepsze? – Nie był w stanie powstrzymać sarkazmu. Adam wzruszył ramionami.

– Nawet nie. – Przypomniawszy sobie wąskie uliczki Dzielnicy Łacińskiej, ciemne i nieprzyjazne, kiedy wracał do pensjonatu z kolejnej nocnej eskapady. – Ciemno tam jak wszędzie, tyle że księżyc jakby więcej.

– A może sam umiałbyś je zrobić, poeto? – ciągnął z przekąsem Karol, mierząc brata chłodnym wzrokiem. To już nie była ironia, ale jawne, rzucone prosto w twarz wyzwanie. Adam przyjął je z nieoczekiwanym spokojem; jego wargi wykrzywiły się w drwiącym, jakby bolesnym grymasie.

– To – odrzekł powoli, z namysłem – jeszcze się okaże.

Ignorując pytające spojrzenie Karola, sięgnął po fiolkę z laudanum i karafkę z wodą. Pięć kropel. Wystarczy.

– Zbyt długo przebywałeś za granicą – zauważył brat współczująco.

– Może i tak.

Karol nie był wcale daleki od prawdy. Kiedy dziesięć lat temu Adam opuszczał Kraków, marzył o podróżach, studiach i nauce, zdolnej przekraczać granice umysłu. Ale jedynymi pamiętkami, jakie przywiózł ze swoich dalekich podróży, były syfilis, słabość do laudanum i rosnąca niechęć do ludzi.

I pragnienie, żeby jeszcze kiedyś zasłużyć na podziw brata.

Wyobraża sobie szklany klosz, połyskujący na tle ciemnej ulicy. Gaz pali się jasnym, równym płomieniem; zalewające ulicę światło rzuca srebrzyste błyski na publiczność, rozświetlając półmrok.

Adam uśmiecha się, kiedy słyszy szepty niedowierzania, coraz głośniejsze – i górujące nad wszystkim westchnienie Karola.

Laboratorium, oświetlone mglistą poświatą kilku gazowych lamp, sprawiało ponure wrażenie. Tylko zatopione w tłuszczu drobinki rtęci migotały w półcieniu. Adam zamrugał, starając się odpędzić wirujące mu przed oczami czarne plamy: wzrok coraz częściej odmawiał mu posłuszeństwa, zwłaszcza wieczorami.

– Dziś też zostajesz na noc?

Głos Karola nieoczekiwanie wyrywał go z zamyślenia. Spłoszony Adam nie był w stanie powstrzymać nerwowego drgnięcia. Pojemnik z maścią wysunął mu się z rąk, rtęć z tłuszczem rozlała się po blacie, brudząc rozłożone na nim sprzęty. Adam odruchowo wytarł dłonie w kamizelkę i odwrócił się w stronę brata.

– Mam jeszcze trochę pracy – mruknął, wskazując na zgromadzoną w kącie laboratorium stertę ogromnych szklanych kloszy. Część z nich, już połączona w fantazyjne kształty, pięła się po mosiężnych prętach jak kapryśne, delikatne kwiaty o przejrzystych płatkach.

– Po co ci te wszystkie cuda? – westchnął Karol. Wziął do ręki pręt i przyjrzał mu się nieufnie. – Uważasz, że poprawią jakość gazu? Już z tym, co mamy, uda nam się oświetlić pół miasta, jeśli nie więcej.

– Jesteś bardziej szalony ode mnie – rzucił zjadliwie Adam. – A twoje lampy tylko niszczą mi wzrok.

– To nie lampy, to laudanum. – Karol zaśmiał się krótko, wskazując na nierówne wieże kościoła Mariackiego, widoczne nawet z ich laboratorium. – Mówią, że to miasto nie lubi rywalizacji, wiesz?

Adam spoważniał.

– Mniejsza o rywalizację. Nikt nie zbuduje gazowni dla twoich fanaberii, Karolu. A ja – machnął niecierpliwie ręką – poradzę sobie inaczej. Nawet sam, jeśli będzie trzeba.

Karol przygryzł wargi i odrzucił od siebie mosiężny pręt.

– Jak uważasz – odparł sucho. – Dobranoc.

Drzwi do laboratorium zatrzasnęły się z głośnym hukiem. Adam odetchnął z ulgą i na powrót pochylił się nad lampami; o wiele prościej pracowało się w samotności.

Resztki maści między palcami połyskują srebrzyście, przykrywając strupy. Adam odruchowo zaciera dłonie, patrzy na lampę i nagle wstrzymuje oddech: wewnątrz szklanego klosza promieniuje ostrym, jaskrawym światłem.

Sięgając po kolbę, myśli już tylko o tym, żeby jeszcze raz odtworzyć eksperyment.

Kiedy wstał, odsuwając krzesło, znów zapiekły go oczy, ale nieprzyjemne wrażenie było niczym w porównaniu z tym, co nastąpiło później. Adam poczuł przenikliwy ból, niemal rozsadzający mu czaszkę. Kurczowo uchwycił się brzegu blatu, macając na oślep w poszukiwaniu fiolki z laudanum, kiedy coś oparzyło mu rękę. Cofnął ją, gwałtownie odchylając się w tył, zawadził nogą o krzesło – i stracił równowagę. Runął na podłogę, uderzając głową w stertę szklanych kloszy.

Kiedy się ocknął, wciąż było jasno, tak jasno, że nie potrafił rozróżnić niczego prócz światła. Wreszcie usłyszał kroki, znane tak dobrze, że rozpoznał je bez trudu, lekkie i nerwowe. A potem czyjaś ręka ostrożnie dotknęła jego ramienia i mimo woli skrzywił się z bólu.

– Adamie – jego uszu dobiegł głos brata, zatroskany i poważny – coś ty zrobił najlepszego?

– Chyba uderzyłem się w głowę – szepnął, z wysiłkiem unosząc dłoń do czoła. – Ale udało mi się, dokładnie tak, jak mówiłem. Cały czas się świeci, widzisz?

– Tu jest ciemno. – Głos Karola był głuchy, matowy. – Dochodzi piąta rano, a lampy...

– Co z nimi?

– Masz we włosach pełno szkła.

Zaskoczony Adam uniósł się chwiejnie z podłogi. Nie przewidział reakcji Karola: brat spazmatycznie wciągnął powietrze, jakby czymś przerażony.

– Na Boga, co tu się stało? To nie mogło być tylko szkło. Twoje oczy...

– Rtęć – wymamrotał Adam. – Wystarczyło dodać odrobinę szarej maści, nigdy byś nie zgadł, co? Wreszcie wiem, jakich proporcji potrzebuję. I odtworzę to, choćby publicznie, kiedy tylko odzyskam wzrok. Karolu – dodał niespokojnie – ty mi wierzysz, prawda?

Odpowiedziało mu milczenie.

Pierwszy błysk trwa nie dłużej niż ułamek sekundy i początkowa euforia maleje. Nie chce przecież pokazywać tanich sztuczek, a oświetlić miasto. Bycie kuglarzem nie spotka się z aprobatą Karola; w taki sposób nie zaimponuje mu nigdy.

Ale Adam nie ma ochoty mierzyć się z kolejną porażką i decyduje się próbować dalej.

Pokonywanie po omacku pokoi, dzielących go od gabinetu brata, nie było najszczęśliwszym pomysłem, ale Adam nie potrafił zbyt długo uleżeć w łóżku; bezczynność była czymś nieznośnym dla jego aktywnej, spragnionej wrażeń natury. Dlatego, zamiast odpoczywać, powoli sunął wzdłuż ścian, próbując rozpoznać dotykiem znajome przedmioty. Zatrzymał go dopiero głos Karola, łagodny, ale zdradzający wyraźne ślady niepokoju.

– Co tu robisz? – Uszu chorego dobiegł cichy brzęk, jakby brat strącił coś z biurka. – Nie powinieneś wstawać, jeszcze nie jesteś zdrow!

– Myślałeś, że mnie tam zatrzymasz? – syknął Adam. – Że się pozbędziesz konkurencji, tak? Kogoś, kto może odkryć coś lepszego niż twoje śmieszne lampy?

– Wcale tak nie myślę. – Karol uspokajająco położył rękę na jego ramieniu. – Syfilis, laudanum, a teraz jeszcze ten wypadek. To za dużo na jedną osobę. Nic dziwnego, że to cię przerosło.

– Dalej nie wierzysz? To weź mnie do laboratorium i daj chociaż jedną szansę, do diabła! – wykrzyknął Adam z irytacją, strząsając z siebie dłoń brata. – Nie ty jeden potrafisz się na coś przydać!

– Pracowałeś tam przez pół roku – zauważył Karol cicho. – I co takiego odkryłeś? Sam zobacz, jak to się skończyło.

– Ale jeśli...

– To i tak nic by nie dało.

W głosie opanowanego zazwyczaj Karola było tyle rozpaczliwej determinacji, że Adam drgnął niespokojnie.

– Ty tam już byłeś, prawda? – odezwał się powoli. – Po tym wypadku?

– Byłem. – Karol zawahał się. – Próbowałem odtworzyć to, o czym mówiłeś. Kilkanaście razy, przy zmiennych proporcjach.

Adam zamarł, wstrzymując oddech.

– I?

– Nic z tego – przyznał Karol z goryczą. – Wyśniłeś to sobie chyba w narkotycznym widzie.

Franca to nie tragedia; da się z nią żyć, jeśli tylko zachowa się ostrożność. Tak mówi aptekarz, kiedy podaje mu słoiczek z szarą maścią; tak mówi Adam, smarując ręką syfilityczne strupy między palcami.

A potem wlewa do szklanki z wodą pięć kropli laudanum i zapomina o wszystkim poza rozbłyskami światła przed oczami.

Ocalałych lamp wystarczyło tylko na oświetlenie fragmentu ulicy Gołębiej.

Tyle przynajmniej usłyszał Adam, kiedy Karol opowiedział o planowanym pokazie, pomagając mu wybrać odpowiedni surdut. To miało być jego pierwsze wyjście, odkąd stracił wzrok. Bez pomocy nie był w stanie nawet zawiązać fularu.

Może zresztą tak było lepiej; przynajmniej nie wiedział, jak bardzo został oszepecony. Bliźny, choć podobno goiły się dość szybko, wciąż pozostawały wyczuwalne pod naciskiem palców: kilka razy dziennie badał mapę zgrubień na twarzy, szyi i przedramionach, dotykiem rozpoznając miejsca, w które wbiły się odłamki szkła.

Dlatego postawił na swoim przynajmniej w jednej kwestii, nawet mimo nalegań Karola. Nie chciał stać z przodu, wystawiając się na ludzki widok. Zajął miejsce nieco dalej, częściowo osłonięty słupem lampy, i mocniej nasunął na twarz kapelusz. Wołał uniknąć cudzych spojrzeń, pełnych współczucia, a może nieznośnej litości; przybył tu przecież tylko ze względu na pokaz.

– Panowie, dziś zobaczycie coś niezwykłego – usłyszał głos Karola, jak zwykle spokojny, z nutą triumfu, wyczuwalnego tylko dla nich dwóch.



Adam wyteżył słuch: dobiegły go szmery, urywane szepty z tłumu. Niemal czuł ożywienie widzów.

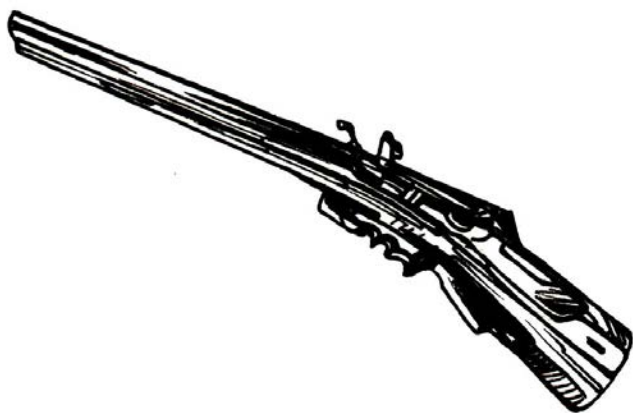
Wysunął się zza słupa i wyciągnął przed siebie rękę: mógł wychwycić ciepło lamp, niewyczuwalne dla kogokolwiek, kto nie został zmuszony do posługiwania się zmysłami innymi niż wzrok. Nadeszła ich – nie, jego – wielka chwila.

– Oczywiście, to będzie wymagać ogromnych nakładów finansowych – mówił Karol – ale zmiany muszą wreszcie nastąpić. Może jeszcze nie teraz, może za trzy lata, może za pięć. Dajcie mi tylko więcej czasu. Tak właśnie wygląda nasza przyszłość, panowie!

Burza oklasków dopowiedziała mu całą resztę. Adam uśmiechnął się lekko, postąpił jeszcze krok w stronę lamp i zacisnął dłoń na ukrytym w kieszeni słoiczku z szarą maścią. On sam wiedział przecież najlepiej, jak jest naprawdę.

Żadne światło nie mogło równać się z jasnością, wypaloną już na zawsze pod jego powiekami.

Anna Gluszek – rocznik 1982, gdańszczanka, polonistka, bibliotekarka, czytelniczka. Miłośniczka literatury dziewiętnastowiecznej, gotyckich horrorów, kotów i dobrej kawy. Długoletnia autorka fanfiction. Jej debiutem literackim, jeśli chodzi o teksty własne, jest horror “Wyspa”, zamieszczony w zbiorze “Strzeż się potwora”; publikowała również w antologiach “Metoda Schlegmachera i inne opowiadania” i “Światy Zajdla”, a także w “Esensji”.



Pojawiła się po uderzeniu meteorytu. Pierdyknęło nieźle, nad ranem, jeszcze ciemno było, gdzieś na wysokości Tynieckiej, aż szyby poszły w całym Garnizonie Kraków, a twarde chłopcy zbudziły się ze snu praktycznie martwe – tak szkło, odłamki i kawałki gruzu posiekały ciała. Fala uderzeniowa zdławiła wrzask alarmu i zapadła cisza, przerywana tylko jękami umierających i hałasem osuwających się fragmentów murów. Z nadejściem brzasku na niebie wyrósł Łuk, wysoki i lśniący, a gdzie padł jego cień, tam sięgała Zona.

Zapadał zmierzch nad Chabówką i oba Łuki – dwie sfery prowadzące słońce i księżyc – przez tę ulotną chwilę widniały na niebie. Dawały dosyć światła, by mógł skradać się, nie potykając o tory bocznic, i na tyle mało, by wysmarowana sadzą twarz nikła w mroku.

Nadejście zmiany zastało go w Warszawie, widział, jak poszarzały twarze generalicji na wieść o utraceniu łączności z Dowództwem Wojsk Specjalnych, słyszał kolejne meldunki o zawodzącym sprzęcie, zdjęciach satelitarnych bez Krakowa, samolotach, którym gasły silniki, gdy piloci meldowali, że widzą łuki sfer niebieskich. Wśród żołnierzy zaczęły krążyć plotki, w tym rada – gdy widzisz Łuk, zawracaj, nie próbuj uruchomić wozu, biegnij – kto został za długo, już nie wrócił.

Kilka kilometrów przed Chabówką ustawiono blokady, porzucił więc samochód i zaczął przedzierać się polami, kryjąc się wśród cieni rzucanych przez drzewa. Bez względu na motywacje był dezerterskim, jeśli spotka kogoś ze swoich, trafi do aresztu. Jeśli zostałeś oddelegowany do Warszawy, siedź tam na dupie, facet, nie pętaj się po Zonie, każdy ma jakąś rodzinę, co by było, gdyby wszyscy opuścili posterunek?

On miał syna, o byłą żonę nie dbał.

Szedł więc przez tory w stronę muzeum, odwiedzili je kiedyś z synem w czasie wypadu z Krakowa. Chciał znaleźć lokomotywę, która wtedy ciągnęła staromodne wagoniki. Przy trzeciej się zatrzymał, nie było przy niej tabliczki z opisem, rozejrzał się na boki i skoczył na mocarne koła, chciał sprawdzić, czy jest w niej woda, gdy usłyszał za sobą szelest. I dźwięk odwodzonego kurka. Zdrętwiał.

– Porozmawiajmy – powiedział. – Teraz zejść, dobrze?

Zaczął schodzić, po karku przebiegały dreszcze, czuł wycelowaną w siebie broń. Co to było? Odgłos nie przypominał znanej mu broni.

Powoli odwrócił się i ujrzał wysoką dziewczynę. W rękach trzymała zabytkowy arkebuz, teraz poznał. Uśmiechnął się do niej.

– Lepiej odłóż, zanim zrobisz sobie krzywdę.

Potrząsnęła blond grzywką. Lufa zaczęła celować w środek jego ciała. Widział wystraszone dziecko, nastolatkę jeszcze, lecz nawet dziecko może cię zabić.

– Idź stąd, złodzieju!

– Muszę dostać się do Krakowa. – Dzieciom trzeba wszystko spokojnie wytłumaczyć, szczególnie takim z bronią, nawet wyglądającą archaicznie. Samopół też może zabić. – Mieszkam tam. Muszę odnaleźć syna. Jak masz na imię? Ja jestem Krzysztof.

Widział, że nerwy miała napięte jak postronki. Dolna powieka dziewczyny zaczęła upiornie drgać, zagryzła dolną wargę. Nie sprzeciwiła się, gdy ostrożnie podszedł i odebrał jej broń.

– Agnieszka – odpowiedziała. Włosy opadły jej na twarz, gdy opuściła głowę.

– A zatem, Agnieszko, dlaczego nie opuścisz Zony?

– Moja siostra próbowała. To na nic. Idziesz naprzód, a potem pojawiaasz się w miejscu, z którego wyszedłeś. Kaśka niemal oszalała, dobrze jeździła konno, wzięła jednego ze stadniny i ruszyła w stronę Nowego Targu. Przyjechała z powrotem od strony Krakowa. A potem pojawił się – zawahała się przez chwilę – on.

– On?

Spojrzała na niego nierozumiejącym wzrokiem, nie wierząc, że nie wie, o czym mówi.

– Dopiero co przyjechałem z Warszawy – powiedział. – Wytłumacz, o kim mówisz.

– To ona jeszcze istnieje?

– Warszawa? Tak. To z Zony Kraków nikt nie wychodzi. Kim jest ten „on”?

– Smok. – Ledwo usłyszał, co wyszeptwała.

– Smok wawelski?! – W pierwszy odruchu chciał się zaśmiać, lecz opanował rozweselenie. Łuk na niebie wystarczał za przypomnienie, że wszystko, co racjonalne, przestało obowiązywać. Na dobre spoważniał, gdy dotarło do niego, jak zginęła Kaśka.

– Ludzie mówią, że obudził go upadek meteoru – powiedziała. – Że to nie bajka. I że w jakiś sposób to wszystko jego sprawka. Dostosowuje swoje środowisko do tego, co pamięta sprzed lat, z mitycznych czasów. Był tu żołnierz. Z tej jednostki „Nil”. W czasie wybuchu był na przepustce. Wrócił, a tam nie ma kogo ratować. I smok spod skałek wypełzł. Ledwo wtedy uciekł. Ale wrócił po sprzęt, gdy smok odleciał. Część tutaj zostawił, gdy przekonał się, że nic nie działa. Chciał opuścić Zonę, lecz smok i jego dostał.

– Wiesz, jak się nazywał?

– Baro, tak kazał mówić, ale co to za imię?

– Romskie. Znaczy duży.

– A, to by się zgadzało. I wyglądał na Cyga... znaczy się Roma.

Kiwnął głową. Wiedział, który to z chłopaków. Był tylko jeden taki.

– Chcę zobaczyć to, co zostawił.

Bez słowa wskoczyła na peron i ręką dała znak, by poszedł za nią. Obok budynku stała niewielka komórka, dziewczyna otworzyła jej drzwi i spojrział do środka. Glock 17, karabinek M4 i granatnik M203. Granatnik trochę go zdziwił, ale kiwnął z satysfakcją głową, gdy dojrzał pokaźny zapas amunicji. Zaczął ładować ją do torby. Ciężkie, ale pasek powinien wytrzymać.



– Nie masz gdzieś jakiejś owcy na zbyciu?

Zauważył przerażenie w oczach dziewczyny.

– Tak myślałem. Będę sam musiał się o to zatroszczyć.

Przez chwilę walczyła ze sobą, chciała coś powiedzieć, lecz odpuściła. Zbyt wiele osób idących na śmierć pożegnała, by mieć siłę walczyć o kolejne życie. Chce, to niech idzie.

Zdecydował, że gdy wszystko się skończy, wróci do Chabówki.

– Potrzebuję tej lokomotywy – powiedział. – Bardzo.

Kiwnęła głową.

– Powiem, że nic nie widziałam. A umiesz przynajmniej ją uruchomić? Źle coś zrobisz, dostanie się woda tam, gdzie nie powinna, i wszystko pójdzie w diabły z powodu szoku termicznego.

– Dam sobie radę.

Parę miesięcy wcześniej jego syn został zaproszony do maszynowni w czasie przejazdu. Wysłuchali wyjaśnień na temat każdej przekładni, wajchy i wskaźnika. A on niczego, co usłyszał, nie zapominał. Neurologiczne dziwadło.

– No tak. Żegnaj – powiedziała. Odwróciła się na pięcie i znikła za rogiem.

Nikt mu nie przeszkodził w przygotowaniach tym razem. Dopiero gdy rozległ się stukot kół, zobaczył w oknach zapalane lampy naftowe, świece i usłyszał krzyki. Ale szybko, coraz szybciej, pozostawały z tyłu.

Lokomotywa działała, może dlatego, że w swojej idei nie różniła się – przy całym skomplikowaniu jej mechanizmów – od bani Herona? Nie była nowoczesnym wynalazkiem, podobnie jak arkebuz, chociaż zaawansowaniem przewyższała starożytną zabawkę. Pozorny paradoks dodał mu otuchy. Historia granatów, nie mówiąc o materiałach wybuchowych, sięga XV wieku.

Pilnował poziomu pary, dorzucał węgla do pieca. Dwoił się i troił, wykonując pracę przeznaczoną dla dwóch ludzi. Na chwilę tylko przerwał, gdy usłyszał jakieś krzyki. Wyrzął. Za parowozem biegło kilku rolników, zwiększył ogień i parę, znalazł się na granicy bezpieczeństwa, ale opłaciło się, bo nikt go nie dogonił. W pełnym pędzie minął zabudowania i małą lokomobilę napędzającą niewielką młockarnię. Zrozumiał, jak łakomy kąsek stanowiła lokomotywa w świecie nawykłym do pracy silników.

Szum pary i tłoków zagłuszał większość odgłosów, więc zorientował się dopiero, gdy mrok zgęstniał, gdy skrzydła opadły z boków lokomotywy, zasłaniając blask Łuku, a powietrze prze-

szął wrzask maskary. Pazury szarpnęły za dach, pojazdem zatrzęsło, lecz okazał się za ciężki nawet dla mitycznego stwora. Krzysztofa chroniła solidna dziewiętnastowieczna konstrukcja. Lokomotywa toczyła się dalej po torach.

Odetchnął z ulgą i otarł pot z twarzy. I zaklął ostro, po wojskowemu, gdy z boków pojawiły się jężory ognia, smok zionął z góry. Na całe szczęście, nie mógł lecieć na wysokości okien lokomotywy, próbował, lecz skrzydła zawadziły o ziemię, w chwili gdy splunął po raz drugi, musiał wylądować, pociąg przetoczył się i ogień podpałił trzeci wagon.

W powietrzu ponownie rozległ się krzyk frustracji. Krzysztof uśmiechnął się, w starciu dwóch ognistych stworów wygrała lokomotywa. Koła rytmicznie wystukiwały werbel zwycięstwa.

Pochował kolegów, którzy zginęli przez brawurę, był grubo po trzydziestce i bliżej mu było do rozwagi czterdziestolatka niż brawury nieopierzonego smarkacza, więc gdy zauważył cień sunący wzdłuż pociągu, dał ostro po hamulcach, zmieniając taktykę. Uratowało mu to życie. Gdy zobaczył, że z nieba, wprost na tory, spada solidny pień drzewa, wyskoczył na nasyp, chowając głowę w ramiona, uważając, by turlanie oddało energię, nadaną przez prędkość pociągu. Odotoczył się od wykolejonego wagonu, odczołgał i schował w cieniu krzaków.

Widział, w świetle ognia ogarniającego lokomotywę, spopielającego zapas węgla, jak smok węższy w powietrzu. Nie znalazł człowieka w pociągu, ruszył w stronę krzaków.

Krzysztof zamarł bez ruchu, pozwalając, by stworzenie zbliżyło się na wyciągnięcie ręki. Gotował się do skoku. Gdy już sam pomyślał, że przyplaci to życiem, z krzykiem zerwał się na nogi i pobiegł przed siebie.

Smok rozwarł paszczę, pokazując lśniące zęby. Podgardle przeszyły dreszcze, na tę chwilę opóźnienia czekał człowiek. Z całych sił rzucił torbę prosto w paszczę smoka. Potem rzucił się w dół, jeszcze niżej, nie bacząc na drobne drzewa drące ubranie, kaleczące twarz i ręce. Zsuwał się coraz niżej, mokra ziemia oblepiała go całego, wpełzała pod bluzę i koszulkę.



W chwili gdy schował głowę pod ramionami, rozległ się wybuch, płonące szczątki przeleciały nad nim. Część drzew stanęła w ogniu, lecz on wyszedł z tego żywy. Stanął niepewnie na nogach, które ugięły się pod nim, podparł się o ziemię, aby nie upaść. Kolano odmówiło współpracy. Usiadł, nie zważając na posokę, spływającą po nasypie, syk dopalających się płomieni był najpiękniejszą muzyką.

Wyjął z kieszeni bojówek telefon i zaczął się w niego wpatrywać. Siedział tak z godzinę, aż wyświetlacz z wahaniem pokazał kilka kresek zasięgu.

Wybrał numer. Słuchał kolejnych piknięć, oznaczających, że gdzieś dzwoni inny telefon. W końcu ktoś odebrał.

– Słucham?

Po twarzy żołnierza pociekły łzy.

Małgorzata Wieczorek - Anglistka, pracuje na Politechnice Warszawskiej. Debiutowała opowiadaniem „Przepowiednia” (*Fenix* 1/97), oprócz tego publikowała w *Nowej Fantastyce*. Cierpi na rozpaczliwy brak czasu na wszystko – w tym na pisanie. Ale pomimo tego będzie można przeczytać jej najnowsze opowiadanie w *Fantastyce – Wydaniu Specjalnym* w styczniu 2014.

Wojna adaptacyjna

Maria Dunkel

ilustrowała Ewa Skuza



Na parterze Galerii Krakowskiej działa tylko jedna jarzeniówka, bzycząca i mrugająca w wyjątkowo denerwujący sposób. Rzuca blade światło na zzerane rdzą ruchome chodniki, wiodące na wyższe piętro, kilka zniszczonych czasem foteli i stolików oraz wyblakłą, pozwijaną mapę, przyklejoną do plastikowej tablicy.

Proste, lekkie sanie stoją przy wejściu na jeden z chodników. Osiem wynędzniałych, zmęczonych psów kuli się pod meblami. Wszystkie są duże, żyłaste i chude, grubą sierść mają mokrą od śniegu, pyski pokrywają im blizny.

Mapę studiuje z uwagą człowiek, ubrany w nasuniętą na czoło futrzaną czapę i gruby płaszcz, podbity baranym futrem. Na nogach ma ciężkie, sznurowane buciory, sięgające kolan, z podeszwami oblepionymi śniegiem. Na plecach nosi kuszę i karabin. Spod czapki wymykają się jego blond włosy, kilka długich kosmyków opada na przerażającą twarz, której lewą stronę pokrywa skomplikowany, czarny ornament tatuażu. Prawą szpeci blizna, biegnąca od kącika ust do ucha na podobieństwo błazeńskiego uśmiechu. Duże oczy mają barwę rozmokłego seledynu. Powiekom, dolnym i górnym, nadano kolor węglowej czerni. Może to również tatuaż, a może tylko malunek, trudno określić.

Bezkształtne ubranie, wysoki wzrost oraz pełna zdecydowania postawa sprawiają, że na pierwszy rzut oka ciężko domyślić się płci tego człowieka. Pomaga w tym dopiero głos, niewątpliwie damski:

– Zostańcie tu, kundle. Zaraz wracam.

Psy patrzą za odchodzącą obojętnie. Ona zmierza przez ciemny korytarz, między za-

mkniętymi na głucho sklepami, aż na sam koniec długiego pasażu galerii. Wyciąga z kieszeni płaszcz zapalniczkę. Nikły płomyczek wydobywa z mroku zarys bramek, wiodących do nieczynnego supermarketu.

Kobieta gasi zapalniczkę i wchodzi do środka, między regały. Wszędzie panuje cisza, w której każdy krok wybrzmiewa echem. W ciemnościach trudno dostrzec cokolwiek. Od czasu do czasu trzeba oświetlać półki zapalniczką.

Nagle kobieta uderza w coś, co z kolei z hałasem grzmoci w pobliski regał. Jakieś słoiki spadają z trzaskiem na ziemię. Krótki rozbłysk płomienia i kobieta rozpoznaje sklepowy wózek. Pcha go przed sobą.

Znajduje dział z artykułami dla zwierząt. Ładuje do wózka dwa ogromne worki psiej karmy i trzeci, z ciemnym makaronem. Dalej.

W dziale mięsnym cuchnie zgnilizną. Mija go najszybciej, jak może. Zgarnia z półek produkty spożywcze, przede wszystkim długoterminowe konserwy i przetwory. Najwięcej czasu schodzi jej w dziale alkoholowym. Wybiera dwie butelki whisky oraz najlepszego szampana, jakiego udaje jej się znaleźć.

Pcha wózek do kas. Zatrzymuje się przy jednej, przełazi przez taśmę. Wyciąga ukryty w bucie nóż, którym rozcina cienką żaluzję, zasłaniającą półki z papierosami. Zrzuca na podłogę wkłady do e-papierosów, żeby dotrzeć do klasycznych cameli w tekturowej paczce. Zabiera dziesięć opakowań. Znajduje zapalniczki i również zgarnia cały zapas.

Nogą wyłamuje blokującą przejście barierkę. Przeciąga wózek między bramkami. Rozlega się słabe, żalodne „bip-bip”, pomarańczowe światła migają i zaraz gasną.

Kobieta pcha hałaśliwy, rozklekotany wózek przez korytarz. Psy czekają na nią pod migoczącą jarzeniówką. Dwa zasnęły, ale większość nastroszyła sierść i postawiła uszy.

Kobieta rozrywa jeden worek z karmą. Szelest opakowania jest dla psów hasłem do ataku. Zaczynają ujadać, skakać wokół właścicielki, stają na tylnych łapach i warczą na siebie nawzajem.

Rzuca im na podłogę garść za garścią. Miotając mokrymi ozorami po brudnej podłodze, zwierzęta zżerają chrupki. Trzask rozgryzanych granulek odbija się echem od ścian i sufitu. Kobieta na próbę wkłada kilka do ust. Chwilę gryzie razem z psami.

– Nie takie złe – stwierdza, rzucając im trzy ostatnie porcje karmy.

Otwiera sobie puszkę z konserwą oraz butelkę whisky i siada na jednym z foteli. Ściąga

rękawiczki. Dłonie są odbiciem jej twarzy – lewa pokryta tym samym złożonym wzorem, prawa licznymi, przecinającymi się bliznami.

Wyjada konserwę prosto z puszki. Psy kończą posiłek, znów kładą się na podłodze. Jeden z nich, niewyobrażalnie skundlony owczarek, szczeka ostro, dwukrotnie.

Gdzieś z góry, z wyższego piętra, rozlega się łomot i trzask.

Kobieta unosi głowę. Wsadza do ust kawał konserwy, popija solidnym łykiem whisky.

– Kurwa mać, pieski – mówi. – Nie jesteśmy tu sami.

*

W panujących w sklepie alkoholowym ciemnościach Mefi – naprawdę ma na imię Marek, ale kiedy jeszcze miał rodzinę, wołano go „Mefi” – wpada na regał, zastawionymi butelkami wybornych win. Mebel zwala się z hukiem, szkło i wino bryzgają na wszystkie strony.

Mefiemu serce podchodzi do gardła. Krew dudni mu w skroniach. Wsłuchuje się w ten głuchy dźwięk, sparaliżowany strachem.

Nic się nie dzieje. Przez sekundę. Dwie. Dziesięć minut.

Postępuje ostrożny krok w bok, a szkło chrupie pod jego rozczłapaną tenisówką.

Słyszy odgłos miękkich kroków z zewnątrz.

Rzuca się w kąt, za regał, kolejne odłamki zdradzieckiego szkła pękają pod jego stopami. Przypada do ściany i nieruchomieje. Ma nadzieję, że bezruch oraz drewniane meble ukryją go przed wzrokiem drapieży.

Pamięta, jak wygląda jego prześladowca. Drobnej postury, ciemnoskóra kobieta z czekoladowymi lokami wokół twarzy. Ubrana w wysmakowany, beżowy płaszczyk i wełniany szalik, owinięty wokół szyi. W uszach kołyszą się jej wielkie, koliste kolczyki.

Znalazła jego rodzinę, kiedy zerowali w części Krakowa zniszczonej bombardowaniem. Wygrzebywali spomiędzy gruzów szczury. Dorosłe osobniki nawlekali na zbrojeniowy pręt. Oseski wkładali do ust, zgniatali zębami i połykali, smakując ich gorącą krew.

Nagle matka zaczęła krzyczeć. Mefi wyprostował się gwałtownie, pozwalając szczurom z rozgrzebanego gniazda rozbiec się na wszystkie strony. Zobaczył, że ojciec pada w śnieg, a wzbierająca mu w gardle krew wylewa się ustami. Matka zbiegała z kupy gruzów, na której zerowali. Nagle upadła jak podcięta, z szeroko rozkrzyżowanymi rękami. Jej bezwładne ciało stoczyło się z rumowiska.

Na szczycie gruzów pojawiła się ona. Bezlitosny łowca, z pistoletem z długim tłumikiem w dłoni. Mefi na jej widok rzucił się między ośnieżone, na wpół zwalone mury starej kamienicy, porzucając dwie siostry na pastwę losu. Starsza pewnie dała sobie radę, młodsza, ledwie czteroletnia, nie. I tak nie miałby co z nią zrobić.

Przez zgniłe deski podłogi runął w dół, do małej piwniczki. Znalazł poluzowane okienko, przez które się wyczołgał. Powędrował przez zrujnowane miasto. Przechodził obok Galerii Krakowskiej, kiedy znów zobaczył łowczynię. Stała na drugim końcu ulicy i patrzyła w inną stronę. Mefi czym prędzej rozbił dwoma silnymi kopniakami szklane drzwi centrum handlowego i czmychnął do jego wnętrza.

*

Łowczyni v.4.2 staje pośrodku ciemnego holu. Jej ustawione na noktowizję oczy omiatają spojrzeniem kilka porzuconych sklepów z ubraniami i niewielki klomb z zasuszonymi mumiami niegdyś pięknych roślin.

Dawniej to musiało być wspaniałe miejsce, prawie tak wspaniałe, jak ogromny pawilon, który zbudowano wspólnymi siłami w ocalałej podczas III Wojny Światowej części Krakowa, by służył za mieszkanie androidom. Galerię Krakowską – i całą tę ruinę, w którą zmieniła się jej najbliższa okolica – można by jeszcze ocalić, gdyby nie dzikie stada ludzi, którzy jakimś cudem przetrwali wywołaną przez siebie wojnę. Łowczyni wie, że *homo sapiens sapiens* są już na skraju wymarcia i zostało ich niewiele. Tak mówi Władza, a Władza nie myli się nigdy, gdyż dysponuje największą mocą obliczeniową w społeczeństwie. Co więcej, ludzie powinni wyginąć. Pod władzą androidów świat jest lepszy i ma szansę odrodzić się po ogromnych zniszczeniach, jakie przyniosła wojna.

Jednak ludzie mnożą się jak wszy i w zniknięciu trzeba im pomóc. Po to powołano Łowców. Ich zadaniem jest oczyszczenie dzielnicy ze szkodników, aby potem można było postawić tutaj nowy pawilon.

Łowczyni wie już, gdzie znajduje się jej ofiara. Ale jej czuły słuch wychwytuje także odgłos kroków na nieczynnym ruchomym chodniku oraz całkiem wyraźne dyszenie i skrobanie pazurów. Ktokolwiek się zbliża, dysponuje dogomechami. Najprawdopodobniej jest to inny Łowca, jednak nie może być tego pewna.

Pierwszy pies, wielki owczarek, pojawia się w jej polu widzenia. Jeżeli jest to dogomech,

został wykonany bardzo realistycznie. Nawet się ślini.

Warczy krótko i rusza na Łowczynię.

Łowczyni spokojnie sięga do kieszeni płaszcza, wyjmując dysk dezaktywujący i rzuca nim w dogomecha.

Dysk wiruje w powietrzu, kreśląc świetlną spiralę. Uderza dogomecha w pierś. Krótki impuls elektryczny sprawia, że zwierzę podskakuje, dziwnie sztywne i najeżone, ale nie powoduje zwarcia.



To biologiczny organizm.

Drugi pies już nadbiega. Szarawy, wilkowaty, z ogonem zwiniętym w precel. Łowczyni unosi rękę z pistoletem, ściąga spust. Ciche bzyknięcie strzału. Pies zwija się, toczy po podłodze, plamiąc ją krwią z rozwalonej czaszki.

Owczarek dochodzi do siebie. Łowczyni celuje w niego. Kątem oka zauważa nowe niebezpieczeństwo, ręką z pistoletem porusza w bok. Za późno. Seria z karabinu maszynowego pruje najpierw jej klatkę piersiową, a później wrywa z czaszki grafenowe procesory i przewody.

– Kurwa – mówi śpiewnie kobieta z tatuażem. – Przydałoby się pieprzone światło.

Podchodzi do bezwładnego ciała, kopie je w głowę ciężkim buciorem.

– Łowca, tak? A gdzie jego ofiara? Jesteś tutaj? – krzyczy i wybucha śmiechem.

Ocalały pies obwąchuje swojego towarzysza. Później spogląda na właścicielkę, a następnie najeża sierść i zagląda do sklepu z winami. Warczy cicho. Rzuca się do środka.

Słysząc krzyk i trzask szkła, krótkie szczeknięcie, później zapada cisza. Pies pojawia się ponownie. Wlecze za nogę Mefiego, z jego rozprutego gardła ścieka krew.

– Fe, kundlu – mówi obojętnie kobieta z tatuażem. – Kurwa, znów te karaluchy. Jedne i drugie nieprzystosowane zupełnie do postapokalipsy. – Wzdycha. – Zeżryj go sobie, psie.

Po czym wraca do reszty sfory, konserwy i whisky.

Maria Dunkel – Rocznic 1993. Mieszka w Katowicach, studiuje na Politechnice Śląskiej. Większą część życia spędza na toczeniu epickich batalii w internetowych sesjach RPG i pisaniu, a wolne chwile dzieli między obcowanie z fantastyką pod wszelkimi postaciami, słuchanie muzyki i opiekę nad puszystym potworem imieniem Brian. Publikowała na portalach literackich Fabrica Librorum i Extrastory, a także w iNightwood, QFancie, Esensji, Fahrenheitcie, Szufładzie i Fantastyce Wydaniu Specjalnym.

Radioaktywny blues

Paulina Kuchta

ilustracje A.A. Turkiewicz



*Radio Blues nie doprowadzi
Was nigdy do rozpacz i smutku. Z
nami oswoicie swoje lęki i przeżycie
jeszcze raz wspaniałą atmosferę za-
głady. Spójrzcie, jak unosi się nad na-
szym miastem zielonkawa mgła. Czyż
nie jest pięknie?*

*A teraz zagramy waszą ulubioną pio-
senkę postapo – Absolutnie nic.*

Kiedy znalazłem się w opusz-
czonej rozgłośni Radia Kraków i zacząłem nadawać audycję, spełniło się moje marzenie. Teraz,
gdy nie było konkurencji, całkiem realne stało się zrealizowanie mojej dziennikarskiej pasji. W
świecie sprzed katastrofy nie miałbym szans w wyścigu szczurów. Ale teraz, gdy nikt nie stał na
drodze, byłem bezkonkurencyjny. Zabawne, że plany się spełniają, choć cały świat, jaki znałem,
leżał w gruzach. Słuchaczy nie miałem wielu, ale nadawałem dla tej garstki, która, jak mi się wy-
dawało, ocalała.

Niestety, wybuch wojny atomowej i radioaktywny pył nie ostudziły zapału do dalszej
walki. Może chwilowo. Potem zaczęły się sojusze, ataki na wroga, czyli coś, co pamiętamy
sprzed tej katastrofy.

Zamknięci w podziemnym bunkrze, odizolowani od świata, podzieliliśmy się na dwa ob-
ozy. Stworzyliśmy sobie takie państwo w państwie. Na początku spędzaliśmy ze sobą dużo cza-
su, wiele rozmawialiśmy, polubiliśmy się, opowiedzieliśmy sobie nawzajem historie swojego
życia. By zabić nudę, graliśmy w przeróżne gry, ale po jakimś czasie znienawidziliśmy się i za-
częliśmy walkę. Z początku staraliśmy się unikać siebie coraz bardziej, ale gdy okazało się to

niemożliwe, część z nas postanowiła zrobić sobie trochę więcej miejsca. Może dlatego, że byliśmy stłoczeni na niewielkiej powierzchni? Nie znaleźliśmy innego życia. Życia w pokoju i wolności. I ciągle chcieliśmy sobie udowodnić, kto jest górą, kto rządzi. Pewne jest tylko to, że zapomnieliśmy o Bogu, więc On zapomniał o nas.

Drodzy słuchacze, czy jest ktoś oprócz mnie jeszcze na powierzchni? Czy nie przeraża was to, co widzicie? Jakie macie sposoby na przetrwanie? Czy w tym wyjałowionym świecie ktoś mnie jeszcze słyszy? Tym wszystkim, którym udało się przetrwać, dedykuję piosenkę – Myślę, że nie stało się nic.

Różne rzeczy mogą trzymać człowieka przy życiu. Czasem dla innych nieistotne albo wręcz nonsensowne. Moją egzystencję wyznaczał rytm, który sobie sam ustaliłem. Nie mogłem oddawać się marazmowi albo beztrosce. Musiałem jakoś zdobywać pożywienie, a to było nie lada wyzwanie. Czasem miałem wrażenie, że w tym świecie wszystko, co można było ukraść, zostało już skradzione. I że to jakiś okrutny żart ze strony tego z Góry, że pozwolił nam przetrwać apokalipsę, o którą sami się prosiliśmy. Byśmy potem musieli zakończyć żywot, umierając z głodu.

Skąd wiem, jak wyglądało życie w bunkrach? Byłem tam od początku, aż do momentu pierwszego zabójstwa. Skończyły się zapasy jedzenia i ludzie zaczęli patrzeć na siebie głodnym wzrokiem. Jak na mięso. Bałem się, że będę następny w kolejce. Nie chciałem takiego życia. Nie widziałem się w roli kata, a nikt przecież nie chce być ofiarą. Dlatego uciekłem na powierzchnię. Oni ciągle boją się tutaj wyjść. Myślą, że niemożliwe jest, by ktoś mógł przeżyć w tym świecie. Ale tam też czekałaby mnie śmierć. Może bardziej oddalona w czasie, a może nawet dzisiaj? Ciągle w pewnym sensie liczę na cud. Zacząłem rozmawiać z Bogiem. To chyba nie jest szaleństwo? Po prostu brakuje mi kogoś, z kim mógłbym podzielić się tymi przeżyciami. Nie odpowiada, ale myślę, że jest dobrym słuchaczem. Najlepszym. Kiedyś może da mi znak, jak pokierować resztą życia, które jeszcze się tli. Chociaż nieuchronnie będzie gasnąć.

Witajcie, mamy piękny sierpniowy poranek. To najlepsza część dnia, kiedy to miasto budzi się do życia, a w powietrzu nie unosi się jeszcze radioaktywny pył.

Ciągle jeszcze mam nadzieję, że ktoś z was mnie słyszy. Nie mogę być jedynym człowiekiem, który próbuje żyć na zewnątrz. Czy też obiecujecie sobie, że zmienicie całe swoje życie? Jeśli tylko uda się przetrwać. Odezwijcie się. Jestem pewny, że mnie słyszycie. Nie mówiłbym

przecież sam do siebie. Liczę na was. A teraz posłuchajcie kawalka My apocalipse zespołu Escape The Fate.

Chyba jednak ktoś mnie usłyszał. Za chwilę będę miał odwiedzin. Słyszę go wyraźnie. Już nadchodzi, a jego kroki rozlegają się echem na klatce schodowej. Czekałem na tę chwilę parę tygodni, ale teraz nie jestem pewien, czy mam się cieszyć, czy zacząć obawiać. Mam tylko nadzieję, że to nie jeden z tych degeneratów z bunkra.

Drzwi otwały się z impetem. Gdy zobaczyłem go w progu, wiedziałem już, że spełniły się moje najgorsze przeczucia. Nieznajomy wyszczerzył się w obląkańczym uśmiechu.



– Witaj, króliczku – rzucił cicho. Z tonu jego głosu wywnioskować można było, że nie zachował nawet resztek zdrowego rozsądku. – Widzę, że nieźle urządziłeś się w swojej norce.

– Kim jesteś? – zapytałem, grając tym samym na zwłokę i rozglądając się za czymś, czego mógłbym użyć do obrony.

– Naprawdę mnie nie pamiętasz? Byliśmy przecież jednymi z pierwszych, którzy

weszli do schronu.

Kiedy spojrzałem w jego pooraną bliznami gębę, coś zaczęło mi świtać. Usiłowałem sobie przypomnieć jakieś szczegóły naszej znajomości. Ale nic, kompletna pustka. Jakby ktoś zresetował mi pamięć w jednej chwili. Czułem się jak osaczone zwierzę, ale nie chciałem dać po sobie poznać, że jestem zdenerwowany.

– Co z innymi? Czy ktoś jeszcze przetrwał? – pytałem, ale on tylko się uśmiechał. Zbliżał się do mnie, coraz częściej oblizując językiem spierzchnięte wargi. Patrzył na mnie jak głodne

zwierzę na ofiarę. Wiedziałem już, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Chwyliłem trzymany za plecami kij, czekając, aż zaatakuję.

Witam wszystkich popaprańców, którzy mają jeszcze odwagę żyć w tym chorym, popieprzonym świecie. W naszej rozgłośni wielkie zmiany, dotychczasowy prowadzący udał się na zasłużony urlop. Od dzisiaj zastąpię go ja. Jesteście głodni mocnych wrażeń i zajebistej muzy? Zapraszam do mnie. Mam dobrze wyposażoną lodówkę, a nawet coś na ząb. Przybywajcie i niech muzyka gra zawsze w waszych duszach.

*A teraz mam dla was coś naprawdę ekstra. Na dobry początek naszej znajomości: utwór Marilyną Mansona – Eat me, drink me.
I pamiętajcie, to tylko gra.*

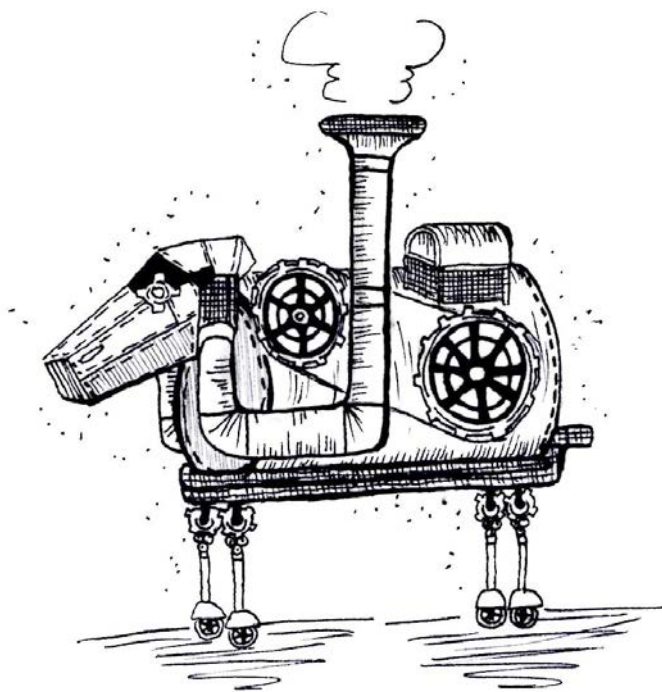
*In the wasteland
On the way to the Red Queen...
It's no wonder our stage clothes
Have dreams to be famous.
The trees in the courtyard
Are painted in blood, so I've heard
She hangs the headless
Upside down to drain.*

*Eat me, drink me.
This is only a game
This is only a game...*

Paulina Kuchta – publikowała na Szortalu, Niedobrych Literkach, Horror Online i w czasopiśmie: Grabarz Polski oraz Horror Masakra, a także antologiach: Zombiefilia i Księga wampirów.

Wieczki

*Aleksander Daukaszewicz,
ilustrowała Luiza Pożycka*



Ta historia wydarzyła się dawno temu. W czasach, gdy na świecie królowała nauka, a wynalazcy prześcigali się w tworzeniu nowych cudów, ku własnej chwale i uciechu gówniarzy... znaczy gawiedzi. W owym czasie na krakowskich błoniach urządzone były najważniejsze w całym kraju zawody – Królewski Turniej Urządzeń Mechanicznych. Każdego roku można tam było obejrzeć dziwa, stworzone przez najznamienitszych inżynierów, którzy zjeżdżali z daleka, by zwrócić na siebie uwagę

władcy i wzbudzić zazdrość konkurentów – to znaczy takich wrogów, których się nie zabija. Jednak przez wiele lat większość z nich mogła jedynie przeklinać pod wąsem i nerwowo poprawiać cylindry na widok prac największego z nich wszystkich – profesora Smoczyńskiego.

Smoczyński w całym kraju uchodził za geniusza, rok w rok tworzył maszyny tak imponujące, że konkurenci czuli się przy nim jak uczniowie, prezentujący swoje projekty naukowe nauczycielowi techniki. Niektórzy twierdzili wprawdzie, że jego dzieła są głównie duże, niezbyt odkrywcze i mało praktyczne, lecz większość – w tym sam profesor – uważała, że źródłem tych zarzutów była zwykła zazdrość. Do osiągnięć Smoczyńskiego należało skonstruowanie ogromnego sterowca – nie wiem, co to, nie pytajcie – wielkiego statku parowego, tylko że na kołach, oraz czegoś, co nazwalibyśmy pewnie czołgiem, ale wtedy mówiono na to chyba samobieżna armata parowa. Tak czy siak, był wielkim wynalazcą i basta. Zrozumiano?

Pewnego lata zdarzyło się jednak, że w turnieju chciał wziąć udział młody czeladnik nazwiskiem Śrubka. Śrubka to był zdolniacha, co się zowie, inżynier samouk, który szybko znalazł sobie mistrza w osobie profesora Bazyliskiego z Warszawy. Bazyliski i Smoczyński nie znosili się z całego serca, bo kiedyś, na wykładach w Królewskiej Akademii Inżynieryjnej, temu pierwszemu udało się udowodnić, że ten drugi się myli – albo na odwrót. W każdym razie jeden drugiemu wlaź na ogon. Nie. Nie mieli ogonów. Mniejsza o detale, nie lubiły się chłopcy. Bazyliski był już jednak stary i zgorzkniały, więc i zapał do tworzenia wynalazków, które utarłyby nosa rywalowi, w nim przygasł. Całe nadzieje pokładał zatem w uczniu, wyjątkowo biegłym w dziedzinie miniaturyzacji – znaczy się, brał schematy istniejących maszyn i robił podobne, tylko mniejsze.

– Posłuchaj, Śrubka – powiedział Bazyliski do młodego, gdy ten wybierał się do Krakowa. – Ta twoja maszyna jest niczego sobie, sam bym już pewnie lepszej nie zrobił, ale Smoczyński tylko udaje dżentelmena – takiego dobrze ułożonego gościa – i jak zobaczy, żeś od niego lepszy, to ci ją jakoś rozwali.

– Nie martw się, mistrzu – odparł tamten. – Przemyślałem sprawę i sądzę, że jestem na to przygotowany.

Ucieszył się mistrz. Uściskał ucznia i wysłał go w drogę do Krakowa. Nie będę wam opisywać jego podróży, bo stronic szkoda... znaczy się, była nudna i niczego by nie wniosła do opowieści. Ważne, że chłopak na miejsce dotarł bezpiecznie i z maszynką na wozie. W dniu pokazu zebrali się na błoniach profesorowie, inżynierowie, technicy, mechanicy, botanicy, górnicy, rolnicy i kto tam jeszcze mógł przyjść. Przybył też Król, ze świtą i jury, któremu zresztą przewodniczył. No i zaczęło się! Wynalazcy jeden przez drugiego prezentowali oceniającym swoje wynalazki, a wszystkie dopracowane, że hej!, aż przyszła kolej na Smoczyńskiego.

Ten zaś tego roku przeszedł samego siebie. Gdy odsłonił swe dzieło, okazało się, że to gigantyczna, parowa gadzina, z wielką paszczą i jak dom wysoka – słowem: smok. Król zakłaskał, uszczęśliwiony, bo taki smok budziłby uzasadniony niepokój sąsiednich władców... i już miał wręczyć puchar Smoczyńskiemu, gdy nagle pojawił się Śrubka.

– Nie widziałeś, panie Królu, jeszcze jednego wynalazku – zaczął bez ceregieli.

– Naprawdę? – zdziwił się monarcha, który miał swoje wady, ale podczas zawodów i konkursów starał się być fair. – Czyjego?

– Mojego – odparł spokojnie młody.

– To chętnie zobaczę, ale czy myślisz, że może być lepszy od tego parowego smoka?

– Jestem o tym przekonany – zapewnił Śrubka. – Co więcej, sądzę, że jest w stanie pokonać go w walce.

– No to dawaj go tu! – aż zatarł ręce Król, powszechnie znany miłośnik wszelkiego rodzaju walk. Zwłaszcza tych, w których sam nie brał udziału.

Śrubka zniknął w tłumie, by po chwili pojawić się z niepozornym zawiniątkiem. Położył je przed Królem i dostojnym jury, a następnie ostrożnie rozwinął. W środku znajdowała się mała, parowa owieczka. Na jej widok zaśmiali się wszyscy, a najbardziej rechotał Smoczyński, któremu aż urwał się guzik od kamizelki napiętej na wydatnym brzuszysku – bo to był wielki chłop, ten cały Smoczyński: raz – że wysoki, dwa – że brzuchaty. Śrubka jednak wcale się nie śmiał, tylko sposobił owieczkę do walki.

– Zamierzasz ciągnąć tę farsę, chłopcze? – zapytał profesor, próbując się uspokoić.

– Owszem – nie dał się zbić z tropu Śrubka.

– Mój smok zdepcze to maleństwo, a to byłoby przykre... – ciągnął tamten poważniejszym tonem.

– Najwyżej – odpowiedział młody czeladnik, elokwentnie jak zawsze.

– Sam tego chciałeś! – zagrzmiął mistrz i ruszył dosiąść smoka.

Wszyscy zbiegli się, nie chcąc przegapić widowiska. Smok Smoczyńskiego zaryczał i para poszła mu z pyska, gdy ruszał na małą owieczkę Śrubki. A ta, jak ją tylko Śrubka w ruch wprowadził, zagwizdała przeciągle i potoczyła się na małych kółeczkach przez pole. Smok próbował ją zdeptać, ale ona mała była, więc nie mógł jej trafić. Nie minęło kilka chwil, jak przez całe błonia niósł się rechot – ale tym razem śmiano się ze Smoczyńskiego. Rozsierdziło to profesora, który tak smokiem pokierował – na grzbiecie siedział i wajchami kręcił, podczas gdy owieczka

uciekała samopas – że złapał maszynę konkurenta w pysk. Zaciśnął na niej straszliwe, stalowe zębiska, które przegryzły mały, ale bardzo wydajny kociołek parowy. Owieczka jak nie pierdzielę! Smokowi łeb rozsadziła, a Smoczyński z grzbietu poleciał na ziemię i obił sobie dupę. Zaskoczony tym obrotem sytuacji Król wezwał do siebie obu wynalazców.

– Mamy ewidentny remis – stwierdził.

– Nie sędzę – odpowiedział Śrubka.

– Jak to? – zdziwił się Król. – Przecież obie maszyny zostały zniszczone!

– To prawda – zgodził się młody wynalazca. – Tyle że moja kosztowała nie więcej niż oko tamtej.

Zamyślił się Król nad tymi rewelacjami. Po czym podjął decyzję, że rozsądniej będzie wyposażyc armię w owieczki. Produkowano je potem tysiącami – ponoć znakomicie nadawały się do niszczenia samobieżnych armat parowych, którym wjeżdżały pod koła – a Śrubka został najbogatszym wynalazcą w królestwie. I to już koniec historii.

Przy płonąącym w ruinach starej kamienicy ognisku zapadło milczenie. Wszyscy zgromadzeni przy migoczącym świetle wpatrywali się w twarz starego człowieka, starając się cokolwiek z niej wyczytać. Zastanawiali się, jak to, co usłyszeli, ma im pomóc. Pod wzgórzem nieopodal zalał się bowiem ogromnych rozmiarów potwór, którego nikt żywy z bliska nie widział. Przed wojną był prawdopodobnie jaszczurką zwinką albo legwanem, trzymanym przez kogoś w terrarium. Te czasy należały jednak do historii, o czym dobitnie świadczyły ślady oraz skala dokonywanych zniszczeń. W myślach nazywali go już smokiem, liczyli więc na jakąś konkretną wskazówkę. Bajarz nie zamierzał jednak kontynuować, tylko z zadowoleniem pykał fajkę, patrząc gdzieś przed siebie.

– I to ma nam niby pomóc? Ta twoja historia? – przerwał milczenie Majcher, największy z wojowników klanu.

– Owszem. Jest całkiem zgrabna i do tego pouczająca – odpowiedział starzec, dłubiąc z godnością w nosie.

– Jest chuja warta! Nie mamy żadnych mechanicznych owiec ani nawet części, z których można by taką zbudować. Zresztą, babka opowiadała mi kiedyś inną wersję! Nie było w niej żadnych profesorów, inżynierów i wynalazków, była natomiast jebutna gadzina – podobna nieco do bydlaka, co go teraz mamy – która załęgła się w jaskini, oraz zdechła owieczka, którą jakiś cwaniak napchał siarką. Gad zżarł owcę i pił wodę z rzeki tak długo, aż go rozpierdoliło. Wydaje ci się to, kurwa ,możliwe?

– Prawda, istnieje kilka wersji tej historii. W każdej kryją się pożyteczne wskazówki – odparł bajarz – nie należy ich jednak traktować zbyt dosłownie. To byłoby durne, nawet jak na ciebie.

– Do dupy z takimi opowieściami!

– Skoro koniecznie musisz sobie coś do niej wpychać... – zripostował, wyraźnie rozdrażniony. – Jeśli jednak chcecie coś zrobić z potworem, to lepiej mnie posłuchajcie, bęcwały. Mateuszu?

– Eeee? – odparł przygłup opiekujący się trzodą.

– Ty jesteś tu jedyny bystry. Przyrowadź mi zaraz owieczkę. Najlepiej z dwiema głowami, bo takie nigdy nie mogą się zdecydować, w którą stronę uciekać. Siarki może nie mamy, a gadzina i tak jest zbyt cwana, by pokusić się na padlinę, ale zostało mi jeszcze trochę dobrego, przedwojennego C4. Sprawimy bestii psikusa...



Dwugłowa owieczka stała przed wejściem do jaskini, obwieszona materiałami wybuchowymi. Czowała, że nie wszystko jest w porządku. Nie była przecież głupia jak owca – była głupia jak dwie – i walające się dookoła kości wzbudzały w niej uzasadniony niepokój. Niestety, zgodnie z przewidywaniami starca, na widok wyłaniającego się z pieczary gigantycznego gadziego łba, spróbowała podjąć brawurową ucieczkę w dwóch różnych kierunkach jednocześnie. Potwór przyglądał jej się przez chwilę nieruchomym okiem, po czym zwinnym ruchem chwycił zwierzątko w paszczę. W tym samym momencie ukryty za resztką ceglanego muru starzec naciśnął przycisk detonatora.

Kurz jeszcze nie opadł, a resztki gadziej głowy oraz strzępy owieczki nie zdążyły spłynąć z okolicznych ścian i drzew, gdy na polanie pojawili się pierwsi wojownicy klanu. Wtem zawiął wiatr, rozpraszając dym, a całą dzielnicę wypełnił wściekły ryk. Mężni wojownicy zbledli ze strachu. Smok także miał dwie głowy!

– Do dupy z takimi opowieściami! – krzyczał Majcher, starając się prześcignąć starca, który uciekał na złamanie karku.

– Dlaczego Śrubka nie miał dwóch owieczek? Następnym razem powinien mieć dwie! – mamrotał bazarz, potykając się o własne nogi. Niestety. Następnym razem wydawał się coraz mniej prawdopodobny...

Aleksander Daukszewicz – członek grupy kreatywnej Lans Macabre zajmującej się tworzeniem i propagowaniem wszelkich form rozrywek stawiających na interakcję w grupie, takich jak gry planszowe, fabularne oraz teatr improwizowany. Przez lata zajmował się dziennikarstwem. Był redaktorem portali tvn24.pl i gazeta.pl. Pisuje – względnie regularnie – do działu publicystycznego Nowej Fantastyki. Prywatnie bibliofil, którego z trudem udaje się oderwać od lektury. Nie traci nadziei, że uda mu się popęlić własną książkę.

Panna Anna i chłopiec z drewna

*Karolina Cisowska
ilustrowała Karolina Cisowska*



*Krakowianka jedna
Miała chłopca z drewna.
znana piosenka*

*To – jej kochan z drewna,
Zły, bezmyślny, martwy głuch!
Moc zaklęcia śpiewna
Wprawia go w istnienia ruch.
„Panna Anna”
Bolesław Leśmian*

Wolne Miasto Kraków

3 maja

Najdroższy przyjacielu,

Nawet nie wiesz, jak bardzo ucieszyła mnie twoja wiadomość. Po tylu namowach, po tylu latach przyjaźni, po takiej ilości wymienionych listów, w końcu zgodziłeś się na spotkanie. Od chwili otrzymania twojej wiadomości nieustannie zajmuję się gromadzeniem funduszy na podróż i starannym planowaniem bagażu. Potrzebuję także załatwić pewne formalności umożliwiające mi podróż, z powodu specyficznej, jak wiesz, sytuacji w moim kraju. Nie rozpiszę się na temat wierszy, które mi wysłałeś, bo już niebawem będziemy mogli pomówić o nich w cztery oczy.

Twoja oddana i kochająca przyjaciółka

Anna

Alabama

28 kwietnia

Z największą przykrością zmuszony jestem poinformować Panią o śmierci mojego drogiego wuja, Joego. Ze względu na waszą długoletnią przyjaźń chciałbym zaprosić Panią na stypę, która odbędzie się 5 maja. Załączam informację, jak dotrzeć do nas sterowcem, a także fundusze, które przeznaczył na taki wypadek mój wuj. Mam nadzieję, że uda się Pani dotrzeć.

Najlepsze życzenia,

Ezra

Ezra nie mógł wiedzieć, że jego wujek zabezpieczył się nie tylko na wypadek, gdyby po jego śmierci Anna nie miała środków, by przylecieć. Należał do wyjątkowo paranoicznego typu osób i wielokrotnie teoretyzował na temat swojej możliwej śmierci. Nie ufał właściwie nikomu ze swojego otoczenia i – z tego, co wiedziała Anna – nie miał prócz niej ani jednego przyjaciela, czy choćby znajomego. Unikał wszelkich możliwych kontaktów, a swoimi jedynymi towarzyszami uczynił książki i podstarzałą służbę, niemal już głuchą i ślepą, ale jeszcze będącą w stanie wykonywać obowiązki i „nie zostawiać włosów w zupie”, za co Joe zwolnił był już wiele młodych kucharek, o czym chętnie opowiadał Annie. Był w stanie wskazać – i wskazał – jej kilkadziesiąt osób, które powinny być podejrzane w razie jego nagłej śmierci. Śmierć była nagła.

– Panienko.

Odwróciła się od okna, za którym powoli przesunął się ocean, i podniosła wzrok na pajaca. Wyglądał trochę zbyt elegancko jak na służącego zwykłej kobiety ze średniej arystokracji kraju, którego nie było na mapie. Stał też z tacą wyciągniętą zbyt profesjonalnie jak na człowieka. Sięgnęła po herbatę. Na dłoni miała identyczną pieczęć, jak u niego, świeżo wymalowaną, symbol paktu pomiędzy nią a lalkarzem. Symbol jego, pajaca, służby i jej spląty. Byli sami w pomieszczeniu, ale – nawet gdyby nie byli sami – Anna nie знаła żadnego z pozostałych towarzyszy podróży i nie miała ochoty nikogo poznawać. Gdy się nie znało nikogo, na ostatnią rozmowę pajac był dobry, jak każdy inny.

– Usiadłbyś ze mną? – spytała. Nieco drżały jej ręce. Niebawem mieli dolecieć do Alabamy. Pajac usiadł obok ostrożnie, ale i tak czuła przez jego strój drewnianą powłokę ciała.

– Trochę się boję – wyznała. – Cieszę się, że zobaczę jego dom i może wreszcie go zrozumieć. Cieszę się, że dopadniemy odpowiedzialnego za to wszystko. A mimo wszystko odrobinę się boję.

Sięgnęła po drewnianą dłoń, tę, na której miał wyrzeźbioną pieczęć. Palce były lekkie, ale strasznie twarde. Lalkarz zapewnił, że pajac jest w stanie zabić każdego, nawet uzbrojonego

człowieka. Nawet jedną ręką. Zapewniał też, że błaganie pajaca o litość, gdy już nadejdzie dzień spłaty długu, nie będzie miało sensu, bo w drewnie nie ma duszy. Żaden ze stojących tam manekinów i żadna lalka na te słowa ani nie drgnęły, więc Anna domyślała się, że mężczyzna miał rację.

– Czemu nie odetniesz sobie ręki i nie uciekniesz z niewoli? Z dała ode mnie i lalkarza mógłbyś robić, cokolwiek byś zechciał.

– Co miałbym robić? – szklane oczy pod binoklami zwróciły się na nią. Drgnęła, wrażenie było takie, jakby spojrzęła na nią porcelanowa lalka.

– Nie wiem, co lubią robić zabawki?

– Służyć – powiedział. – Nie podejrzewam, by miały inny cel.

Zrobiło się jej smutno. Zacisnęła obie dłonie na drewnianych palcach. Uśmiechnęła się do niego. Nie odpowiedział uśmiechem.

Zaczynała wszystko rozumieć. Sześć lat korespondowała z człowiekiem i tylko na podstawie słów, zdań, kształtu liter mogła wnioskować, z kim ma do czynienia. Wielokrotnie wyobrażała sobie, jak może wyglądać jej przyjaciel, jak się zachowywać, gdzie mieszkać, z czego żyć. Teraz wszystko zaczynała rozumieć. Będąc skromnym, nigdy nie dał jej do zrozumienia, jak jest bogaty, ale, choć nie miało to dla niej większego znaczenia, domyślała się tego. Domyślała się też, jak bardzo musiał być osamotniony, mimo że jego stypa ściągnęła takie niewiarygodne tłumy. Jego jedyna prawdziwa przyjaźń była możliwa tylko z osobą, która nie chciała od niego niczego, bo niczego nie mogłaby chcieć. Nawet ich przyjaźń trzymał w sekrecie i została wykryta przez spadkobierców dopiero po spenetroowaniu rezydencji. Na szczęście zawsze ostrzegał ją, że kiedyś tak się pewnie stanie, o ile umrze pierwszy, więc jej listy zawsze pozostawały ostrożne.

Wreszcie jego portret tak wiele tłumaczył: prosty surdut, skromny cylinder, laska, podtrzymująca jedyną nogę, jaka mu została, podłużna twarz z surowymi oczami, zdecydowane brwi i grymas warg. Pisał, że to dla niej kazał namalować portret, na wypadek swojej nagłej śmierci.

Jednakże w ostatnim liście wyraził nadzieję, że piątego maja obejrzą go razem, gdy Anna przyleci.

– Już wie panienka, kto to jest? – zapytał pajac, gdy byli sam na sam w pokoju. Czesał jej włosy. Chociaż służył jej już od kilku dni, odkąd go dostała, pierwszy raz udało mu się to zrobić, nie zadając jej przy tym bólu.

– Nie wiem – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – To ty powinieneś wiedzieć. Masz chyba jakieś specjalne metody, które by ci ułatwiły rozpoznanie swojego celu?

– Żadnej, która mogłaby wykluczyć resztę podejrzanych. Co zrobimy w takim razie?

– Nasz pakt przestanie działać, a ty masz zabrać moją duszę po tym, jak zabijemy odpowiednią osobę, prawda?

– Tak, po spełnieniu życzenia twoja pieczęć zgaśnie, a moja odbierze ci duszę, żebym mógł z nią wrócić do lalkarza.

– Więc to chyba oczywiste, co zrobimy – uniosła włosy i odsłoniła sznurowadła gorsetu, by go mógł zawiązać.

– Co takiego?

– Będziemy wykluczać, aż dostaniemy odpowiednią osobę.



– Panno Anno – odezwał się do niej mężczyzna w czarnym surducie, kładąc jej dłoń w zgięciu łokcia. Poznała w nim nowego gospodarza, Ezrę. – To dla pani – podał jej złoty wisior na łańcuszku. Gdy go otworzyła, zaczął odgrywać rotę. – Joe zapisał to pani.

– Dziękuję – powiedziała niemal bez wzruszenia.

Uklonił się i odszedł.

Mimo że o Amerykanach mówiło się, że nie należą do ciekawskich osób, zarówno Anna, jak i jej służący czuli na sobie spojrzenia wszystkich obecnych na stypie i byli znacznie gorętszym tematem niż nawet przyczyna śmierci Joego, który cieszył się dobrym zdrowiem i dbał o swoje bezpieczeństwo aż do dnia, w którym „postanowił skończyć ze sobą”. Dziwnym było jej niezrozumiałe pochodzenie, dziwnym słowiański akcent i skromność prezencji. Dziwnym był jej sługa, sztywny jak z drewna, milczący, pozbawiony mimiki. Kim była dla Joego ta kobieta? Co tu robiła? Czy liczyła na spadek?

– Byłam pewna, że spędzę ten dzień z nim, nie z bydłem na jego stypie – prychnęła Anna po polsku do pajaca, gdy towarzystwo odeszło już od stołów. – Zagryzła wargi i schyliła głowę. – W dodatku któreś z nich jest odpowiedzialne za jego śmierć.

– Już niebawem osiągnie panienka swój cel, czy to panienki nie uszczęśliwi? – odparł, jakby dokładnie wiedział, co należy powiedzieć, przyglądając się jej bacznie spod drucianych binokli.

– Nie – pokręciła głową. – To mi nie zwróci mojego przyjaciela. Nie da mi szczęścia ani przyjemności, nie będzie mi od tego dobrze. Po prostu przestanę istnieć.

– Dlaczego nie zażyczyła sobie panienka przywrócenia przyjaciela? – pochylił głowę, jakby naprawdę się zastanawiał, jakby próbował przebić wzrokiem jakąś woalkę niezrozumienia, która ich dzieliła.

– To niemożliwe. On nie był drewnianą lalką, którą można po prostu ożywić. A już nie umiem dalej istnieć sama, bez choćby jednej rozumiejącej duszy. Mojego państwa nie ma. Moi przyjaciele umarli, walcząc o kraj, który już nie istnieje, nim zdążyłam ich poznać. Nie mam już

nikogo i niczego. Dlatego poświęcę się w imię ostatniej posługi dla niego. Bo chciałby, żeby go pomścić.

Pajac nie odpowiedział. Mógł nie rozumieć.

Poszedł sam. Anna wyszła przed dom i cieszyła się widokiem księżyca, siedząc na ławce. Joe musiał siadywać tu często, była pewna, że w tym miejscu czytał jej listy, przy szumie fontanny. Płakała, nie mogła już powstrzymać łez. W każdej chwili mógł wrócić pajac z dowodem dokonanej zemsty. Pakt miał być dopełniony, a ona miała zostać pozbawiona życia. W pewnym momencie, gdy przez okno wypadła głowa, rozbijając się o bruk niemal u stóp Anny jak melon, pomyślała, że to już koniec, ale za nią wypadły kolejne. Męskie, kobiece, wszystkie miały zaskoczone wyrazy twarzy. Było ich już kilkadziesiąt, kiedy w końcu upadł między nimi pajac.

– Kto to był? – zapytała, z trudem przelękając ślinę, zagryzła spierzchnięte wargi. – Kto był tym, przy kim mój rozkaz zabicia winnego śmierci Joego został spełniony? Za kogo oddam duszę?

– Nie wiem – powiedział.

– Nie wiesz...?

– Zabiłem wszystkich.

– Ale twoja pieczęć powinna ci była powiedzieć, kto był winny!



Wyciągnął rękę zakończoną kikutem.

– Odjąłem pieczęć, ale nie martw się, panienko, zakładam, że winny był wśród nich.

– Odjąłeś pieczęć? Ale jak teraz zabierzesz moją duszę?

– Nie zabiorę jej – upadł na kolana w ciemnoczerwonej kałuży pełnej włosów. Od stóp do głów cały mokry był od krwi. – Bez duszy nie byłabyś dobrą panią.

Anna podeszła do niego, by widzieć jego twarz, ale drewno nie wyrażało mimiki i niczego nie mogła z niej odczytać. W dworze rozległy się pierwsze wrzaski przygluchej, starej służby.

– Musimy uciekać. Przed nimi i przed wszystkimi. Aż do czasu, gdy dopadnie nas lal-
karz – powiedział i wstał. Wyciągnął rękę w stronę Anny.

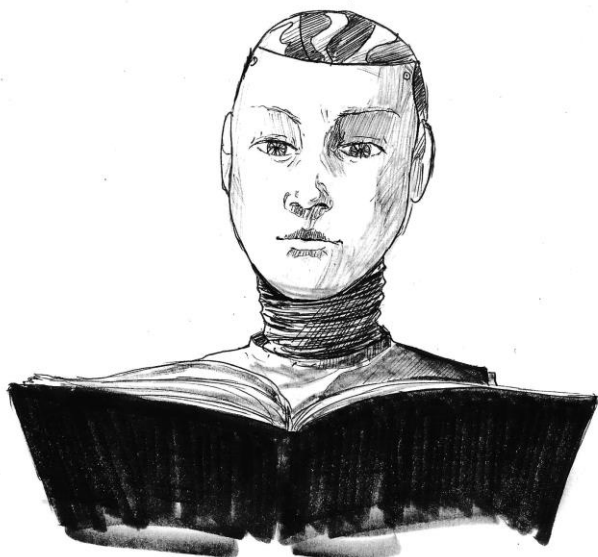
– Poczekaj! Nic nie rozumiem, jaki masz w tym cel?

– Cel wszystkich zabawek – odpowiedział. – Moim celem jest służyć ci.

Karolina „Nem” Cisowska – kilka publikacji opowiadań w magazynach internetowych i blog „Nemtopia”
<http://karolina-cisowska.blogspot.com>.

Krakowianka jedna miała chłopca z drewna zainspirowała zakład z Grzegorzem Piórkowskim, którego efektem jest „Panna Anna i chłopiec z drewna”.

Filip Laskowski
ilustrowała Ewa Skuza



Z nieskrywanym wzruszeniem otwieram pamiętnik Eberharda Weynarskiego, krakowskiego inżyniera i wynalazcy, po czym wygładzam dłonią ostatnią zapisaną stronę. Nie potrafię odczytać pojedynczych słów, lecz dzięki kopii, wykonanej na taśmie perforowanej, z łatwością odtwarzam ich treść.

26 sierpnia roku 1843. Dziś rano, o godzinie dziewiętej trzydziści

siedem, zmarł na pylicę mój jedyny syn, Jakub. Przeżył lat siedem i pół, Panie, świeć nad jego duszą.

To ostatni wpis pamiętnika. Tego dnia Eberhard Weynarski zakończył pisanie wspomnień i począł z niepokojem patrzeć na czarne, gęste od dymu niebo.

Nie potrafię wyobrazić sobie tej sceny, więc uruchamiam zapis z kolejnej taśmy. Teraz widzę wyraźnie, jak Eberhard Weynarski odkłada pióro i zaczyna modlić się żarliwie.

Za chwilę wyjdzie z pracowni i uda się do pokoju Jakuba, by wykonać gipsowy odlew twarzy swojego dziecka. Po pogrzebie syna zwróci się z prośbą do pana Weisa, właściciela ćmielewskiej fabryki ceramiki, o wykonanie porcelanowej maski pośmiertnej. W ciągu najbliższych czterdziestu lat będzie o to prosił jeszcze wielokrotnie, aż do dnia, w którym zrozumie, że nie można bezkarnie zaprzeczać prawom natury.

Zgrzyt stalowej igły czytelnika uświadamia mi, że za chwilę skończy się nagranie. Ostatni obraz, zapisany w pamięci, to widok Eberharda Weynarskiego, patrzącego na rząd porcelanowych masek, wiszących na ścianie jego pracowni. Teraz już wiem, dlaczego wszystkie stworzone przez niego androidy miały te same, dziecięce twarze.

Weynarscy przybyli do Polski za panowania króla Zygmunta Starego, by, wraz z innymi architektami z Włoch i Niemiec, zająć się przebudową zamku wawelskiego. Dzięki wrodzonym zdolnościom, rozległym kontaktom w całej Europie i wiedzy, utrzymywanej w rodzie od pokoleń, zasłynęli jako twórcy doskonałych zegarów, kompasów i przyrządów nawigacyjnych.

Największą sławę przyniosły im jednak pokazy na dworze ostatniego z Jagiellonów, gdzie, ku uciesze króla i najznamienitszych dworzan, prezentowali mechaniczne kukły, zdolne przejść kilka kroków i wykonać niektóre proste czynności. Olbrzymia wiedza techniczna, w połączeniu z umiejętnością tworzenia skomplikowanych projektów, sprawiła, że Weynarscy w krótkim czasie stali się jednym z najbogatszych i najznakomitszych rodów w Krakowie.

W roku 1567 rozpoczęli budowę olbrzymiej, wielopiętrowej kamienicy, zaopatrzonej w układ podziemnych piwnic, o którym miejscowi szeptali, że równy jest rozmiarem całej wysokości budynku. Odtąd każde kolejne pokolenie rodu Weynarskich trudziło się w podziemnych pracowniach, by spełnić największe rodzinne marzenie i stworzyć mechanicznego androida.

W obszernej domowej bibliotece leżą świadectwa ich wyteżonej pracy. Opasłe księgi, poplamione atramentem dokumenty oraz rozległa korespondencja, jaką prowadzili z najtęższymi umysłami swoich czasów. Pośród wyblakłych kartek można znaleźć listy sygnowane nazwiskami Jamesa Watta, Josepha Jacquarda i Charlesa Babbage'a, wraz z dołączonymi do nich projektami i opisami wynalazków. Lubię przeglądać bibliotekę, czerpię z niej wiedzę o latach minionych i układam w mej głowie obraz Eberharda Weynarskiego.

Technologia pozwalająca sprząc układ stalowych linek i kółek zębatych z mechanizmami wahadłowymi, zamkniętymi w mechanicznej kukle, znana była Weynarskim już pod koniec siedemnastego wieku. Poziom ówczesnej techniki nie pozwalał jeszcze na realizację ich marzeń, dlatego w swej pracy skupili się na doskonaleniu mechaniki tworzonych androidów.

Już za czasów ojca Eberharda na parterze domu wyburzono wszystkie ściany i stworzono bibliotekę taśm perforowanych, połączonych z układem maszyn różnicowych. Gdy nastał rok 1843, Eberhard Weynarski dysponował działającym, mechanicznym androidem i układem skomplikowanych maszyn liczących, napędzanych silnikami parowymi. Był gotowy do realizacji marzenia, które od przeszło pół tysiąca lat czekało na spełnienie.

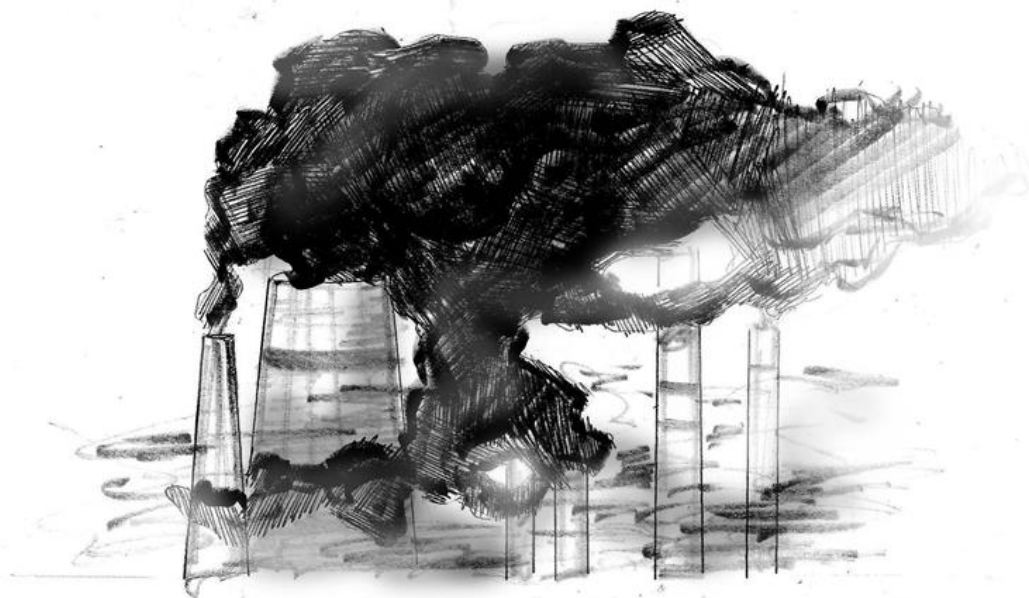
W swym androidzie zastosował system zapisu na taśmach perforowanych, pozwalający na magazynowanie tysięcy informacji. Weynarski wdrożył w życie dość prostą zasadę, zgodnie z

którą działanie androida poza murami domu było ściśle zależne od ilości aktualnie posiadanych taśm, pozwalających wykonać kilkanaście różnych, zapisanych wcześniej czynności. Pełnię mocy obliczeniowej android uzyskiwał w domu, gdzie, sprzęgnięty z systemem wielu maszyn różnicowych i magazynem wszystkich taśm perforowanych, potrafił wykonywać kilka tysięcy operacji matematycznych na sekundę.

Gdy w 1857 roku, na spotkaniu Krakowskiego Towarzystwa Technicznego, Eberhard Weynarski po raz pierwszy zaprezentował androida, wywołał olbrzymie poruszenie wśród zgromadzonych gości. Ludzie z ciekawością oglądali skomplikowany mechanizm, pytali o szczegóły konstrukcji i głośno komentowali jego smukły, humanoidalny wygląd. Prezentacja wypadła wspaniale, następnego dnia jej opis i zdjęcia androida wydrukowały wszystkie krakowskie gazety.

Odtąd codzienne spacerowanie Eberharda Weynarskiego, który wraz ze swym androidem przemierzał ulice Krakowa, stały się nieodzownym elementem miejskiego pejzażu. Z początku widok ten budził sensację, jednak po kilku miesiącach ludzie przyzwyczaili się do obecności porcelanowego androida z twarzą dziecka.

Z tego okresu pochodzi pierwszy czarno-biały film nakręcony na ulicach Krakowa.



Trwa zaledwie kilka sekund i przedstawia panoramę miasta, widzianą z placu św. Ducha. Widać na nim niewyraźne postacie kobiet w jasnych sukniach, z parasolkami w dłoniach, oraz grupę mężczyzn we frakach. Ludzie ci patrzą z niepokojem na ciemne niebo nad miastem i wskazują odległe, dymiące kominy fabryk. Jeżeli przyjrzeć się dokładnie, gdzieś na drugim planie, po prawej stronie, widać bladą postać androida Weynarskiego.

Ze smutkiem wracam do tych dni, gdyż były one początkiem niewyobrażalnej tragedii, która dotknęła miasto. Trwała rewolucja przemysłowa, wokół Krakowa powstawały setki fabryk i zakładów. Tysiące olbrzymich kominów i czarne słupy dymów otoczyły miasto, niczym pętla zaciskająca się powoli na szyi skazańca.

Minęło czterdzieści lat, nim ludzie pojęli, że czarny dym, który spowił miasto, doprowadzi je do upadku. Z początku trujące wyziewy z wysokich kominów fabryk, otaczających Kraków, utworzyły zamknięty pierścień, by po kilku latach rozprzestrzenić się nad całym miastem, zabierając dostęp do słońca.

Gdy dym zakrył niebo, rada miasta zwróciła się do Eberharda Weynarskiego z prośbą o stworzenie androida, zdolnego wchodzić na krakowską wieżę zegarową. Ze względu na zapylenie miejsce to było już niedostępne dla zwykłego człowieka.

Odtąd android codziennie wchodził na wieżę, by regulować nastawy mechanizmu zegarowego, aż do 29 sierpnia 1872 roku, kiedy to zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Na oczach zgromadzonego tłumu z czarnej chmury pyłu, spowijającej szczyt wieży, runął porcelanowy android i roztrzaskał się u stóp przerażonych ludzi. Zrozpaczony Weynarski wyciągnął z jego rozbitego wnętrza kilka nieuszkodzonych taśm, po czym wrócił do domu, by w spokoju pracować nad nową, ulepszoną wersją androida.

Kilka lat później, gdy, ze względu na zapylenie ulic i swój podeszły wiek, Eberhard Weynarski zrezygnował z codziennych spacerów z androidem, zdarzył się kolejny wypadek.

W tym czasie miasto było już czarne od wszechobecnego pyłu, a mieszkający w nim ludzie zaczęli buntować się przeciw właścicielom fabryk. Nikt nie zna przyczyny, dla której, w trakcie jednej z demonstracji, spacerujący ulicą android został zaatakowany przez grupę robotników.

Zgodnie z zapisem z taśm perforowanych, uciekający android pomylił drogę i wbiegł na stary żydowski cmentarz Remu. Tam dopadli go ludzie, przewrócili na ziemię i ukamienowali kawałkami betonowych płyt, wyrwanych z grobów dawnych cadyków. Tego dnia Eberhard

Weynarski podjął ostatnią próbę stworzenia nowego, ulepszanego androida.

Nadszedł w końcu czas, gdy ludzie obrócili swą złość przeciw olbrzymim, stalowym kominom fabryk, które niczym antyczne kolumny podtrzymywały czarne sklepienie nieba. Zakłady przerwały pracę, a zbuntowani robotnicy wygasili paleniska olbrzymich pieców i zatrzymali maszyny parowe. Lecz czarna chmura dymu ciągle wisiała nad miastem, a duszący pył codziennie zbierał krwawe żniwo. Domy, ogrody, ulice i parki zapełniały się ciałami, codziennie umierały tysiące ludzi.

Sygnal do opuszczenia Krakowa dała rada miejska. Za ich przykładem poszli bogatsi mieszkańcy, robotnicy i na końcu biedota.

Tego dnia stałem przy uchylonym oknie w pokoju Weynarskiego i słyszałem głosy tysięcy ludzi, którzy, pośród krzyków i wrzasków, rżenia koni oraz turkotu ciężkich kół wozów i karet, opuszczali Kraków. Obok mnie, na łóżku, umierał Eberhard Weynarski.

Ludzie opuszczają miasto... – wyszeptał, dławiąc się od kaszlu. – A ty, Jakubie, poczekaś do ich powrotu.

Pochowałem go w ogrodzie, obok grobu jego syna.

W ciągu dziesięciu lat miasto niemal całkowicie opustoszało, w ciągu kolejnych kilku umarła garstka tych, którzy pozostali. Dnia 13 czerwca 1893 roku wyszedłem na ulicę i nie spotkałem żadnego człowieka.

Nie ma już Krakowa, który pamiętam z czasów, gdy Eberhard Weynarski budował swoje androidy. Wszystko przykryła gruba warstwa popiołu i sadzy.

Gdybym zechciał, mógłbym zagarnąć pył, leżący u mych stóp, wyrwać betonowe płyty chodnika i przekopać się gołymi rękoma poprzez zalegające, kolejne warstwy ziemi, przez przegniłe zręby domów, budowanych przez lata rękami kolejnych pokoleń i dokopać się do pierwotnej ziemi, na której przed tysiącami lat stanęli strudzeni wędrowcy, a jeden z nich powiedział:

Oto nasz nowy dom...

Nasza kolebka.

Już rozumiem, że Eberhard Weynarski nie pragnął wskrzesić swego syna, tylko zachować pamięć o nim i innych mieszkańcach Krakowa.

Minie jeszcze wiele lat, zanim ludzie będą mogli powrócić do miasta i ponownie osiedlić się w obrębie jego murów. Musi opaść czarny pył, wiszący pod niebem, a deszcze, które potem

nadejdą, muszą zmyć resztki sadzy z domów, kościołów i placów. Wiem, że nie zdarzy się to za rok ani za lat dziesięć, lecz nie martwi mnie to wcale.

Poczekam.

Filip Laskowski – Roczniak 77', absolwent uczelni technicznej, pracownik korporacji, od kilku lat szczęśliwy mąż i tata. Kibicuje hiszpańskiej Valencii, lubi filmy ery VHS, zapach starych książek i smak kawy. Bardzo ceni sobie zaangażowanie i pracowitość, dlatego każdy rozpoczęty projekt stara się doprowadzić do końca. Jego pasją jest historia polskiego renesansu, marzeniem – napisanie książki osadzonej w tym okresie. Niedawno odkrył przyjemność płynącą z pisania opowiadań – by nie popaść w rutynę, przyjemność tę dozjuje sobie z umiarem. Dlatego w wolnych chwilach trochę pisze, a trochę nie.

Ida Żmiejewską

ilustrowała Luiza Pożycka



Akt I

– Stachu, musisz pić! –
Przybyszewski trzęsącą się ręką
chwycił do połowy opróżnioną
butelkę i zaczął rozlewać wódkę
do kieliszków. – Chopin, gdyby
nadal żył, to także by pił!

Wyspiański zwykle stronił
od alkoholu, bolała go po nim
głowa, ale tym razem postanowił
złamać swoje zasady. W końcu
nie miał już nic do stracenia.

– Prosit!

Przybyszewski, słysząc ten
toast, uśmiechnął się kpiąco, a on przełknął palącą ciecz i rozejrzał się po zadymionym do granic
możliwości wnętrzu kawiarni, którą niegdyś sam ochrzcił Paonem.

Lampy, osłonięte kolorowymi abażurami, rzucały łagodne światło na zebrany na sali
tłum; Paon zawsze był popularny wśród artystów, ale tego wieczoru nie dałoby się tu wcisnąć
nawet szpilki. Goście pili na umór, chcąc choć na moment zapomnieć, że przyszłość naprawdę
nie istnieje. Kilka par, pokładając się na wyścielonej słomą podłodze – ktoś przywłókł z Plant
kilka dużych chochołów – oddawało się nieokiełznanej namiętności. A ze zwisającego ze ściany
olbrzymiego płótna, na którym od zawsze artystycznie wyżywali się stali bywalcy, spoglądał
groźny Bóg Ojciec pędzla Mehoffera. Nie, tym razem nie mówił „stań się”, ale okrutne „gin”!

Apokalipsa właśnie stawała się faktem.

Szczerze mówiąc, Wyspiański wyobrażał ją sobie zupełnie inaczej.

A tymczasem nie było rozstępującej się ziemi, rogatej bestii, błyskawic, jezior ognia i anielskich trąb. Nie było nawet Sądu Bożego. Dzieła dokonała zwykła zaraza, która – jak donosiły wszystkie gazety – wymknęła się z wojennych pruskich laboratoriów.

Początkowo ofiar było niewiele i nikt nie traktował choroby poważnie – ot, kolejna przypadłość nękająca ludzki rodzaj – jednak po kilku miesiącach okazało się, że jest już zbyt późno na ratunek. Bezlitosne mikroby spustoszyły Cesarstwo Niemieckie i triumfalnie ruszyły na podbój Europy. Uchodźcy – w panice opuszczający Stary Świat – szybko zawlekli je za ocean. A kilka tygodni temu zaraza pokonała kordon sanitarny i dotarła do Krakowa, wzbudzając najpierw panikę, a potem pełną dekadencji rezygnację.

– Umierają artyści, niech ginie i sztuka! – Przybyszewski ochlapał wódką płótno. Przez chwilę Wyspiańskiemu zdawało się, że Bóg Ojciec płacze nad losem świata. – Przeklinam ją! Niech szcześnie też tradycja! I historia! Na koniec niech zostanie chuć... – Pisarz władczy gestem przyciągnął do siebie senną kochankę i oboje osunęli się na podłogę.

Wyspiański nagle poczuł, że musi stąd wyjść, odetchnąć, uciec gdziekolwiek, choć na chwilę zapomnieć o nadciągającej zagładzie. Narzucił na siebie płaszcz i kierowany zupełnie



niezrozumiałym impulsem, schował do kieszeni niedopitą butelkę wódki. Nie miał zamiaru żegnać się z nikim, ale kiedy mijał próg, gwałtownie się odwrócił, męczony poczuciem, że ktoś go obserwuje.

Jednak w kącie kawiarnianej sali leżały tylko sponiewierane chochoły.

Akt II

Od ściany kamienicy ciągnęło chłodem, ale artysta nie zważał na to i oparł się o nią całym ciężarem. Wziął głęboki oddech: w powietrzu unosił się ciężki zapach ziół odkażających, których całe stosy płonęły na rogach ulic. Poczul mdłości, ale na szczęście udało się mu je opanować.

Neobarokowa bryła Teatru Miejskiego tonęła w gęstej mgle. Wyspiański pomyślał, że za dwa dni miała odbyć się tam premiera jego nowej sztuki. Jednak ze względów bezpieczeństwa – władze wciąż żywiły nadzieję, że uda się zapanować nad chorobą – zakazano dużych zgromadzeń. Zresztą i tak nie byłoby już komu grać. Przedwczoraj umarł Zelwerowicz, a tego ranka Siemaszkowa. Nawet Rydel zdążył już ponoć owdowieć.

Artysta wytarł załzawione oczy i starając się nie myśleć o tych, których stracił, nieoczekiwanym krokiem ruszył w stronę Rynku. Nie miał pojęcia, jaki jest cel jego wędrówki – i zupełnie go to nie obchodziło. *Byle przed siebie...*

Miasto sprawiało wrażenie uspiętego: z okien budynków wзираła ciemność, tylko od czasu do czasu w którejs z szyb odbijał się płomień świecy. Przeżęci ludzie kryli się po domach, zaś na chodnikach leżeli pokryci krwawymi wybroczynami zmarli, których służby sanitarne zbierały dwa razy na dobę i wywoziły za miasto, aby ich pochować w zbiorowych, beziemiennych mogiłach.

Za otwartych drzwi bazyliki Mariackiej dolatywały dźwięki marsza żałobnego Chopina. Zaintrygowany Wyspiański podszedł bliżej, jednak nie udało mu się wejść do kościoła.

– Co pan tu robi? – Dwie spowite w czerń postacie z wielkimi ptasimi dziobami nieoczekiwanie wychynęły z mroku. – To msza tylko dla zmarłych. Powinien pan być w domu.

– Już, zaraz – przytaknął gorliwie, choć nie miał zamiaru nigdy więcej wracać do pustego mieszkania. Odczekał więc chwilę, a kiedy miejscy lekarze oddalili się na bezpieczną odległość, powędrował w stronę Grodzkiej.

Ledwo minął kolejny płonący stos, usłyszał tętent końskich kopyt, który z każdą chwilą przybierał na sile. Artysta wyteżył wzrok. Ku niemu, na spienionych rumakach, gnało czterech

jeźdźców. Dwóch z nich nieoczekiwanie rozpląnęło się w powietrzu niczym dym, a pozostali przemknęli obok niego tak blisko, że mimo duszącego zapachu ziół poczuł trupi odór. Jak zahipnotyzowany ruszył śladem Moru i Śmierci, które objęły we władanie jego miasto.

Stracił ich z oczu dopiero u podnóża Wawelu. Usiadł na pierwszej z brzegu ławce i szczerzej otulił się płaszczem. Czuł coraz większe zmęczenie, więc przymknął powieki. Drzemał przez kilka minut, a może nawet godzinę, a kiedy się ocknął, nerwowo zadygotał i przetarł oczy ze zdumienia.

Przez chwilę wydawało mu się, że jakaś tajemna siła ożywiła wszystkie obrazy mistrza Matejki: od strony zamkowej bramy ciągnął nieprzerwany sznur widmowych karet i jeźdźców. Mijały go strojne damy, zbrojni rycerze i kapiące od złota królewskie orszaki. Słyszał rzenie koni, skrzypienie kół, szmer wystraszonych głosów.

Władcy i legendarni bohaterowie właśnie opuszczali swój dom.

Wyspiański nie mógł się oprzeć wrażeniu, że dopiero teraz, na jego oczach, rozgrywa się najprawdziwsza Apokalipsa. Taka, wobec której błądy biblijne opisy i natchnione wizje Kasprowicza.

Tej nocy ginęli nie tylko ludzie, umierało także miasto.

– Nie martw się pan. Powrócą.

Przestraszony artysta drgnął i gwałtownie odwrócił głowę. Obok niego, zupełnie nieoczekiwanie, pojawił się starszy mężczyzna o gęstej, ale mocno posiwiałej czuprynie i twarzy pooraonej zmarszczkami, bardzo blady, ale chyba żywy i – jak na obecne warunki – zadziwiająco spokojny. Wyspiański ze zdziwieniem stwierdził, że doskonale zna tę twarz, widywał ją niejednokrotnie. Jednak w tej chwili zupełnie nie mógł sobie przypomnieć, kiedy i w jakich okolicznościach.

– Sława, panie Stanisławie! – rzucił tymczasem nieznajomy. Miał przyjemny, niski głos, w którym pobrzmiwały miękkie wschodnie tony. – Czekałem na pana.

– Ktoś pan? – Wyspiański nieoczekiwanie poczuł dreszcz, biegnący wzdłuż kręgosłupa.

– Upiór, a może duch przeszłości? – uśmiechnął się krzywo mężczyzna. – Czy to ważne?

Po prostu przybyłem z daleka, bo mam dla pana wiele nowin.

– Dla mnie? – Artysta był coraz bardziej zaskoczony, ale gdzieś w jego głowie powstawała myśl, że wszystkie ostatnie wydarzenia wiodły go właśnie do tej jednej chwili.

– Musi pan wiedzieć, że to, co się dzieje, jest wolą Boga. Źli królowie nieszczęsnych kra-
in wyrzekli się go dawno temu, narzucili poddanym bałwanów, więc teraz muszą ponieść karę.
Tym razem to miliony muszą cierpieć!

– Umrą całe miliony – mruknął Wyspiański, zerkając podejrzliwie na swego rozmówcę.

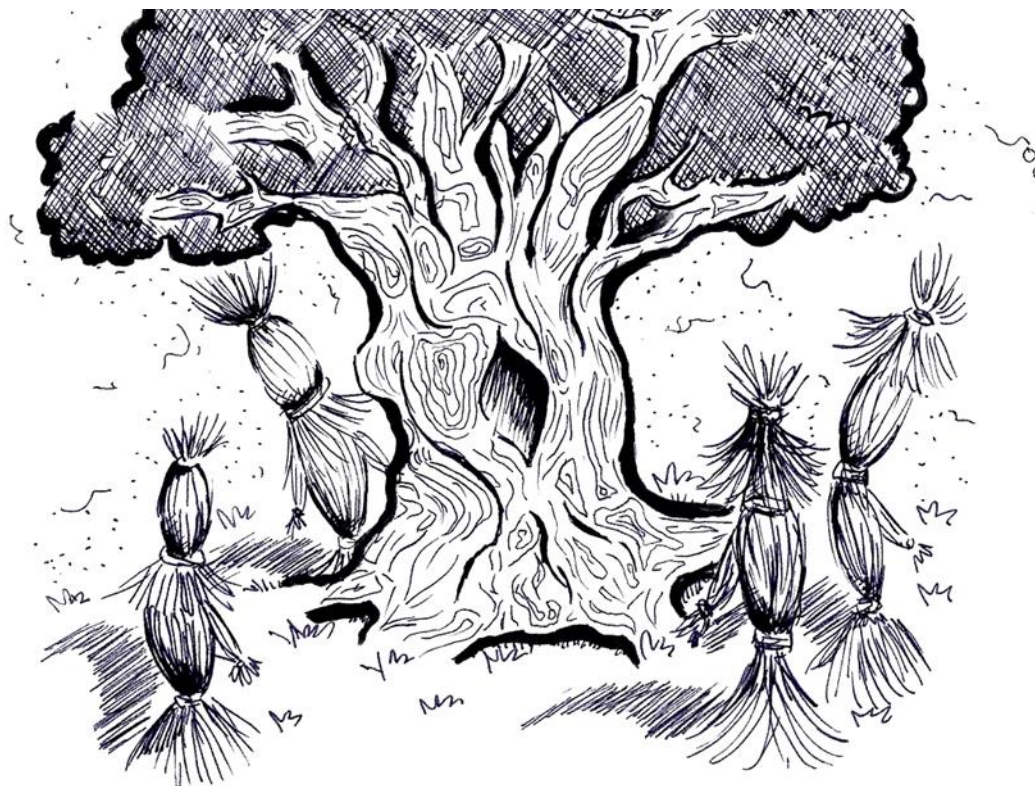
– Ale naród polski, jako jedyny sprawiedliwy, odrodzi się na kościach innych. – Dziwny
człowiek kontynuował swój monolog, niezrażony brakiem entuzjazmu towarzysza. – I wreszcie
powiedzie do wolności najpierw siebie, a potem wszystkich ocalałych. Jenemu trzeba mu przewod-
nika. Kogoś, kto go przebudzi, zagrzeje do czynu. – Nieznajomy nagle pochylił się ku niemu,
mocno schwycił za ramiona i popatrzył prosto w oczy. – Potrzebuje wieszca... Dlatego dziś, w
imię Boga, daję ci rząd dusz!

– Mnie?! – wyszeptał artysta z niedowierzaniem. – Nie jestem...

– Jesteś godzien – oświadczył spokojnie mężczyzna. – Bo tyś się twórcą urodził.

Wyspiański otworzył usta i zamarł, jakby mocno uderzony obuchem. Już wiedział, rozu-
miał, rozpoznał. Ale kiedy nareszcie oprzytomniał i odzyskał zdolność mówienia, po duchu poety
nie było nawet śladu.

Wokoło panowała śmiertelna cisza, której nie zakłócały nawet najłżejsze powiewy wia-
tru.



Akt III

Obudził go przenikliwy chłód. Wypiański wzdrygnął się i zatrzepotał rzęsami, na których osiadła poranna wilgoć. Ze zdumieniem uświadomił sobie, że właśnie świta, a on leży na ławce, prawie u stóp Wawelu. Poruszył się gwałtownie i wtedy poczuł w głowie przeszywający ból. Mamrotał pod nosem, przeklinając swoją głupotę. Jednak kiedy przypomniał sobie, dlaczego poprzedniego wieczoru oddawał się pijaństwu, przerwał w pół słowa. Przez chwilę ludził się myślą, że zaraza, trupy na ulicach, złowrogie zjawy i widmo dawno zmarłego wieszca to tylko senny koszmar.

Tak, to musiał być koszmar, z którego w końcu przyszło mu się obudzić.

Artysta jeszcze przez moment trwał w bezruchu, aż wreszcie z trudem przełknął ślinę. Gardło miał suche niczym wiór. Musiał się napić.

Przypomniał sobie o butelce, którą przez cały czas miał w kieszeni płaszcza. Nie zdążył jednak jej wyciągnąć, bo nagle jego uwagę przykuły dziwne postacie, wyłaniające się zza drzew. Przez kilka sekund miał nadzieję, że widzi ludzi, którzy – cudem ozdrowieni – przyszli na Planty cieszyć się porannym słońcem. Jednak szybko zrozumiał swoją pomyłkę. To chochoły – duże i mniejsze, jasne i już popróchniałe – ciągnęły w jego stronę ze wszystkich stron parku.

Wypiański znowu sięgnął do kieszeni. Jednak nie znalazł tam butelki z wódką, ale najprawdziwszy złoty róg.

Ida Żmiejewska - specjalistka od zasobów ludzkich, doradczyni zawodowa, długoletnia rezydentka Forum Literackiego Mirriel, autorka opowiadań o detektywie Eryku Potockim, publikowanych w SFFiH, Esensji i antologii „Strzeż się potwora”. Ma na sumieniu także inne literackie grzechy, m.in. powołanie do życia upiora Gučia i szóste miejsce w Horyzontach Wyobraźni 2012. Aktualnie próbuje popęlić dziewiętnastowieczny kryminał. A poza tym wiedźma, która lubi wiedzieć, kocia własność oraz żona.

Opokanibalipsa

*Kornel Mikołajczyk
ilustrowała Ewa Skuza*



*Żadne państwo nie jest dalej niż
trzy posiłki od rewolucji.*

– Larry Niven

655 Dzień od Zapaści.

Myśleliśmy, że modyfikacje genów

oznaczają koniec głodu na świecie. Tymczasem sprowadziły one koniec świata – przez głód.

Nim ktokolwiek zorientował się, że przedobrzyliśmy ze zmianami, było za późno. Matka Natura przegrała. Gdy zmodyfikowane zboża, warzywa i owoce obumarły, żywiące się nimi owady i zwierzęta zostały zdziesiątkowane. A później – jak kostki domina – posypał się cały łańcuch pokarmowy.

Na świecie został tylko człowiek: wygłodniała istota, sprowadzona do podstawowego instynktu.

Przetrwać.

– N–nie róbcie tego – błagał na kolanach, gdy wyciągałem z pochwy nóż. Jego szloch odbijały się echem o ściany chłodni jak zawodzenie tysięcy gardeł. Łydka, strzaskana przez traperską pułapkę, zostawiała za sobą krwisty szlak na metalowej podłodze. – Proszę... nie rozumiecie. Od tego zależy p–przetrwanie...

– Twoje przetrwanie, pewnie – przerwał mu Majcher. Skończył już ostrzyć tasaki i teraz wyszedł ku nam zza rzędu pustych haków na mięso. – Ale nasze zależy od tego, czy mamy co do gęby włożyć. A że wszystko inne zdechło, nie mamy wyboru. – Szczęknął ostrzem o ostrze i spojrzał mi twardo w oczy. – Jedz lub bądź zjedzony.

Nienawidziłem go za te słowa. Za każdym razem, przy każdej nowej ofercie, próbował mi sprzedać tę swoją filozofię:

– Świat stanął na głowie – mawiał Majcher, dłubiąc sobie w zębach kawałkiem kości. – Jak u Darwina, przetrwają najsilniejsi. Jeden za nikogo i każdy za siebie.

Coś w skurczonym żołądku przewróciło mi się na to wspomnienie.

Przypomniałem sobie psa, którego jedliśmy wtedy, tydzień temu. Wychudzony, chorowity kundel. Gdy znalazłem go w pułapce, z pokrwawioną łapą, spojrzał na mnie milcząco. Nie skamlał, nie szczekał. Zupełnie jakby wiedział – gdzieś w głębi siebie, instynktownie – że robimy to tylko z konieczności.

Oto, czym to wszystko było. Koniecznością. Niczym innym.

Położyłem dłoń na czole mężczyzny.

– P–przetrwanie gatunków – zamamrotał. – Jest nadzieja. Ocalenie...

Konieczność, powtórzyłem sobie. I poderżnąłem mu gardło.

Z fałszywego, czerwonego uśmiechu dobyło się dzikie charczenie. Krew bryzgnęła na biały fartuch Majchra, który stanął zbyt blisko.

Chwilę później było już po wszystkim.

Otarłem nóż o nogawkę i pozwoliłem ciału opaść na podłogę. Majcher przykucnął nad nim, oblizując wargi.

– Ach, ludzina – westchnął tęsknie, szturchnąwszy martwego tasakiem. – Jedyne takie mięso z duszą, nie?

Nie patrząc na niego i nie komentując, schowałem nóż do pochwy i przyciągnąłem ku sobie bagaż zabitego. Może znajdzie się w nim coś przydatnego.

Majcher zachichotał, patrząc na mnie swymi bladymi jak u wilka ślepiami.

– Oj, nie dąsaj się tak, Hunter. Dzięki tobie dzisiaj jemy jak króle...

– Odpuść sobie – przerwałem mu. – Wiem, że musimy to robić. Ale wcale nie muszę tego lubić. – Zarzuciłem plecak na ramię. Czulem narastający w pomieszczeniu odór niemytego ciała i odchodów. Po raz kolejny zakotłowało mi się w żołądku. – Idę się przewietrzyć.

Majcher dźwignął się na nogi i wyszczerzył zepsute zęby.

– Zawołamy cię z Mantą na obiad.

Przed Zapaścią nie wiedziałem nawet, że śmierć ma zapach. Teraz ciągnął się za mną jak zły omen, na stałe wpleciony w strukturę świata. Wyszedłem na zewnątrz, w ciszę martwego

popołudnia. W tłumoku ubrań zabitego wymacałem paczkę fajek, odpaliłem więc jedną, starając się pozbyć prześladowającego mnie smrodu.

Blady dym ulatywał ku górze, w krainę kurzu i fruujących na wietrze papierów. Od wczesnych lat Zapaści widziałem na niebie tylko parę kruków. Ptaki wymarły, gdy zaczęło brakować żywności; zresztą jak wszystko inne na świecie. Majcher często śmiał się, nazywając to „reakcją łańcuchową łańcucha pokarmowego”. Ja nie widziałem w tym nic śmiesznego.

Dopaliłem papierosa, po czym umyłem dłonie w beczce z deszczówką. Przysiadłem na betonowej rampie i otworzyłem plecak zabitego. Latarka bez baterii, puszki po konserwach, zapasik wody, dziwny telefon w plastikowej obudowie (niedziałający), ubrania, fiolka pigułek zmniejszających łaknienie, zwój miedzianego drutu... i książka. Oprawiony w skórę tom z trzycyfrowym zamkiem kodowym.

– Samotny człowiek, w jego dłonie trafia księga... – Uśmiechnąłem się, sięgając po kolejną fajkę. – Niech mnie szlag, jak to nie będzie *Pan Tadeusz*.

Przesunąłem dłonią po wytartym grzbiecie. Książki były równie rzadkie, co zwierzęta. Jeśli nie zostały spalone w którejs z wojennych pożóg, to padły ofiarą głupiej ludzkiej nadziei, że da się na nich przeżyć. Być może byłoby to możliwe, gdyby się posiadało trawiącą celulozę krowę – krowa jadłaby papier i dawała ludziom mleko. Tyle że krów już nie było. Modyfikacje genów zrodziły setki pochodnych mutacji, które przerzucały się ze zbóż na inne trawy. Zanim ktokolwiek zdążył pomyśleć o efektywnym rozwiązaniu, wygłodniałe masy zatopiły już zęby w ostatnich egzemplarzach chodzących steków. A reszcie przyszło żuć papier.

Obróciłem w dłoniach tajemniczy tom. Głód ciekawości pozwolił mi na moment zapomnieć o ssaniu w żołądku. Używając ciężkiego kamienia w roli młota i noża jako prymitywnego dłuta, w pół godziny przedostałem się przez zamek.

Robiło się już jednak za ciemno na lekturę. Nadchodził wieczór: równie cichy jak dzień, spowijający świat mrokiem i chłodem. Gdzieś w oddali, na podobieństwo świetlików, jaśniały ogniska Miasta – terenu łowieckiego Żerców. Miejsca, do którego nie zapuszczał się nikt.

Jak wiele czasu nam zostało? – myślałem, rozprostowując zdrętwiałe nogi. – Jak długo, nim ostatni człowiek pożre przedostatniego? Kto odziedziczy Ziemię? Przeżyły tylko ścierwojady i padlinożercy tacy, jak my: kruki, sępy, hieny, muchy, dzikie psy. Dbające o siebie sukinsyny, dla których zabić i zjeść – to jak splunąć.

Westchnąłem, zapatrzony w ostatnie promienie słońca, ginące za horyzontem. *Gdyby istniało coś, czego można by się trzymać! Chociaż jedno niezmodyfikowane ziarenko. Zalążek nadziei.* W głębi duszy wiedziałem jednak, że to marzenie ściętej głowy.

Z książką pod pachą wróciłem do budynku. Manta urządziła nam jadalnię tuż obok kuchni, w pomieszczeniu, nad którym – ironicznie – wisiała tabliczka ZASOBY LUDZKIE. Żołądek skręcił mi się w paragraf, gdy poczułem niosący się korytarzem zapach gulaszu. Majcher siedział już przy stole i niedomytymi z krwi dłońmi stukał niecierpliwie w blat.

Bez przywitania rzuciłem mu plecak.

– Parę fajek, trochę miedzi i szmat – poinformowałem bez entuzjazmu. – Jakiś telefon, wygląda okej, ale nie działa. Piguły głodowe. I książka. – Podniosłem tom do lichego światła świec.

– Książka? – zainteresował się. – O czym?

– Zaraz się dowiem. – Usiadłem w kącie, daleko od stołu, i na chybił trafił otworzyłem tom.

Na kartkach nie kryła się epopeja, a pamiętnik. Przemyślenia człowieka, któremu podejrzałem gardziel zaledwie parę godzin wcześniej.

Dusza przelana na papier. Poczucie winy zmalowało we mnie nieco. *Być może człowiek ten... profesor Jan Hieronim Krystek* – odczytałem nazwisko na wewnętrznej stronie okładki – *być może jeszcze „nie wszystkim umarł”.*

Zacząłem czytać.

418 Dzień od Zapaści.

Czterej jeźdźcy zjawili się w komplecie.

Zaraza – gdy kolejne generacje GMO przestały być płodne, gdy wymarły te plony nowej dekady, za nic sobie mając pokładane w nich nadzieje. Za dużo GM, za mało O.

Wojna – o spichlerze, o zapasy żywności, o nieskażone nasiona, o prawa do niezmodyfikowanych upraw trzeciego świata. O przetrwanie gatunku.

Głód. Rząd nie dawał nam jedzenia, więc zjedliśmy rząd. Brat zwrócił się przeciw bratu, dziecko przeciw rodzicom. Mniejsze zwierzęta nie miały z nami szans, zwłaszcza że same cierpiały z wygłodzenia.

A teraz, wraz z pożeraniem tego świata, nadjechała i Śmierć.

Zastanawiam się czasem nad odwieczną zagadką: Czy gdy całkiem się pożremy, to znikniemy? Czy staniemy się dwa razy więksi?

Przekartkowałem pamiętnik. Wpisy były krótkie i treściwe, a przy tym pełne rozmyślań. Okazało się, że świętej pamięci Jan Hieronim Krystek był genetykiem – naukowcem, który z wyjątkowym bólem spoglądał na upadek idei zakończenia głodu na świecie.

I na co to wszystko? – pomyślałem. *Aby stać się obiadem dla bandy kanibali?* Była w tym jakaś bolesna ironia – jak zresztą we wszystkich naszych życiorysach. Majcher: syn rzeźnika, któremu przyszło oprawiać ludzi. Samanta: kucharka z podstawówki, której mielone wreszcie ktoś jadł ze smakiem. I ja, nieopierzony amator polowań, zmuszony zastawiać sidła na inteligentną zwierzynę, w imię najważniejszej zasady survivalu. Przetrwać za wszelką cenę.

Trzasnęły drzwi. Manta wtaczała się do jadalni, przygięta niemal do ziemi pod ciężarem jedzenia.

– No, żeś się spisał – pochwaliła mnie, ze stęknieniem stawiając tacę na stole. – Przez tydzień nie powinno być głodno, jak rozplanuję rozsądnie. Zajadać i nie narzekać.

– Ugotowałaś mi serce? – Dopomniął się Majcher, roztrącając naczynia. – Zawsze trzeba zjeść serce. To dodaje odwagi.

Zachęcony przyjemnym zapachem gulaszu, podniosłem się w krzesła. Pamiętnik zsunął się z mych kolan i uderzył głucho o podłogę, otwierając się na samym końcu zapisków.

Podniosłem go z zaciekawieniem. Zobaczyłem kilka pustych kartek, jakby specjalnie przeznaczonych dla mnie, na spisanie paru słów. I ostatni wpis samego właściciela.

1837 Dzień od Zapaści.

Rano nawiązałem kontakt satelitarny z resztą Ocalenia. Trafilem na serię zapętlonych ostrzeżeń.

Nie wygląda to za dobrze. Globalny Bank Nasion w Svalbardzie głodni splądrowali parę lat temu; nawet nie celem zasiewu, a po prostu konsumpcji ziaren. Bombardowania w Hongkongu i Kyoto zniszczyły nasze wschodnie placówki. Kansas stanęło w płomieniach i silosy z nasionami zostały spopielone.

Obawiałem się tego od miesięcy, lecz teraz wiem na pewno – polski Bank Nasion jest ostatnim na świecie.

Jutro rozpoczynam wędrówkę z powrotem do Krakowa. Nasiona powinny być bezpieczne w podziemiach – lokalizację znam tylko ja. Na wszelki wypadek wysłałem ją, tak jak pierwotnie została mi przekazana, zakodowaną w nukleotydach:

ATG.TAY+I.TGG.ATH.GAR.CGN.TAY+I.TAY.AAY.ATH.GAR.TGY.TAR

Nie mogę ufać nikomu poza Ocaleniem. Ludożercza swołocz pochłonęła nadzieję Svalbardu. Coś takiego nie może się zdarzyć z ostatnim na świecie Bankiem niezmodyfikowanych nasion. To jedyna szansa na odbudowę świata, jaki znamy.

Jedyna szansa...

Ostatni bank...

Poczułem, że kręci mi się w głowie. Literki uciekały przed moim wzrokiem, a jednak wciąż tam były – tragiczne słowa, których pełne znaczenie powoli do mnie docierało.

– Mój Boże – szepnąłem, zwracając uwagę towarzyszy. – Zabiliśmy go. Pewnie ostatniego genetyka świata.

– He? – mruknął Majcher z ustami pełnymi gotowanego serca.

– Próbował nas ostrzec. Powiedzieć nam, że wie, jak znaleźć ostatni Bank Nasion. A my go nie słuchaliśmy, bo chciało nam się żreć! Spójrzcie tylko na to! – Podsunąłem im pod nosy ostatni wpis profesora. – Zakodowana lokacja. Jak wielu genetyków, biologów może jeszcze żyć i nam to odczytać? Jak wiele zostało niespalonych, niezjedzonych książek do biologii?! – Zaśmiałem się histerycznie. – Mogliśmy zakończyć to wszystko! Przemoc, zabójstwa, ludo...

Urwałem. Patrzyli na mnie tylko niewidzącym wzrokiem. Ich zamienione w gąbkę mózgi usiłowały pojąć sens tego, co mówiłem, ale tryb survivalu skutecznie blokował głębsze zrozumienie.

Po brodach kapał im tłuszcz. Życiowy sok człowieka, który mógł nas wszystkich ocalić.

Coś na kształt zimnej dłoni zacisnęło się na moich kiszkach. Gdybym miał czym, pewnie bym wtedy wymiotował.

– Tylko genetyk to wiedział? – zapytał w końcu Majcher, przecierając dłonią zanieczyszczoną twarz. – A to może zamiast serca zjemy jego mózg? Jego wiedza przejdzie na nas. Nie?

Mimowolnie osunąłem się na kolana.

– To nie jest odpowiedź, Majcher – szepnąłem, zrezygnowany. – To – machnąłem dłonią na pełen mięsa stół – nigdy nie była odpowiedź. Rozumiesz mnie? – Spojrzałem na Mantę. – Rozumiesz?

Popatrzyli na mnie długo bliźniaczym, nieświadomym wzrokiem i pokręcili głowami. A później bez słowa wrócili do jedzenia.

Dzień ????

Mówią, że nadzieja jest matką głupich. I że umiera ostatnia.

Gdy opuszczam ukradkiem nasz stary zakład mięsny – naszą wieloletnią enklawę – i ruszam samotnie autostradą, czuję na sobie dotyk tych dwóch wielkich sił. Głupoty i śmierci. To tak, jakbym, stanąwszy na rozstajach, popatrzył na dwie ścieżki i z premedytacją wybrał tę trudną, nieuczęszczaną, wiodącą w ciemny las. Pisał o tym któryś z poetów.



Może i na echo jego słów uda mi się natknąć. Księgarnie, biblioteki, prywatne zbiory – to wszystko czeka na mnie tam, w Mieście. A pomiędzy mną a odpowiedziami na szyfr prof. Krystka – Żercy. Zezwierzęcone istoty, niegdyś ludzie, zmutowani nadmierną konsumpcją GMO. Brutalni, prymitywni, ale ostatecznie przecież tacy, jak my wszyscy. Głodni.

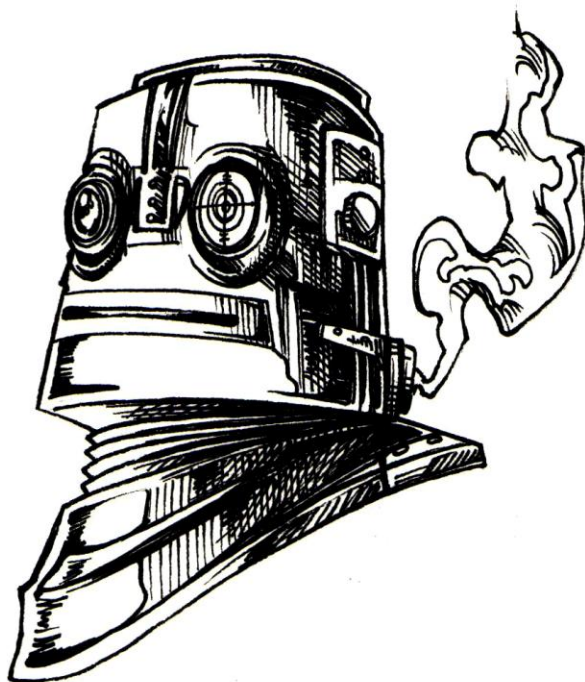
Głodni jak kruki nad moją głową i szwendające się tu, między wrakami na autostradzie, dzikie psy. Głodni jak moi przyjaciele kanibale, Majcher i Manta. Głodni jak ja, Hunter... chociaż nie, teraz, gdy już wiem, że nie będę zabijał dla mięsa, póki zasilają mnie pastylki zmniejszające łaknienie, wezmę sobie chociaż inne imię. To, które nadano mi w innym miejscu i czasie, a które teraz – mam nadzieję – stanie się wróżbą odnowy świata.

Adam.

Kornel Mikołajczyk – Roczniak 1991. Student filologii angielskiej na Uniwersytecie Łódzkim. Zaangażowany w pisanie od wczesnych lat dzieciństwa. Zadebiutował opowiadaniem „Człowiek w Masce” (Fahrenheit nr 67), po zdobyciu pierwszego miejsca w polconowym konkursie Uwolnij Fantazję 2009. Wielbiciel zielonej herbaty, anime, fantasy spod znaku systemów magii, sci-fi z okresu Złotego Wieku, power metalu, post-rocka i – przede wszystkim – pisania.

Golem z Festung Krakau

Daniel Nogał
ilustracje A.A. Turkiewicz



Podpułkownik Franz von Stockerau postukał pięścią w napierśnik stalowego olbrzyma. Dzwonienie poniosło się echem po długiej podziemnej komnacie.

– *Herr Oberstleutnant* – odezwał się Abraham Moritz, wynalazca z Kazimierza – tego pancerza nie przebiją nawet pociski z karabinu Uljanowa.

Nakręcając węża na mały palec, oficer długo przyglądał się Golemowi.

Wynalazek starego Żyda przypominał dwumetrową statwę, przedstawiającą średniowiecznego rycerza. Ale jakby niedokończoną, pozbawioną detali, a uzbrojoną nie w miecz i tarczę, lecz w karabin automatyczny. Fakt, karabin nie dorównujący rosyjskim cackom, których wciąż nie udało się wyprodukować w wiedeńskich fabrykach, jednak i tak zabójczo skuteczny.

– *Gut, gut* – mruknął von Stockerau. – Czas na demonstrację.

Moritz pokiwał głową i wyciągnął rękę w stronę czeladnika, nastoletniego Żyda o imieniu Eli, który podał mu prostokątną, miedzianą blaszkę z licznymi otworami.

– Cóż to takiego? – zapytał podpułkownik.

– To, tak jakby, opis celu – odparł wynalazca. – Opis rosyjskich mundurów. Żeby Golem wiedział, kogo atakować.

Żyd podszedł do blaszanego giganta i wsunął płytkę w poziomy otwór, przypominający karykaturalne usta. Oczy Golema, dwie kryształowe soczewki, rozbliły na czerwono. Ale wynalazek Abrahama Moritza nawet nie drgnął.

Podpułkownik uniósł krzaczaste brwi.

– Potrzebne mu są cele – wyjaśnił stary Żyd, odsuwając się od Golema.

Franz von Stockerau obrócił się w kierunku stojącego pod ścianą sierżanta Riedla i gestem wydał rozkaz. Podoficer stuknął obcasami i pociągnął za dźwignię. W tym momencie na drugim końcu komnaty sfrunęły z otworów w suficie trzy kukły – zawieszona na łańcuchach, ubrane w carskie mundury.

Golem zareagował błyskawicznie. Zanim jeszcze drewniani żołnierze opadli na sam dół, metalowy strzelec wypuścił serię z karabinu. W mgnieniu oka wszyscy trzej poszli w drzazgi.

Podpułkownik von Stockerau, podobnie jak reszta zgromadzonych w wawelskim podziemiu, milczał długo.

– To ile takich – przemówił w końcu – jesteście w stanie zrobić, zanim rosyjska armia dotrze pod Twierdzę Kraków?

*

Zegar Katedry Wawelskiej wybił właśnie trzecią, kiedy jeden z dwójki żołnierzy, robiących nocny obchód, odezwał się do towarzysza. Mówił po polsku:

– Słyszałeś to?

– Słyszałem – odparł drugi, też po polsku, ale z ukraińskim akcentem. – Jeszcze tylko dwie godziny i...

– Nie o tym mówię, idioto! Tam, na dole – żołnierz wskazał schody prowadzące do podziemia. – Ktoś łązi.

– Zdawało ci się.

– Zdawało, nie zdawało, musimy sprawdzić. Od tego tu jesteśmy.

Zeszli do podziemia. Oświetlając sobie drogę lampą, pomaszrowali korytarzem.

– Cholera – mruknął Ukrainiec – tam rzeczywiście ktoś jest. Może któryś z oficerów chciał sobie jeszcze raz obejrzeć ten tajemniczy wynalazek Żyda?

Polak pokręcił głową.

– Uprzedziliby nas – odpowiedział, skręcając za róg. – Poza tym...

Nikt już nie dowiedział się, co poza tym. Seria z karabinu rozerwała głowę żołnierza.

*

Franz von Stockerau obudził się i pojął zaraz, że bitwa, którą słyszy, wcale mu się nie przyśniła. Wystrzały i krzyki naprawdę rozrywały nocną ciszę na strzępy.

Rosjanie na Wawelu!? – pomyślał ze zgrozą podpułkownik, zrywając się z łóżka i doskakując do okna.

Na podwórzu, pomiędzy koszarami a szpitalem, rozgrywała się bitwa. Najdziwniejsza, jaką von Stockerau kiedykolwiek widział, ponieważ żołnierze cesarskiej i królewskiej armii przegrywali ją, pomimo przewagi liczebnej trzydzieści do jednego. Problem polegał na tym, że owym jednym był Golem Abrahama Moritza.

Podpułkownik już miał sięgnąć po mundur i pistolet, zatrzymał się jednak w pół ruchu. Kątem oka dostrzegł bowiem, że na majdanie pojawił się ktoś jeszcze. Pielęgniarki!

Dwie siostry w bieli, które nie wiadomo skąd się tam wzięły, uciekały teraz, przerażone, w kierunku budynku szpitalnego. O dziwo, blaszany strzelec nawet nie próbował w nie celować.

Franz von Stockerau zawrócił na pięcie i pobiegł na podwórze tak, jak stał: boso, w koszuli nocnej i bez broni.

– *Nicht schießen!* – ryknął, wypadając na zewnątrz. – *Nicht schießen!*

Żołnierze, ostrzeliwujący Golema zza osłony wozów parowych i starych kontenerów, spojrzeli na dowódcę, zdumieni. Jeden odwrócił głowę tak pechowo, że stojący pośrodku podwórza stalowy olbrzym mógł trafić go w czoło. Co uczynił natychmiast, ignorując zupełnie podpułkownika, który co prawda znajdował się o wiele dalej, ale za to był całkiem odsłonięty.

– Nie strzelać! – krzyczał dalej von Stockerau, powstrzymując ostatnich nadgorliwców. – Zdejmować mundury! Natychmiast!

Żołnierze osłupieli już zupełnie, ale gdy Golem zdołał zabić kolejnego z nich, otrząsnęli się i zaczęli zrzucać z siebie granatowe kurtki, ściągając spodnie. Kiedy już na majdanie znajdowali się wyłącznie mężczyźni w gaciach i koszulach, blaszany zabójca pokręcił się jeszcze przez chwilę w tę i z powrotem, rozejrzał, aż wreszcie znieruchomiał.

– *Gott erhalte, Gott beschütze* – mruknął pod nosem von Stockerau.

Potem ruszył w stronę Golema, eskortowany spojrzeniami rozebranych podkomendnych. To było najdłuższe osiemdziesiąt metrów jego życia, w końcu jednak stanął oko w oko z monstrem. Przełknął ślinę, a następnie bardzo, bardzo powoli – jakby szykował się do schwytania żaby – uniósł dłoń w pobliże kawałka blaszki, wystającego z ust Golema. Choć

kryształowe ślepia wciąż lśniły groźnie, nic się nie stało. Podpułkownik mógł swobodnie wysunąć dziurawą płytkę.

Blask w oczach zgasł.

Poczucie ulgi, które przepłynęło przez spięte ciało oficera, o mało nie pozbawiło go przytomności.

*

Świtało. Franz von Stockerau, ćmiąc fajkę, obserwował żołnierzy, grzmocących młotami w kupę żelastwa, która ani trochę nie przypominała już Golema.

– *Herr Oberstleutnant!* – zawołał jeden z podkomendnych, wskazując bramę. – Wracają z Żydem!

Rzeczywiście, sierżant Riedl i dwaj szeregowi prowadzili przez podwórze Abrahama Moritza. Wynalazca z Kazimierza był blady jak koszula, w której paradował nocą von Stockerau. Rozglądał się nerwowo i bełkotał coś w jidysz, pewnie modlitwę. Zamilkł z otwartą gębą, gdy zobaczył, co stało się z jego Golemem.

– A gdzie ten drugi Żydek? – podpułkownik zwrócił się do Riedla. – Ten uczeń. Jak mu było...

– Eli – odpowiedział sierżant – czy jakoś tak. Nie znaleźliśmy go. Nocą musiał uciec z Kazimierza.

– *Herr Oberstleutnant!* – jęknął Moritz. – Ja nic nie wiedziałem! Ja...

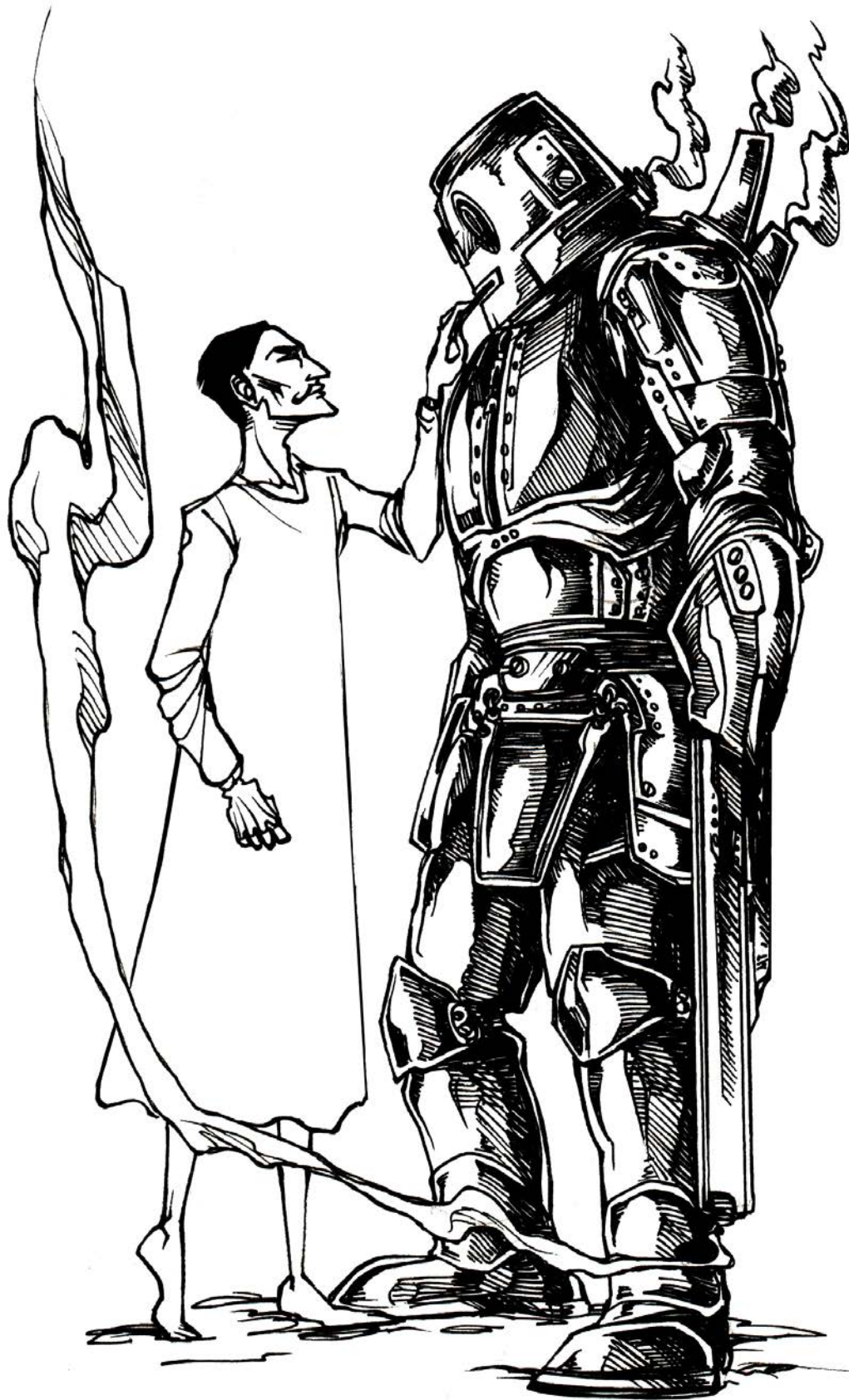
– Przestań wyc – warknął von Stockerau. – O tym, co wiedziałeś, a czego nie, zaraz sobie porozmawiamy. Ale nie tutaj.

*

Sierżant Riedl położył na blacie skórzaną teczkę, wypchaną papierami.

– Tutaj jest wszystko – powiedział. – Plany, szkice, notatki. Nawet bez tego czeladnika dalibyście radę zrobić własne Golemy.

– Ale... – zaczął siedzący za stołem Piotr Janic, szef krakowskiej siatki Carskiej Ochrazy – młodego Żyda i tak dostaniemy, prawda?



Żołnierz kiwnął głową.

– Oczywiście. Tak, jak się umawialiśmy – zapewnił. – Po tym, jak zrobił dla mnie nową płytkę, zamknąłem go w piwnicy, którą mi wskazaliście.

– Dobrze, bardzo dobrze. A list, który sfabrykowaliśmy?

– Podrzuciłem w domu Moritza. Lada moment na Wawelu przeczytają, że miał to być akt zemsty na podpułkowniku za interwencję w Sandomierzu i za śmierć krewnych. Nikt się nie dowie, że za wszystkim stała Ochra.

– Nikt się nie dowie, doskonale. Zatem czas wypłacić ci nagrodę, prawda?

Janic schylił się i sięgnął do torby. Zamiast jednak wyciągnąć z niej obiecany plik banknotów, świeżutkich franków, prosto z genewskiego banku Rotszyldów, agent wyjął poręczny rewolwer Uljanowa. Bardzo celny.

Sierżant Riedl nie zdążył nawet krzyknąć, zanim karminowa dziurka pojawiła się dokładnie na środku jego wysokiego czoła.

– Nikt się nie dowie – mruknął Janic, zaglądając do teczki. – Nikt się nie dowie.

Daniel Nogal – rówieśnik Dody i Roberta Kubicy. Z wykształcenia politolog, z zawodu dziennikarz, z zamiłowania podróżnik. Autor opowiadań, spośród których kilka udało się gdzieś nawet opublikować.

Przemysław Zańko

ilustrowała Joanna Szulc



– Ot, fortuna dzisiaj niełaskawa! Wielmożni państwo, ach, wybaczcie, oto zostaje za nami straszliwy *Pterodactylus!* – pokrzykiwał zgnębiony przewodnik, gnąc się w ukłonach, gdy goście wśród jęków zawodu znów usiedli. – Najszczerzej raz jeszcze upraszam o przebaczenie, sługa uniżony, lecz zaręczam, że za tygodni osiem, gdy Park ruszy pełną parą, Kraków czyniąc klejnotem Galicji, ujrzyicie tę krwiożerczą bestję w locie, w powietrze wzniesioną cudownym metalem profesora Geista...

Zachlupotało znów o wodę napędowe koło. Od złota kapiąca gondola ruszyła wolno po sztucznym kanale, niemal skrytem wśród zieleni, pozostawiając w tyle nieruchawe gady i Maczugę Herkulesa, gdy zaś wzięła zakręt, kolejna atrakcja

Steamparku Jurajskiego ukazała się oczom zwiedzających w pełnej krasie: gad przedpotopowy, ustawiony na wysepce, wśród paproci rozłożystych. Był to okaz gatunku *Stegosaurus*, dziw rzadki i nowy, przed dekadą zaledwie w Europie odkryty – dar dla Wielkiego Księstwa Krakowskiego od królowej Wiktorii. Po eksponatach licznych jeszcze niegotowych, olbrzymie kościane płyty, sterczące wzdłuż grzbietu, i ogon zbrojny w kolce na arszyn długie, wielkie na wszystkich zrobiły wrażenie – do chwili, gdy zwierz, obecnością widzów poruszony, krok uczynił. Zahuczała, załaskotała w cielsku maszyna, coś pękło nagle z trzaskiem wystrzałowi podobnym i potwór

opadł w ciężki przykurcz, nogi przednie mając zgięte, zadnie zaś wyprostowane – i trysnął spod ogona kłębem pary.

– A! – ryknął śmiechem Aleksander III Romanow, Car i Samodzierżawca Wszechrusi, gdy damy zgorszone odwróciły wzrok. – Wreszcie coś tu żywym mi się zdaje!

Przewodnik zawtórował mu nerwowo, chustką ocierając łysinę.

– Błagam o wybaczenie, W-wasze Impieratorskoje Wielicziestwo! – wyjąkał, wiercąc się na atłasem wyściełanym siedzisku. – Kapitał to nasz, na austryjackiej ziemi pobudowane, ale technologia angielska... Gdzież by aparata tak delikatne tutejszą zimę bez szwanku znieść mogły!

– Rzeknijcie jeszcze: przez Polaków budowane – zbył go car machnięciem ręki. – Wot, i po zagadce.

– Ano, prawda to. Pieniądz granice ni zna, ni szanuje...

– O, tutaj się grubo mylicie, Fiodorze Pietrowiczu! Zna, zna bardzo dobrze, i tak się ich słucha jak pies kijem tresowany, co to nie zje bez rozkazu, choćbyś mu kielbasy kładł do pyska! Mało który poddany tak dobry jak pieniądz. A i najgorszy lepszy niż Polak, co jak ta bestja: z przodu pokłon ci bije, a tyłem, jak na trupa przystało, gazy puszcza...

Towarzystwo roześmiało się całe – za wyjątkiem damy najmłodszej, bladej, która, w mufkę dłonie ukrywszy, do cara wprost się zwróciła:

– Przebaczcie mi, Wasze Impieratorskoje Wielicziestwo, lecz przemówić muszę! Czy to się godzi słów tak grubych używać przy damach? Przyrównując jeszcze w złym smaku naród żyjący do gadów wymarłych?

Roześmiano się znowu – lecz szeptu prześmiewcze, z młodzieńczej naiwności kpiące, ucihły, gdy z błyskiem ciekawości w oku wyprostował się na swym miejscu Aleksander III.

– Wybaczcie mi pamięć krótką, starość nie radość – jak miano panienki?

– Z Mierosławskich Julja.

– A! Mierosławskiego Bolesława córka, kastelanica Dembowskiego wnuczka, czyż nie? Dwa rody pieniackie, za politykę odarte z majątków, w jeden ród, ku rozpaczy Franciszka Józefa, skoligacone... Przodkowie panienki sporo krwi Austrii napsuli, burdy tu, w Krakowie, raz po raz wszczynając, czy panienka tego świadoma?

– Świadomam.

– Wybornie, to panienka pojmie niezawodnie, kiedy rzeknę, że co jak co, lecz gębę niewyparzoną *mademoiselle* Julja w spadku wzięła.

Rozległy się zduszone okrzyki na tę obelgę, prosto w twarz rzuconą, odchrząknął z zakłopotaniem przewodnik, na przedzie siedzący, lecz po dziewczynie znać nie było ni śladu rumieńca. Wypłynęli właśnie na kanał szeroki, jak rzeka rozlany, co na przestrzał przecinał skały wapienne Krakowsko–Częstochowskiej Jury. Na wzgórzach, świeżo usypanych, gdzieniegdzie jeszcze pozbawionych trawy, i przy samej wodzie ustawiono bestje wprost olbrzymie: już to rogate, już to o szyjach dłuższych niż żyrafie, już to o głowach dziwnie wydłużonych i pyskach płaskich niby dzioby kaczki, między nie zaś wmieszano drapieżców wszelkiej maści, wielkich i małych, zamartwych w skoku do bezbronnych gardeł. Gdy przepływali mimo, ten i ów dzentelmen powstał, by panopticum zwierzęce dokładnie oglądnąć.

– Niechże panienska przypatrzy się dobrze – podjął car, szerokim gestem na mijane potwory wskazując. – Oto, w pół fali wstrzymany, płynie okręt dziejów świata: silni i prędcy, co zjadają słabych i powolnych. Jedyne prawo, jakie Bóg dał naturze! Naród, co w tej walce ulega i pada, jawne daje świadectwo, że do życia nie był zdolny – i słusznie ginie, szarpany na sztuki, a jego szczątki ptactwo rozdziobuje. Widzi *mademoiselle* Julja te kolosy, jak przerażają ogromem? I cóż z tego, że się jawią potężnemi, kiedy na zawsze upadły, ja zaś władam ziemią, po której kroczyły?

– Myli się Wasze Impieratorskoje Wielicziestwo, sytuacje porównując – odparowała panna Julja głosem zimnym, nie zważając na damę, co szarpała ją za rękaw. – Zwierzę ulec może silniejszemu, lecz naród wtenczas dopiero jest martwym, gdy ani jeden jego członek nie pozostanie przy życiu.

– Panienska zaś mniema, iż Polska wciąż żyje? – zdziwił się car fałszywie, szyderczo, dłonią gładząc brodę krzaczastą. – Toż dość się przyjrzeć tem kukłom parowem, by pojąć, że i trup, byle mu dobrych przydać inżynierów, gotów zreć, tańcować i płacić podatki!

I zarechotał z własnego dowcipu, tak sobą ukontentowany, że aż się dłonią prasnął o udo. Nim jednak salwy śmiechu służalczego zdążyły dołączyć do chóru, wypaliła panna Julja, z oczu skry niemal krzesząc:

– A Wokulski?

Cisza głucha, złowroga zapadła nad wodą i trwała nieznośnie – aż pisnęła jakaś dama, bo, pośród strasznego łoskotu, ożyły nagle mechaniczne gady, wyrzucając z gwizdem parę, przesuwając zgrzytające stawy, z łoskotem przestawiając nogi. Park wybudzał się z letargu, ukazując

po raz pierwszy w całej okazałości groźne swe piękno. Zakołysały się ponad drzewami długie szyje, wydając trąbienia donośne, gdy zawarły się na nich stalowe szczęki drapieżców.

– Ach! Tak! Proszę spojrzeć, Wasze Wielicziestwo i wy, państwo wielmożni! – poderwał się z miejsca przewodnik, z ulgą w głosie tak ogromną, jakby został wtem ułaskawionym, już wędrując na szafot. – Oto są krakowskie cuda, prosto z Anglii zakupione! Proszę spojrzeć, jak na lewo...

– To jest panny nadzieja? – wycedził Aleksander III, już bez śladu wesołości, głos warkliwy podnosząc. – To jest ta Polska żyjąca? Wokulski? Mit, zjawa senna, opowiadka przez dzieci dzieciom powtarzana, bo i ten naród cały jest jak dziecko, co bajkami się jeno karmi!

Lecz na innych padł strach błady, znać to było w trwożliwych spojrzeniach, znać w głowach, nagle pospuszczanych, jakby rzekł ktoś grupie zajęcy, że ujrano na niebie orła. Panna siedziała z głową uniesioną, niewzruszona, jak jeszcze przed momentem parowe bestje, i tylko w jej oczach, w cara wbitych, czał się cichy tryumf.

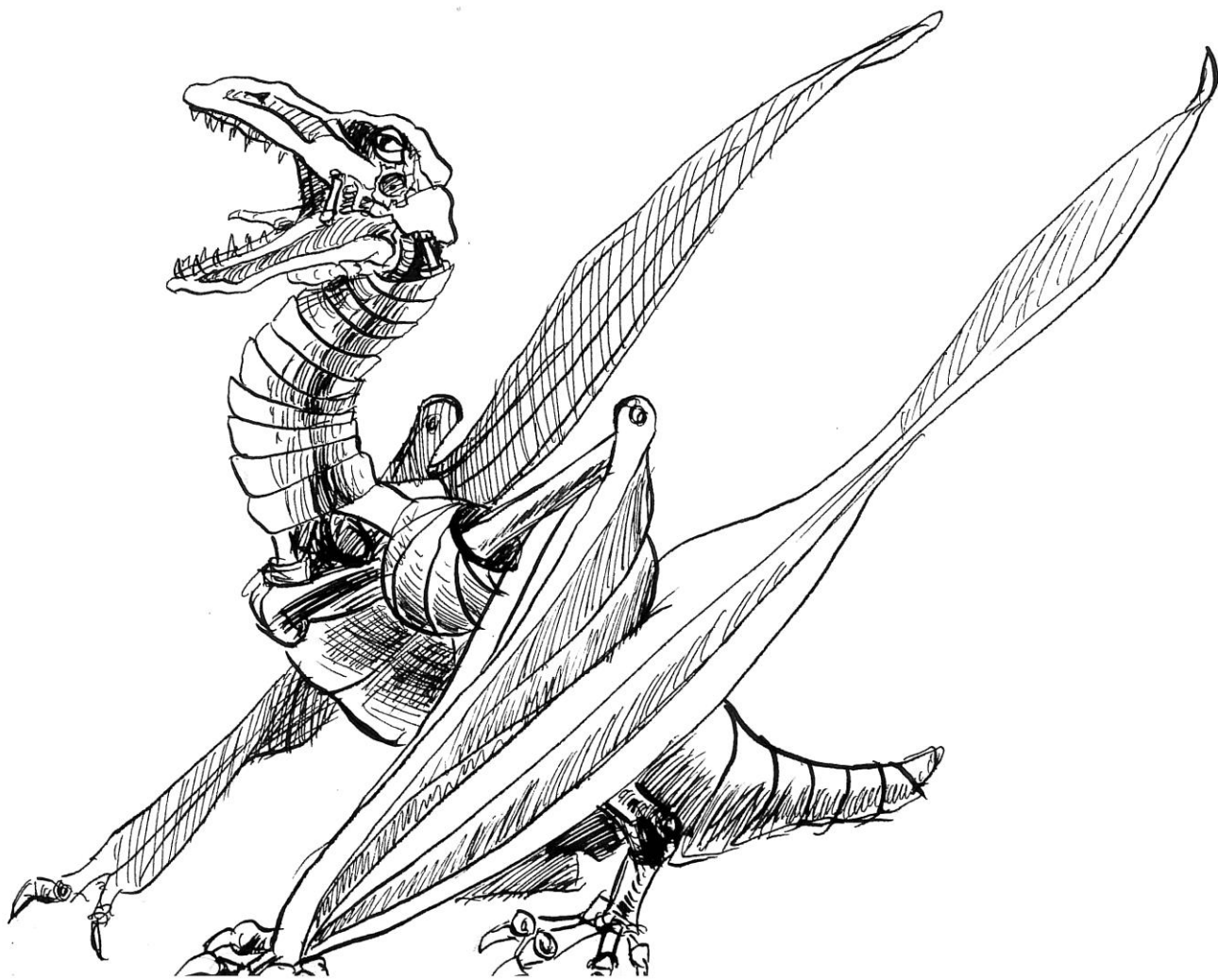
– Wot, Polaczki – skrzywił się imperator, pokrywając gniew spokojem lodowatem. – Do pracy kijem nie zapędzisz, ale daj im wiersze, daj księgę – a ci zaraz na bagnety! Cóż to, i *mademoiselle* Julja oczy wyplakała nad Verne'em? Poruszył serduszko polski gieroj, co w podwodnym okręcie z zaborcami walczy? A może słuchała panna historyjek, opowiatek cudownych, jak to Wokulski, kupiec bławatny, z metalu profesora Geista zbudował smoka podniebnego i na rosyjskie oddziały ogniem zionie? Wokulski, Biało-Czerwony Baron, co ojczyźnie wybawienie niesie! Kpiny!

Panna Julja wstała.

– Nie, Wasze Impieratorskoje Wielicziestwo! Bajki, tak, historyjki ucieszne, ale inne całkiem ja słyszałam. Takie, którym nawet dziecko niemądre wiary dać nie może. A takie mianowicie, że Wokulski nie żyje, że zginął, na życie własne się targnąwszy, gdy mu kobieta zimna i nieczuła podeptała biedne serce... Widzi Wasze Wielicziestwo, co te słowa usłyszę, a to na salonach krakowskich, a to z ust żołnierzy, a to carskich krewnych, dziw mnie bierze: któryż to naród, mój czy wasz, tak się w bajaniu lubuje...?

Zerwał się z miejsca rozjuszony car.

– Precz! – ryknął, dobywając ostrza, i klingę w słońcu lśniącą pannie do gardła przystawił, ale ona ani drgnęła. – Dość się nasłuchałem polskiego szczekania! Zajedno, z kogo ty rodzona – pływać będziesz! Fiodorze Pietrowiczu, a żywo!



Lecz wtem przewodnik zaczął wrzeszczeć i sam przez burtę skoczył. Wśród ryku przedpotopowych bestii, wśród walki śmiertelnej na obu brzegach, na wieczność w maszyny zakłętej, wypłynęli właśnie na szeroko rozlany staw, a wtedy na wprost dziobu wynurzył się nagle z wody kształt olbrzymi, straszliwy, posyłając wokoło rozbryzgi, i przesłonił słońce. Gad potworny ze stali, parą napędzany, lecz większy, groźniejszy nad inne, o długich, węzowatych splotach, o czaszce jak u samego diabła rogatej, z parą skrzydeł, ogromnych jak dwa czarne żagle, piękny, heraldyczny – smok wawelski wzniósł się w niebo jak feniks.

A kiedy cofnął się trzeci z Aleksandrów, upuszczając rapier, wśród ludzi błagających zmiłowania, szlochających, zamiarując rzucić się do wody, byle prędzej, byle dalej od tej bestji, panna Julja zastąpiła mu drogę. Skoczył jej car do gardła, jak sabaka wściekła, jak szczur do muru przyparty, gotów zranić, zabić, byle przeżyć – i uczył nagle w rękach twardy metal. Stalowe, jak śmierć zimne ręce lalki chwyciły go z siłą nadludzką i zamknęły, wrzeszczącego, w uścisku.

– Nie bójcie się, Wasze Wielicziestwo – szepnęła mu do ucha cudzym głosem, tuląc mi-
łośnie do piersi, gdy smok runął ku nim z góry. – Życie znajdzie sposób.

Przemysław Zańko – ukończony polonista (po UJ-ocie), współzałożyciel i autor bloga serialowego Pulpozaur.pl. Literacko udziela się na blogu Krypne Opowieści. Interesuje się psychologią, antropologią, gramiką, fizyką kwantową, czarnymi dziurami oraz teoriami chaosu i strun, bo bardzo by chciał wszystko to zrozumieć. Wygrał konkurs „Futuronauta”.

ZBIÓR FINAŁOWYCH PRAC KONKURSU KRAKON 2013 OSTATNI DZIEŃ PARY,
KTÓREGO JURORAMI BYLI KRZYSZTOF PISKORSKI, ANNA KAŃTOCH, ROMUALD
PAWLAK I MICHAŁ STONAWSKI ORGANIZOWANY PRZEZ MACIEJA PITALE

DWIE KONWENCJE DO WYBORU – STEAMPUNKA I POSTAPOKALIPSA. JEDNA BARDZO MOCNO GADŻETOWA, DRUGA NADZWYCZAJ JUŻ WYEKSPLOATOWANA . JAK WIELU UCZESTNIKÓW BĘDZIE UMIAŁO ODEJŚĆ OD KICZU I TANDETY, NAPISAĆ OPOWIADANIA NIE TYLKO CIEKAWY, ALE I WARTOŚCIOWE LITERACKO? A JEDNAK BYŁEM ZASKOCZONY BARDZO POZYTYWNIEM. CO NAJMNIEJ KILKANASCIEM OPOWIADAŃ PREZENTUJE POZIOM DUKU, ZEBRAŁABY SIĘ Z NICH MAŁA SMAKOWITA KSIĄŻKA. KILKA OPOWIADAŃ WSPINA SIĘ NA LITERACKIE WYŻYNY. TO SĄ TEKSTY BARDZO LITERACKIE, A ZARAZEM ZACHOWUJĄCE UROK KONWENCJI. NO I DOWODZĄ, ŻE NAWET W TAK KRÓTKIEJ FORMIE, W ZALEDWIE DZIESIĘCIU TYSIĄCACH ZNAKÓW, MOŻNA POWIEDZIEĆ CAŁKIEM SPORO.

ROMUALD PAWLAK

PATRONAT MEDIALNY



ISBN 978-83-64510-01-4